

Graybner Stanisław

MAMIN SYNEK
Powieść oryginalna
w trzech częściach

CZEŚĆ PIERWSZA.

I.

Przed piątą z rana było prawie ciemno. Po trzydniowej słocie, wyjaśniło się nareszcie od wschodu, a ziemia, jakby upartym deszczem znudzona, swobodnie oddychała kłębami szarej mgły, niemile ogarniającej tych ludzi, którym twardy obowiązek kazał stawie się raniej do pracy, niżby mieli do tego ochotę.

To też zawiadowca stacji Pepinster, wyczekujący pociągu od pruskiej granicy, miał kwaśną minę. Dał zimny wiatr, więc urzędnik postawił kołnierz płaszcza, ręce w kieszenie wsunął, a ziewnąwszy pełną pierś, spojrział ku Verviers.

Pociągu tylko co nie widać, bo i posługacze stoją już na posterunkach. Jeden podtoczył na niskim wózku elegancki kufer, drugi przy drzwiach od bufetu trzyma

drobne pakunki, a za nimi stoi podróżny, jedyny na stacji.
Smagły, pięknych
kształtów blondyn, ubrany wytwornie, wnosząc z wyrazu
twarzy,

bardzo młodziutki, z jasnym, zaledwie obiecującym się
zarostem, snąc jeszcze
nietkniętym brzytwą golarza. W niebieskich oczach
młodzieńca, łatwo dostrzec
inteligencji; i sentymentalność, niezupełnie temu wiekowi
właściwą. Całość
przedstawia się wykwiśniętą a sympatycznie.
Rozległ się przeciągły świst. Pociąg nadchodzi. Niby ślepiec
dzikiego zwierza,
zabłysły w ciemności latarnie parowozu, a tuż za nim pociąg;
oświetlony lampami
wagonów, jak zwinny Wąż, wygiął się na łuku. Z szykiem,
sobie właściwym,
maszynista zatoczył ekwipażem na wekslu, krótkim,
urywanym świstem dał sygnał po
dwakroć, i wpadłszy gwałtownie przed stację, z ręcznym
zahamowaniem na miejscu.

Przystanek najkrótszy — jedna minuta.

— En voiture! — dobitnie zawołał konduktor, przeciągając
ostatnią sylabę.

— Pour Bruzelles! — zbliżając się, rzekł młody człowiek, a
zaledwie zdążył
umieścić się w wagonie i odebrać z rąk posługacza pakunki,
zatrzaśnięto z
łaskotem drzwi i pociąg dalej pomykał.

Ale w przedziale wskazanym przez konduktora, nie było miejsca, bo na dwóch przeciwległych siedzeniach spały dwie damy. Lampę osłonięto niebieską materją

Młodzieniec oswoił wzrok z półświatłem i zastanowił się, jak mu należy postąpić.

Zdawałoby się najprostsze przebudzić jedną i poprosić o zrobienie miejsca. Ale on był dżentelmenem, a damy spały tak smacznie. Więc złorzeczył konduktorowi, który go skazał na pieszą podróż w wagonie kolei żelaznej i obiecywał sobie zmienić przedział przy pierwszej sposobności. Tymczasem, sparty o okno, patrzył przez szyby, bo zaczynało już świtać, a droga od Herbesthal do Liege, jest najpiękniejszą w Belgji. Ale wkrótce łokcie mu ścierpły, a tunele, raz po raz po sobie następujące, przeszkadzały w podziwianiu widoków ; rozglądał się znów wokoło i teraz dostrzegł, że jedna z dam, śpiąca w pozycji nieco skurczonej, zostawiła skąpo miejsca na ławce. Skorzystał z tego skwapliwie i usiadł, trzeba przyznać jak najogłędniej. na samym brzegu siedzenia. Po zdobyciu takiej pozycji, nabrał otuchy. Powoli, powoli, będzie się zasiadał coraz głębiej, nie budząc podróżnej. I on chętnie ułożyłby się do snu, ale o tem nie mógł marzyć

Natomiast, badał otoczenie. Na sznurowych półeczkach
spoczywały wytworne torby,
pudełka i plaidy, z których cośnieważne można wnieść o
właścicielkach. Rzucił
okiem w bok ale głowa śpiącej była przykryta woalką.
Spojrzał bliżej i oczy
szybko odwrócił. Miałżeby znaleźć coś niemi-

łego? Przeciwnie. Jednakże młodzieniec, moralnie, jak on
wychowany, nie chciał
korzystać z położenia, zresztą zwyczajnego w podróży, że
zgrabny, lakierowany
bucik wykradł się z pod podróżnego kostiumu.... Patrzył więc
znów przez okno na
jakąś willę i piękne otoczenie, ale gdy pociąg skrył się nagle w
tunelu,
mimowoli zawrócił okiem ku nóżce sąsiadki.
— A nie, nie trzeba — myślał. — Coby na to powiedziała
mama, lub moi
nauczyciele, gdyby widzieli.
I znów głowę odwrócił.
Ale za chwilę zastanowił się, że już skończył dwadzieścia dwa
lat, że mama,
gdyby żyła, nie mogłaby wymagać, aby był zawsze
niedorośłym Guciem, a
nauczyciele wszakże dawno przyznali mu dojrzałość.
I jakby pozbawiony skrupułu, zrzekł się pięknego kraju
Wallonów, przekładając
sąsiednie zjawisko.
A nóżka była istotnie ładna. Drobna, w paluszkach wązka, na
podbiciu wysoka.

Gdyby podróżny był wytrawniejszy w tych rzeczach, to oceniłby, że takie kształty nie miały nic wspólnego z płaską niemiecką lub flamandzką nogą, a na francuzką — stopka była za krótka. Ale moralnie wychowany młodzieniec był ignorantem w tym względzie i w tej chwili powodował się tylko zmysłem estetycznym.

Naraz, pociąg w pełnym biegu/ wypadł z tunelu na ostry łuk, i pochylił się tak, że młody człowiek, zaledwie uczepiony ławki, stracił równowagę, a blizki zważenia się całym ciężarem na sąsiadkę, mimowoli oparł lekko ręce o jej kolana. Przebudzona, zerwała się z siedzenia.

— Pardon madame, vergeihen sie, — odezwał się zmieszany.
— NiE śpisz Kamilko ? — zapytała po polsku druga kobieta, wychylając głowę z pod plaida.

— Spałam tak dobrze — odparła pierwsza — ale nam tu, jak widzę, dali nieproszone towarzystwo.

Podróżny, usłyszawszy polską mowę, sam będąc polakiem, tem bardziej żałował swej niezręczności, a jednocześnie był rad spotkaniu rodaczek.

— Zechcą mi panie wybaczyć -- mówił głosem nieśmiałym,
— ale to вина konduktora, że mi tu wskazał miejsce. Inaczej, nie pozwoliłbym sobie przeszkadzać paniom, zwłaszcza rodaczkom.

— A, pan polak ? — zwróciła się starsza, poprawiając włosy.
— Tak jest, ale niech panie nie krępują się dla mnie. Na
pierwszej stacji
wyszukam

inne miejsce, a tymczasem chętnie postoję — tj rzekłszy,
powstał z siedzenia.

— Niechże pan siada, proszę bardzo — mówiła ta sama dama
— śpimy prawie od
samego Berlina, a dawno już nie miałyśmy polskiego
towarzystwa. Pan daleko
jedzie?

— Do Brukselli pani, jadę ze Spaa, gdzie bawiłem kilka dni.
Czy panie także do
Brukselli ?

— Jedziemy do Ostendy na kąpiele, po sezonie we
Franzensbadzie. Ale pan zapewne
nic dla kuracji podróżuje? W tym wieku...

— O tak, pani, jestem zupełnie zdrow. Chcę raczej poznać
kawałek świata, a po
drodze i belgijską stolicę. Nie podróżowałem nigdy.

— A to wielka przyjemność — wtrąciła pierwszy raz druga.
Dotąd młodzieniec; zamieniając słowa tylko ze starszą,
siedzącą naprzeciwko, nie
miał sposobności, lub może nie śmiał zajrzeć w oczy sąsiadce,
którą tak
niezgrabnie przebudził, ale gdy sama przyłączyła się do
rozmowy, obrócił się
ośmielony. Miał już jakiś frazes banalny na ustach, lecz gdy
rzucił na nią okiem
— zaciął się. Była uderzająco piękna.

Twarze pospolite wymagają wykończonego stroju i misternego utrefienia włosów,
piękność jednak doskonała nie przestaje być nią zawsze i we wszelkich warunkach,

Nie każda kobieta, po nocy przespanej w wagonie, miałaby odwagę próbować siły swych wdzięków, ale ta w tej chwili była pewną siebie. Nie mogąc przeczesywać włosów w towarzystwie młodego człowieka, zdążyła przed chwilą wyjąć z nich parę szpilek i puściwszy swobodnie czarne warkocze, rozplotła je do połowy tak, że jej okryły ramiona, niby lśniący, fantastyczny płaszcz. Przepysznie oprawne ciemne oczy, snem wywołany rumieniec na białej twarzy, klasyczny nosek i zmuszające do zachwyty usteczka — wszystko składało się na iście modelową piękność, olśniewającą i czarującą zarazem. Nie dziwna, że młodemu blondynowi słowa na ustach zamarły. Starsza kobieta spostrzegła to uwielbienie!, a chcąc podtrzymać uciętą rozmowę, dodała:
— Moja córka przepada za podróżami. Podzielam takie upodobanie — rzekł młody człowiek, wyrwany z podziwu. — Pierwszy raz wyjechałem z kraju, spragniony szerszego świata. Wielce przyjemne są te

obserwacje i nowe wrażenia. Na każdym kroku szukamy
czegoś odmiennego,
porównujemy trawki z naszymi trawkami, dotykamy drzew,
aby przekonać się, czy
rosną podobnie jak nasze, nieomal zadziwia nas słońce i
księżyc, że świecą z tej
samej wysokości. Ale w miarę posuwania

się na zachód, uczuwamy żal do samych siebie, że tam, u nas,
w porównaniu tak
wszystko blednie, tak smutno wygląda. Rzućmy okiem na
Belgję, przez którą
jedziemy. Jakaż niezmierna różnica, a jednak nasz kraj nie
uboższy od tego,
tylko po macoszemu przez nas traktowany.
Ten zwrot, rzucony poważnie przez młodego człowieka,
dobrze dlań usposobił matkę
i córkę. Dotąd widziały w nim prawie młokosa, udającego
mężczyznę; teraz
przedstawił się jak człowiek, który co najmniej myśli i mówi
rozsądnie.
Grawędka też zawiązała się na dobre, a młodzieniec był w
siódmym niebie, bo
piękna sąsiadka ożywiała się coraz więcej.
Znajomości w wagonie zawierają się łatwo i szybko. Polacy,
zwłaszcza z tej samej
sfery, zawsze odnajdują w rozmowie wzajemnie znajome
sobie osoby i stosunki To
też gdy pociąg zbliżał się do Louvain, nasze towarzystwo
znało się już dobrze. I

tyle wiedziano o sobie, że młody człowiek nazywa się August
Turski, że stracił
niedawno matkę i objął rodzinny majątek w
Hrubieszowskiem, gdzie dotąd stale
przebywał, bo wychowanie odebrał w domu, pod kierunkiem
dwóch światłych
pedagogów, Francuza i Niemca. Matka nie zdobyła się na
odwagę, aby jedynaka z
domu wypuścić.
Pani Zahorska z domu hrabianka, z córką

Kamillą, obecne towarzyszki podróży Turskiego, miały
posiadać znaczne dobra na
Podlasiu i jak corocznie, bawiły zagranicą parę letnich
miesięcy.
Teraz już Turski nie żywił żalu do konduktora za wskazanie
mu tego a nie innego
przedziału. Był zachwycony znajomością.
Pani Zahorska, bardzo ożywiona, mimo, że się już miała ku
pięćdziesiątce, była
jeszcze przystojną. Ktoś inny dostrzegłby w niej może za
wiele pretensji do
powierzchowości, ale młody Turski nie szukał ujemnych
stron w matce, której
córka — według niego — gromadziła w sobie ideały wszelkie.
A w wyrazistych
oczach Kamilli przeczuwał niebo, w którym udział zwykłego,
jak on, śmiertelnika,
wydawał mu się być szczęściem, nieuchwytnem, jak sen
rozkoszny.

August dotąd nie znał, bo nie spotykał kobiet. Lata młodsze zeszyły mu na nauce, a jego towarzystwo ograniczało się do troskliwej matki i czujnych guwernerów. Dziś stawiał pierwsze kroki jako człowiek samodzielny. Był niewinny ciałem, świeżego umysłu i ciepłego serca, a więc tem wrażliwszy na piękno. Uśmiechał się do wszystkiego, bo i jemu wszystko się uśmiechało. Panna Zahorska przeżyła już dwadzieścia sześć wiosen, ale te lata nie ujęły jej piękności.

przeciwnie, dodały do naturalnych wdzięków rutynę ich użycia, przywabienia i oczarowania.

— Więc pan nie zna morza ? — zapytała w dalszym ciągu rozmowy.

— Nie. pani. Ma być imponujące.

— Na rozmaite osoby wywiera różne wrażenia. Mnie ono zachwyca, ale słyshałem młodą panienkę, która, gdy znalazła się pierwszy raz U jego brzegu, rzekła z całą naiwnością: spodziewałam się więcej wody zobaczyć. Kąpiele są nader przyjemne. Niech pan przyjedzie do Ostendy, nauczę cię uciekać przed bałwanami.

To bardzo zabawne.

August, nie wiedząc, że damy i mężczyźni kąpią się razem w morzu, zarumienił

się, jak burak. Ale nie rad był przyznać się do tej nieświadomości.

— A to przyda mi się tem bardziej — odparł — że nie umiem pływać. Matka moja bała się zawsze, abym nie utonął przy lekcji. To samo było z konną jazdą.

Musiałem używać protekcji mego dzisiejszego sąsiada Lubicza, aby mi pozwolono dosiąść konia, a wtedy matka truchlała, że nogę złamię.

— Widocznie bardzo kochała swego jedynaka — rzekła pani Zahorska.

— Niewątpliwie; a jednak, widzę dziś w sobie braki, będące następstwem systemu mego wychowania,

— Ze mnie bo mama zrobiła chłopca — wtrąciła Kamilla. — Powiadam panu, umiem wcale dobrze pływać, jeżdżę konno, na łyżwach, strzelam z pistoletu i — kiedy nikt nie widzi — palę papierosy. A pan pewno nie palisz, czy zgadłam?

— Tak pani, nie palę, nie piję, konno jeżdżę po łacinie, o gimnastyce nie mam pojęcia.

— Więc pan zapewne i nie polujesz?

— Gdybym polował musiałbym strzelać, a strzelając choć wypadkiem zabijać. Lubię ptaki i zwierzęta, ale właśnie dlatego nie miałbym żadnej przyjemności pozbawienia ich życia. Czuję nawet do tego pewien wstręt. Kocham kwiaty, to też

ich nie zrywam.

— A więc żadna panna nie może spodziewać się od pana bukietu?

— Przyznaję, nie myślałem o tem.

— A gdybyś pan znalazł się na placu. pojedynku, czy i wtedy nie byłbyś zdolnym zabić przeciwnika?

— Nie mógłbym być w podobnem położeniu, bo nie obraziłbym nikogo, a sam nie dałbym powodu, aby mnie obrażono. Pomijam te wypadki, w których mamy prawo postawić się wyżej nad wyrządzoną obrazę.

— To bardzo względne i nie zawsze od nas zależne — mówiła piękna panna, tą rozmową

zainteresowana — jakżebyś pan postąpił, gdyby obrażono kobietę, jego narzeczoną lub żonę?

Zapytanie zastawało zupełnie nieprzygotowanym młodzieńca.

Nie chciał być

sprzecznym sam z sobą, byłoby gorzej okazać się obojętnym na honor kobiety.

Niezwykły podobnej szermierki, w której światowe damy tak biegle władają giętką

bronią języka, Turski w duszy czuł się pokonanym, a dla zamaskowania porażki,

obmyślał wymijającą odpowiedź.

Ale otworzenie drzwi wagonu wyprowadziło go z trudności.

— Do Ostendy! proszę przesiadać się! — objaśnił konduktor.

Towarzystwo, zajęte rozmową, nie zauważyło zatrzymania się pociągu na stacji, z której rozchodzą się koleje do Brukselli i ku Holandji. Teraz więc panie musiały się spieszyć z pozbieraniem drobiazgów, aby zdążyć w porę. August, pomagając im, niewymownie żałował, że tak prędko traci towarzystwo, a zwłaszcza córki, z którą radby nie rozstać się już nigdy. Za chwilę, z okna wagonu ścigał wzrokiem przedział, do którego wsiadły jego znajome, ale tam dojrzał tylko głowę belgijskiego oficera. Postanowił czekać do końca i nie zawiódł się, bo kiedy już obydwaj pociągi ruszyły, oficer znikł, a w jego miejscu ukazała się Kamilla, posyłająca Turskiemu gest ręką i słowa:

— Do widzenia w Ostendzie, mais sans faute, nieprawdaż? August był tem pożegnaniem uszczęśliwiony.
— Miałożby jej w istocie na tem zależeć? — pomyślał.

II.

— Co mówisz o naszej znajomości? — zagadnęła matka córkę, kiedy się już znalazły w drugim pociągu w towarzystwie oficera i trzech Flamandów, palących krótkie piankowe fajeczki.

— Co mówię? Ładne jabłuszko szlachetnego gatunku dochodzi na słońcu. Staranny ogrodnik zrobił swoje, a reszta zależy od sprzyjającej pory. Może dojrzeć na piękny owoc, jeśli go wiatr nie strąci, lub robak nie stoczy.
— Definicja trafna.

— Z początku myślałem, że to młodzik, trochę pozujący i fanfaronik, ale widzę, że chłopiec dobrze wychowany i wcale nie głupi. Tylko to wychowanie zdradza go w każdym słowie. Widocznie ogromnie moralny i w obejściu nieśmiały, jak pensjonarka. Uważała mama, jak się biedak zarumienił, kiedy mu wspomniałem o kąpielach?

— To było nie na miejscu. Może mieć złe wyobrażenie o tobie.

— Co też mama mówi! To mój system postępowania z mężczyznami Bufona powagą doprowadzam do równowagi, a z naiwnym dzieciakiem trzeba działać przeciwnie.

— Cóż tobie na nim zależy?

— Jako co? Wszakże mam nie wracać do domu bez narzeczonego, a ten Turski może być taki dobry lub lepszy niż inni.

— Ależ to młodzik jeszcze.

— A cóż mi to szkodzi? Jeżeli bogaty, co zaraz trzeba sprawdzić, to jego wiek może mi być tylko na rękę. Wie mama, że nie mam kwalifikacji na zbyt powolną

małżonkę, a taki dzieciuch bywa najwygodniejszy. A przytem
podał mi się więcej
niż ci wszyscy zwietrzali salonowcy, którzy
przedewszystkiem rachują, kiedy, jak
ja tak i mama, podobno lepiej znamy tę sztukę. Z tej jego
surowości wyleczyłabym
go prędko. Naturalnie, jeżeli nie ma miliona; nie mam do
niego pretensji. Niech
mama z Ostendy napisze do pułkownika, on ma krewnych w
Hrubieszowskiern, tą
drogą najprędzej dowiemy się wszystkiego.

— Z czegóż wnosisz, że on by się starał o ciebie? Widziałaś
go zaledwie parę
godzin.

— Widziałam go aż nadto długo, aby być pewną, że jeśliby się
nie starał, to
tylko przez

nieśmiałość. Ale ja go ośmielę, niech tylko ma milion;
wreszcie, może się lepsi
znajdą w Ostendzie.

— Mówisz, że tak dobrze umiemy rachować, a jednocześnie
do miliona ograniczasz
twoje żądania. Już nie raz wspominałam ci, że milion nie
ratuje naszego
położenia. Zapewne nie żadasz, abym ja została bez funduszu
za to, że zbyt wiele
łożyłam na twoje wychowanie, a potem prowadziłam dom na
stopie odpowiedniej do
tych, którzy tyle lat o ciebie konkurowali, i tylko dzięki twej
wybredności,

żaden nie ożenił się. Nie mówiąc o innych nie mogę ci darować hrabiego Zenona.

— Moja mamó, zrozumiejmy się raz w tym względzie. Hrabia Zenon, jakkolwiek

bardzo bogaty, nie był odpowiedni dla mnie. Nigdy nie zgodziłabym się na męża.

którego miliony mają służyć do dorabiania następnych, zamiast do ich użycia.

Pamiętam jego teorje o wełnianych sukienkach i krajowym przemyśle. Przecież on

wyraźnie rościł żądania, aby mu żona doglądała w jego fabryce a la Roquefort.

Byłam bardzo obowiązana panu hrabiemu za zaufanie, jakie chciał we mnie położyć,

ale nie miałam najmniejszego pociągu do robienia serów. A nie! Sądzę, że nasze

zapatrywania nie różnią się co do tego. Pamiętam, jak kiedyś nieboszczyk ojciec

skarżył się, że mama przed św. Janem

nie chciała obcinać kuponów od listów zastawnych, bo to robi odciski na rękach.

— To inna rzecz. Byliśmy wówczas bardzo bogaci. Ale dziś obcinałabym najchętniej.

— Wierzę. Szkoda tylko, że nie mamy nic do obcinania, prócz chyba strzępków od

starych atlasów. Jednakże nie byliśmy tak bogaci, jak hrabia Zenon, a wreszcie

od kuponów i wylacanych nożyczek w buduarze, bardzo daleko do serwatki i

cuchnących woreczków.

Pani Zahorska skrzywiła się.

— Nie mówię — ciągnęła córka — o ino jem wychowaniu.

Nie było ono tak

nadzwyczajne, a ojciec zostawił nam duże kapitały. Wiec

zostaje tylko prowadzenie

domu na wysoką skalę. Niechże mama nie gniewa się, jeżeli

jej przypomnę, że nie

ja tylko byłam na wydaniu.

— Czyżby miało być tak niedorzecznem, gdybym była wyszła
za mąż przed siedmiu

lub ośmiu laty?

— Nie upatrywałabym w tem nic niedorzecznego, ale pan

Aurtur bywał u nas jeszcze

przed trzema laty, a przecież nie o mnie się starał. Tuż przed

nim baron dostał

także odkosza. Dlatego o nim wspominam, aby zwrócić mamy
uwagę, że jeżeli dziś

jesteśmy zrujnowane, to nie tylko ja byłam do tego powodem.

— Nie myślałem, że mnie spotkają podobne zarzuty z twojej
strony.

— To nie są zarzuty, ale mówimy, że moje małżeństwo z
milionem nie osiąga celu,

ja zaś sędzę przeciwnie. Z tem, co można jeszcze mojego z

Jodłowa wyratować, dla

mnie samej milion wystarczy. Nie mam ochoty zostać starą

panną, zwłaszcza po

licytacji naszych majątków i dlatego żądam o wiele mniej, niż

kiedyś żądałam.

— Miejmy nadzieję, że w Ostendzie znajdziemy lepsze widoki mówiła matka pojednawczym tonem. — O ile wiem, będą tam dwaj kandydaci.

— Daj Boże; tymczasem nie będę zaniedbywała Turskiego, tem bardziej, że z nim łatwo zrobię, co zechcę. Mój konkurent, posiadając własny majątek, musi zarazem zapobiedz licytacji Jodłowa czyli inaczej mówiąc, trzeba, aby pozwolił sobą kierować.

— Jak chcesz, napiszę do pułkownika.

— Naturalnie, trzeba koniecznie. Jeżeli mamy obydwie ginać, czyż nie lepiej, abym choć ja jedna utrzymała się na pozycji? Wreszcie, może Turski jest tak bogaty, że nas wyratuje obiedwie. To rzekłszy Kamilla oparła piękną głowę na białem ręku i przymknęła oczy: czy jednak do snu lub marzeń o niebieskookim blondynie, trudno było odgadnąć.

August w tej chwili sam jeden w wagonie, do Brukselli dojeżdżał. Ani spał, ani cieszył się możliwością zwidzania miasta. Błyszczały mu tylko piękne oczy Kamilli i brzmiał w uszach jej srebrny głos. Rozbierał teraz każdy kształt, rys i wszelki szczegół tej fenomenalnej dla niego kobiety, w której znalazł pod wszystkimi względami bogactwo, rozsadzające jego

wyobraźnię młodzieńczą.
Ale nie kreślił śmielszych planów.
Przypuszczał, że tak piękna, a zapewne bardzo bogata panna,
jeżeli nie jest już
zareczoną, to ma licznych wielbicieli, z którymi
współzawodnictwo nie byłoby
łatwym. A jednak cieszył się, że Kamillę zobaczy w
Ostendzie, o co wyraźnie
prosiła. Myślał o owych kąpielach w morzu, wyrzucał sobie,
że się na wzmiankę o
nich czerwienił i postanawiał odtąd zdobywać się na więcej
śmiałości w
towarzystwie kobiet.
— Przecież minęły już bezpowrotnie moje lata dziecinne —
zakonkludował.
I przysły mu na myśl niektóre epizody w tej epoki.
Raz, gdy siedział z matką przed dworem w cieniu lip starych,
nadeszła młoda
chłopka z dzieckiem na ręku, prosząc dla niego o lekarstwo na
koklusz. Kiedy
sprezentowany dzie-

ciak dostał właśnie ataku, kobieta dobyła z pod zgrzebnej
koszuli białą pierś,
chcąc nią zamknąć usta zanoszącemu się chłopcu od kaszlu.
Gucio przyglądał się z
pod oka temu systemowi karmienia, ale pani Turska wysłała
go zaraz po klucze od
apteczki. Innego dnia szedł z matką do ogrodu, aby zobaczyć,
czy już szparagi

wychodzą. Przez warzywną kwaterę kroczyła w tej chwili
dziewka folwarczna z
płachtą zieloną na plecach Chroniąc od rosy krasną spódnicę,
uniosła ją
względnie wysoko, nie widząc potrzeby tajenia swych
kształtów.

— W której więc stronie jest konstelacja wielkiej
niedźwiedzicy? — zapytała
matka jedynaka.

Grucio, wiedząc że nie może być nic wspólnego między
Lutowickimi burakami a
astronomią, rad nie rad, musiał wnieść oczy ku niebu...
Takie i tym podobne wspomnienia złączył znów z myślą o
kapielach w morzu razem z
kobietami i krew uderzyła mu do głowy, zanim spostrzegł się
ponownie, że w tej
chwili niezależny i dojrzały, nic podlega żadnej kontroli i
opiece.

Pociąg tymczasem pomykał po równym już, jak stół, kraju,
szybko mijał stacje, aż
wreszcie August na jednej z nich przeczytał: Schaerbek,

a w parę minut potem znalazł się pod szklannym dachem
brukselskiego dworca.

O ile przedtem nie ograniczał nigdzie pobytu i mimo
wyznaczonej marszruty
zmienił ją dowolnie, teraz dążył już myślą do Ostendy, a z
Fruksellą pragnąłby
się jak najprędzej załatwić.

Umieściwszy się w hotelu, zażądał zaraz przewodnika,
któryby go mógł po mieście

obwieść i pokazać, co godne widzenia. Tenże, gdy stanął przed cudzoziemcem, obliczał, że najmniej trzy dni czasu potrzeba, aby miasto obejrzeć.

— O, nie — rzekł stanowczo Turski — nie zatrzymuję się tak długo. Muszę jutro wyjechać.

Więc rozpoczęto objazd forsownym marszem. Rzut oka wystarczył na ratusz, jeden z piękniejszych gotyków i wprost niego stojący, złocisty dom, dawną królów holenderskich siedzibę Małą chwilę zatrzymano się w nieskończonym jeszcze pałacu sprawiedliwości, tym po Watykanie największym i najwspanialszym gmachu w świecie, który sto milionów pochłonął. Ale daremnie zwracał tu przewodnik uwagę młodego turysty na godne uwagi, bogate szczegóły. Ten, w hebanowych parapetach widział krucze włosy Kamilli, w różowych kieleckich marmurach, jej urocze rumieńce a w sali des pas perdus, gdy rzucił okiem w niezmierną wysokość, sięgającą

szczytu rotundy, zasmucił się, że i do jego złudnego szczęścia nie bliżej. W cudownym parku Bois de la Cambre doznał podobnego wrażenia, patrząc z zawiścią na Belga, siedzącego obok w powozie. Jakże chętnie zastąpiłby go panną Zahorską,

a wówczas ten park, woda, klomby, trawniki i gąszcze, w jej
ponętym
towarzystwie o wieleżby się pięknojszemi wydały.
Po przedstawieniu w teatrze de la Monnuic, August uwolnił
przewodnika i powrócił
do hotelu, a przed wejściem na piętro, wstąpił do sąsiedniego
Cafe Cesino. Tu
wcisnął się pomiędzy liczną publiczność, a wzięwszy do ręki
„Etoile Belge”,
zajął miejsce pod filarem, po drugiej stronie którego siedzieli
dwaj młodzi
ludzie, odwróceny plecami. Gwar kawiarniany i łoskot kul
bilardowych, głużył
ich rozmowę ale z paru oderwanych wyrazów zdawało się
Turskieinu, że słyszy
polską mowę. Zaciekawiony, przysunął się jak mógł najbliżej
do filaru i teraz
słyszał wyraźnie:
— Więc jutro wyjeżdżasz do Ostendy?
— Na pewno. Tu nie mam co robić, a tam prawdopodobnie
już przyjechały dwie
panie, które poznałem niedawno.
— Polki?
— Tak jest, matka i córka, z Królestwa. Panna, powiadam ci
śliczna.

— I zakochałeś się, czy może masz małżeńskie zamiary?
— Romans byłby trudny, a małżeństwo względne Jestem
dopiero na drodze ściągania
wiadomości co do strony pekuniarnej, rozumiesz, a
tymczasem, nic nie ryzykując,

nie zasypiam.

— Któż to taki?

— Panna Zahorska z Podlasia.

Turski poprawił się na krześle tak, że się o łokieć zbliżył do rozmawiających.

— I jesteś dobrze uważany ?

— Jak najlepiej. Panna zakochana we mnie i byłbym już przyjęty, gdybym się we

Franzensbadzie oświadczył. Ale wiesz, że jestem dość wytrawny w tych sprawach.

Właśnie ta łatwość w powodzeniu niepokoi mnie. Panny bogate i piękne nic bywają tak przystępne.

Co chcesz, jeśli się kocha w tobie....

Zapewne, jednak nie chciałbym się złapać. Cały urok hymenu bez gotówki,

zostawiam krezusom albo głupcom. W pierwszym wypadku nie jestem...

— W drugim być nie chcesz, to jasne; a więc nie pozostaje, jak tylko żałować

panienkę, że zaangażowała serduszko.

— Dlaczego żałować? Jeżeli adwokat, od którego zażądałem opinii, napisze mi

extra, a wreszcie niechby prima, wnet i moje serce rozgorzeje z kolei.

— Słowem, działasz roztropnie, jak widzę. No, a w waszych stronach nic ma panien bogatych ?

— Owszem, ale ja tam mieszkam niedawno. Kupiłem niewielki majątek, zostało mi

nawet trochę gotówki, tem jednak nie mogę imponować tamtejszej zamożnej szlachcie.

— Nie lepiej było zostać w Galicji, niż obcych bogów szukać?

Pamiętasz te czasy,

kiedy grywałeś ze mną w bilard w Sanoku ?

Ale zapytany widocznie nie chciał poruszać przeszłości, bo zmienił przedmiot

rozmowy:

— A ty co robisz i jak ci się wiedze ?

— Dużo byłoby o tem mówić. Kręciłem się tu i ówdzie po świecie, aż zawędrowałem

do Brukselli. Otworzyłem sklep russkich papierosów i tego pilnuję.

— To dobry interes?

— Nieźle mi idzie Na pudełkach litografuję rosyjskie napisy, a w środek kładę

tytuń miejscowy z domieszką egipskiego. Z tego wychodzi jakieś mixtum

compositum, na którym nietylko Flamand, ale i sam djabeł się nie pozna.

— I kupują ?

— Nawet palą.

— No, bądźże mi zdrów, bo ja pójdę spać. Życzę ci powodzenia z afrykańsko-rosyjskimi papierosami.

Nawzajem, zrób karierę na pekuniarnomałżeńskej operacji, kąp się w Ostendzie, a

nie skąp się wypadkiem.

— O to bądź spokojny.

I rozeszli się rodacy Augusta, nie przypuszczając, że swobodną wśród Belgów gawędę zrozumiano co do słowa.

Turskiemu było teraz gorzko i kwaśno Wybijała godzina północy, zwiastując mu znikomość jego efemerycznych złudzeń. Od chwili opuszczenia Nadbuża, pierwszy raz wydało mu się smutno i pusto wokoło. Szybko z bogactwem się jeszcze szybciej zubożał.

Poszedł prosto do hotelu, a krocząc po pokoju, mówił głośno do siebie:

— A więc karjera skończona. Przewidywałem, że takie się stanie. Osoba równie piękna, nie potrzebowała czekać, aż się tam het w Hrubieszowskiem konkurent dla niej wychowa. Ale kto to być może ? Byłżeby to mój sąsiad Wagner, o którym słyszałem? On niezawodnie.

Oburzał się na tego człowieka, niecierpiał go.

— Dziś rano jeszcze twierdziłem, że nie mógłbym zabić przeciwnika na placu pojedynku, dziś jeszcze podobna myśl wydawała mi się potworną, a teraz?... O, tak, zabiłbym tego

pięknego pana, który w tak ohydny frymarku, nikczemnie obraża jej szlachetne, czyste uczucie.

Kamilla kocha go. A ja ? Jak niespodzianie poznałem, tak prędko zapomnieć jej

muszę. Pocóż miałbym gonić do Ostendy? Skazywać się na
cierpienia, być świadkiem
tryumfu tego człowieka, którego nie mam sposobu
zdemaskować? O nie, nie pojedę,
stanowczo nie pojedę.

I August zdecydował się wyjechać nazajutrz prosto do Paryża.
Podług programu, przewodnik stawił się zrana. Zostawały do
obejrzenia muzea,
pałac i park królewski, katedra St. Goudulle, wreszcie piękne
Laaken, rezydencja
Leopolda II.

Prędko załatwiono się z tem wszystkiem, a przewodnik może
nigdy nie miał tak
łatwego zadania. Młody turysta nie wyzyskiwał go pytaniami i
zdawał się
niecierpliwie wyczekiwać końca oględzin.

Od wczoraj był innym człowiekiem, jego myśl bezustannie
zawracała do tego samego
przedmiotu, z oczu na chwilę nie schodził obraz pięknej
Kamilli.

Okolo drugiej godziny, Turski, dojeżdżając do południowego
dworca, postanowił w
miarę oddalania się od Belgji, miły swój sen zacierać w
pamięci.

Gdy fiaker stanął na miejscu, polecił posługaczowi kupić bilet
do Paryża i
wyprawić kufer.

— Pociąg odszedł przed chwilą, następny odejdzie o dziesiątej
wieczorem, — była
odpowiedź.

Pół godziny później, August siedział w wagonie kolei północnej, wprost pięknego blondyna w binoklach o starannie utrzymanej brodzie, w którym poznał spotkanego w kawiarni domniemanego Wagnera.

— Pour Grand, Ostende, Anvers, Roosendaal, Hollande — obwoływał portjer.

— En voiture — rozległ się głos konduktora.

Pociąg ruszył.

Turski, upatrując siłę wyższą w spóźnieniu się na pociąg paryzki o jedną minutę, w ostatniej chwili zawrócił ku Ostendzie. Postanowił bawić tam tylko jeden dzień! Spotkawszy tak niespodzianie zawistnego mu człowieka, przyrzekał sobie niczem nie zdradzić się, aby uniknąć tej znajomości. Kto w takim wypadku nie chce być wciągniętym w rozmowę powinien spać albo czytać.

August wybrał to ostatnie i w tym celu wyjmował z podróżnej torby „Soir”, przed chwilą nabyty, przyczem mimowoli pokazał swą paszportową książeczkę.

— Przepraszam — zapytał nieznajomy po francuzku, — czy pan Polak?

— Tak, panie odparł niechętnie zaczepiony.

— Bardzo mi przyjemnie mieć w panu towarzysza podróży — mówił już po polsku — jak pan widzi, jestem także Polakiem.

I stało się złe, którego Turski pragnął uniknąć. Rozmowa była nieuniknioną.

— Jaką prowincję Polski pan zamieszkuje? — pytał pan w binoklach, z piękną brodą.

— Królestwo była lakoniczna odpowiedź.

— Czy pan mieszka w Warszawie, lub na wsi?

Na wsi.

— W którejże gubernii ?

— W Lubelskiej.

— Jest mi tem przyjemniej, bo i ja mieszkam w Hrubieszowskiem. A pan z którego powiatu?

— Także z Hrubieszowskiego

— A więc pan mieszka w Nadbużu? To za ledwie mila drogi odemnie Tak blizcy

sąsiedzi poznają się aż tu dopiero. Ja bo jestem jeszcze prawie obcy w tamtych

stronach i nie mam żadnych znajomości.

I tak zawiązała się między młodymi ludźmi rozmowa, w której przeważnie zadawał

pytania Wagner, a Turski odpowiadał pojedynczemi sło-

wami, wyrabiając o sobie opinię szczególnie małomównego.

O pannie Zahorskiej z żadnej strony nie było wzmianki.

August słyszał, że jakiś Wagner nabył na licytacji niewielki majątek Tężyn,

sąsiedni z jego Nadbużem. Więcej nic o nim nie wiedział. A że ten sposób

kupowania ziemi nieprzychylnie zazwyczaj usposabia okolice dla nowonabywcy, więc

też i Wagner, chociaż nieznany, miru w Hmbieszowskiem mieć nie mógł. On sam

jednak znał dobrze tamtejsze stosunki, w które tak łatwo wtajemniczają miejscowi żydkowie Słyszał, że Nadbuże to duży i piękny majątek, że pani Turska zostawiła interesa w najlepszym stanie, a jej syn ma być szanującym się młodym człowiekiem i pracowitym rolnikiem. Opowiadano mu także, że jeszcze dawniej rodzice Turskiego projektowali ożenić syna w sąsiedztwie z panną Lubiczówną, którą ojciec za życia, gorąco ten projekt popierał. Wagner należał do rzędu ludzi, szperających w sposobnościach, w którychby nie stracić, a coś zyskać można. Zaprzyjaźnić się z Turskim, a w swoim czasie użyć go za pośrednika do wejścia w tamtejsze, tentujące go towarzystwo, to mogła być pierwsza korzyść z tej znajomości.

III.

Ireneusz Wagner był synem Niemca, wyższego urzędnika w powiatowym mieście wschodniej Galicji, który, trzymając się długie lata na tem stanowisku, zdołał oszczędnością zgromadzić okrągłą fortunę. Stary owdowiał, pilnie zajęty urzędem i zbieraniem grosza, nie wiele przejmował się wychowaniem jedyne go syna, już młodzieńca, wśród dymu długich Virginia i odoru piwa sali bilardowej w

miejscowej tak zwanej cukierni, na swoją rękę kształcił się w sztuce życia, bo ze szkołą zerwał już od czwartej klasy. Stary był niepomiernie skąpy, a syn, prowadząc życie próżniacze, potrzebował pieniędzy. To wyrobiło w tym ostatnim spekulacyjnego ducha i dawało mu byt o własnych siłach. I tem ujmował ojca, że będąc zawsze dobrze ubranym, uczęszczając do wszystkich publicznych miejsc dużej miłośnicy, nie korzystając prawie z domowej kuchni, nic nigdy nie potrzebował.
Takie

jego postępowanie rymowało z sentencją, jaką stary zwykł był powtarzać : ex ist sicherer zu mehren, als su theilen.
Stałem, a niewyczerpanym źródłem dochodów młodego Wagnera był bilard. W tej grze wyćwiczył się znakomicie, a z podobną bronią w rękę umiał zawsze znaleźć dających się łatwo oskubać partnerów, których dostarczała prowincja.
Ojciec umarł. Odziedziczenie znacznej sumy w gotówce, mimo młodych lat, nie odurzyło Ireneusza Przeciwnie, zaczynał teraz poważnie reflektować.
Skłonności jego wzrosły na gruncie, sprytu a ich owocem miała być karjera.
Przystojny, względnie bogaty, mógł łatwo obalamucić się koryfeuszostwem, jakie

mu przyznawano na partykularzu. Miejscowe piękności teraz
nie na żarty oglądały
się za nim. Ale on sięgał wyżej. Widząc potrzebę ogładzenia
się, załatwił sprawy
spadkowe i wyjechał prosto do Paryża. Chciał się nauczyć
języka i savoir vi-ere.
Po paru latach cel w zupełności osiągnął. Z majątkiem nic nie
uszczuplonym,
powrócił do Galicji, ale w inne strony. Dawne stanowisko ojca
w miasteczku, nie
miało mu, w jego pojęciu, pomagać do zdobycia kariery. A
jako najwygodniejszy,
obrał sobie zawód obywatela ziemskiego. Nie brał w rachunek
braku kwalifikacji,
dają-

cego się rządcą zastąpić. Zachęcało go to kacykostwo
przypisywane przez
mieszczan ziemianom, którzy wobec swej niezależności, mają
jakoby przywilej
rozkażą i sądu kiedy im nikt rozkazywać, ani ich sądzić nie
ma prawa.
Nabył więc Ireneusz dobra ziemskie, a dla lepszego efektu,
przed nazwiskiem
Wagner. przypisał sobie przydomek Waga. Na te ciężkie
czasy, mało kto posiada
Paprockiego lub Niesieckiego. wiedzą o nich zaledwie w
bibliotekach publicznych.
— Dziś zresztą rzadko sprawdza się historję rodu.
Tak zainstalowany, marzył teraz o słodkiej przyszłości.
Dobrze urządzony majątek

z lasem, propinacją i czerwonym dachem na murowanym
dworze, oto połowa dzieła,
już dokonana Piękny posag, nie brzydsza żona, tytuł jakiegoś
prezesa chociażby
tylko dozoru kościelnego a potem — kto wie? oto reszta, jaką
trzeba było
zbudować. Akcent czysto francuski, pięknie fryzowana blond
broda, garderoba
paryska, obejście się w salonie, a zwłaszcza z daniami tout ce
qu'il y a de plus
correct to wszystko podsumowane z fortuną, zrobiło
obywatela pierwszej wody.
Ale są fatalności.
Ireneusz, już dobrze zżyty z okolicą, bywał częstym gościem u
państwa Protów w
najbliższym sąsiedztwie. On zapalony myśliwy, ona ponętna
kobietka

Pan Prot polował, jak rok długi. Wybiwszy cyranki, bekasy i
dubelty, przechodził
do kuropatw; potem przenosił się do kniei i tępił czworonogi,
od St. Józefa
poszukiwał słomek, a w maju, kiedy ustaje myśliwstwo
wszelkie, zawzięcie ze
szpadelkiem na krety polował. Wobec tego, cóż mogła robić
pani Protowa? Nie
miała dzieci i nie widywała męża. Zostawał piękny sąsiad,
któremu pan Prot był
zawsze niezmiernie rad. bo żona od czasu zawiązania tej
znajomości, mniej
nalegała na wizyty lub wycieczki do Lwowa.

Szesnastego stycznia, zebrała się cała okolica w domu państwa Marcelów, jako w dniu imienin gospodarza domu. Pan Prot nie odmówił żonie udziału w tej uroczystości, pomimo, że gajowy w przededniu dzika przetropił.

W starym, niskim dworze, bawili się licznie zebrani goście państwa Marcelów, których znana gościnność tradycyjnie rozsuwa ściany. Pani Protowa była królową balu. Jej gustowna różowa suknia, pięknie odbijała od czarnych włosów, lśniących niezwykajnym, bo świeżo w modę wprowadzonym brylantowym pudrem. Rzecz prosta, pan Ireneusz był tem więcej zachwycony wdziękami sąsiadki.

Dobrze po północy podano kolację. Toasty krążyły bez liku, a gdy po długich paru godzinach, muzyka zagrała mazura, zaledwie naj-

młodszy pospieszyli do tańca; starsi woleli trzymać się kieliszka. Wnoszono, jak zwykle, zdrowia wszystkim kolejno, a więc solenizanta, gospodarstwa i tak bez końca. Przez serwetę podawany spory puharek, krążył z rąk do rąk, aż znowu powstał gospodarz:
— Panowie! idąc za porządkiem podług godności i wieku, spełniłmy za zdrowie tu

obecnych, a na domek nasz łaskawych gości. Ale nie możemy zapomnieć o kimś, co z wielu względów zasłużył na nasze uznanie, jako miły sąsiad i towarzysz, który i dziś niemało przyczynił się do ożywienia' zabawy. Panowie! za zdrowie pana Wagi Wagnera!

Obejrzano się dokoła, oczekując podziękowania ze strony uczczonego. Był nieobecny. Pan Prot podążył do ba wialni, licząc, że tam znajdzie sąsiada. Ale i tu go nie zastał zarówno jak i małżonki. Korytarzyk z sieni wchodowej, prowadził do oranżerji w której już dawno zaniechano hodowli kwiatów. Natomiast widziałeś tu słoneczniki, dynie, miód w plastrach, pomidory, główki maku i inne płody, mogące nawet Appcllesowi wystarczyć treścią do mistrzowskiego płótna. W braku miejsca, w owej ex-oranżerji, urządzono dla gości skład futer i salop, niby kontramarkarnię bez kontramarek. Tu i teraz

zaszedł pan Prot, w poszukiwaniu Wagnera. We drzwiach spotkał się z panią Protową.

— Czy nie widziałaś Ireneusza? — zapytał.

— Nie, zapewne jest w salonie.

Nie poprzestając na tem, wszedł do ciemnej oranżerji, a gdy zapalił zapałkę,

dojrzał kogoś, wciskającego się pomiędzy stosy szopów i
popielec, niedźwiedzi i
tomaków. Zbliżył się i poznał — Wagnera.

Ziarnko podejrzenia było rzucone.

— Tak jestem zmęczony — mówił młody sąsiad przytomnie
— żem się tu ukrył na
chwile.

Mimo pozorów, nie było podstawy do zarzutu. Pani Protowa
mogła nie wiedzieć o
spółobecności Wagnera, a wreszcie znaną jest skłonność
mężów do
usprawiedliwienia ich żon.

— Chodźżeż, sąsiedzie — wzywał pan Prot. — Gospodarz
wniósł pańskie zdrowie i
wszyscy na pana czekają.

Nie było rady. Wagner wy dostał się z pomiędzy stosów i
gratów, i chcąc nie
chcąc, podążył do jadalni. Ale gdy ukazał się w świetle,
zwrócono nań ogólną
uwagę. Ramiona i piersi jego błyszcząły, jakby brylantami
usiane.

To był modny puder pani Protowej. W pięknej brodzie, jak
strzała, tkwił z
fantazją rożenek śliwek suszonych.

— Vygyjen cl as ördög — klął węgierski oficer w dwa dni po
Św. Marcelim. —

Dwadzieścia minut po dziesiątej], możemy plac ostrzelać.

Opodal stało dwóch panów. Poranek był mroźny.

W tej chwili dał się słyszeć skrzyp sani po zmarzniętym
śniegu, a w ślad za tem,

z bukowego zagaju wypadły parą dymiące kasztany.

Osadzono je na miejscu, że się
sparły na zadach.

Z sani wysiedli dwaj panowie. Nie mieli woźnicy.

— Rotmistrz — ozwał się jeden — nasz paukant drapnął.

— Menja polcolba - zaklął znów Węgier.

— Cokolwiek jest, panowie, mamy honor oświadczyć się do
waszej dyspozycji.

— Do żadnego z panów nie mam pretensji. Tę odpowiedź dał
pan Prot.

Po paru minutach rozmowy, dwoje sani szparko pomknęło, w
tym samym kierunku.

Nie wiedziano w okolicy, gdzie i jak zniknął pan Wagner.

Epizod na imieninach i

niedoszły pojedynek, dały bogaty materiał do gawęd w
sąsiedztwie. Ale powoli

wszystko poszło w niepamięć, aż dopiero z wiosną słyszano,
że do majątku Wagnera

zjechał ktoś z plenipotencją i takowy sprzedał
starozakonnemu. Ten

fakt był apoteozą rzeczy, poczem gawędki ucichły. Mąż tylko
pani Marcelowej

szepnął kiedyś dobrodusznie swemu proboszczowi na ucho:
nie byłoby przyszło do

tego, gdyby moja żona dała się przekonać do nafty. Ale ona
obstaje przy swoim,

że lampy są niebezpieczne, gdzie dzieci w domu. Oto,
dlaczego w oranżerji nie

było światła.

— Tak jest — odparł proboszcz, zażywając tabakę. —
Ciemności są zawsze
najgorszym doradcą.
Taką była przeszłość Wagnera, który w tej chwili zawarł z
Turskim znajomość, w
niekorzystnych dla siebie warunkach, z powodu podsłuchanej
w przeddzień rozmowy.

IV.

W Ostendzie rozstali się młodzi ludzie. August kazał zawieść
się do hotelu
Mertiana, bo wiedział, że tam miały zamieszkać znajomo
panie. Rad je zobaczyć
natychmiast, a może uprzedzić rywala, ponieważ była pora
koncertu, młodzieniec
dążył do kursalu. Nie potrzebował pytać o drogę. Wilgotny,
solą przesycony
wiatr, ciągnący od morza, jest tu drogowskazem dla
cudzoziemca. Jakoż za chwilę
znalazł się Turski w wielkiej koncertowej sali, a obszedłszy ją
w około,
sposzregł matkę i córkę, siedzące przy oddzielnym stoliku w
towarzystwie siwego
pana. To był doktor miejscowy.
Z bijącym sercem zbliżył się do stolika.
— Kiedyż pan przyjechał? — zapytała po przywitaniu
Kamilla, ale z takim
wejrzeniem, jak gdyby mu chciała okazać radość z przybycia.
— Jestem tu zaledwie od pół godziny — odparł Turski,
zachwycony przyjęciem,

poczem

na uprzejme zaproszenie matki, przysiadł się do towarzystwa. Wspólnie rozmawiano o tem i owem, a August wspomniał o zawartej znajomości z

Wagnerem i bacznie śledził wrażenie, jakie to nazwisko wywrze na pannie

Zahorskiej. Ale nie dostrzegł nic.

— Poznałyśmy tego pana we Franzensbadzie — mówiła panna. — Bardzo miły człowiek.

Teraz przypomniałam sobie, że on także z Hrubieszowskiego.

— I tu znacząco spojrzała na matkę.

— Panowie nie znaliście się dawniej?

— Nie, pani. Znam wprawdzie majątek nabyty przez niego w mojem sąsiedztwie, ale

z nim samym poznałem się dziś dopiero.

Obojętna rozmowa matki z doktorem, a córki z Augustem, trwała długą chwilę.

Koncert miał się ku końcowi, publiczności zaczynało ubywać.

— Wszakże pan nie znasz morza — odrzekła Kamilla — a więc przejdźmy się po

dydże, zanim odegrają ostatnie numery.

Nigdy propozycja nie była lepiej przyjęta, tem więcej, że starsi woleli zostać

na sali.

— A dziś morze dobrze się panu przedstawi, bo jest wyjątkowo wzburzone —

dorzuciła matka.

Za chwilę młodzi byli sami, sparci o poręcz bulwaru.

Słońce tylko co zaszło, silny wiatr pociągał z północy.
Daremnie ścigałbyś okiem
wód krańce, bo tak się w horyzoncie gubiły, że zdawało się,
niebo i morze to
jedno. Woda, jakby w gniewie szalonym, ciskała spienioną
falą raz po raz, a
bałwanów szum dziki głużył dolatujące pianissimo
wykonywanej w kursalu
symfonji. Harmonijne jej tony, zdawały się chcieć ugłaskać
rozhlukany żywioł.
Podobne otoczenie nie czyni wrażenia na kąpielowcu,
któremu lekarz corocznie
zaleca wzmacniać w morskiej elektryczności osłabione nerwy.
Ale Turski poraż
pierwszy stawał w obliczu tej niezmiernej potęgi wód
nieprzejrzanym, co tak
bardzo podniecają twoją fantazję: tam, hen w naszych
głębinach, jest świat
drugi, tajemniczy a groźny....
— Czy to nie wspaniałe? -- przerwała pierwsza Kamilla, i
patrzyła w twarz
młodzieńca, chcąc sądzić o człowieku z odbieranego przezeń
wrażenia. — Czy pana
to nie zachwyca?
— Nie tyle zachwyca, ile przeraża. Tu wszystko gniewa się i
walczy, a ja wolę
spokój i zgodę.
— Zapewne, tak chcielibyśmy, i życie sobie urządzić, ale
niestety inaczej się
dzieje. Biada temu, kto się nie oswoi z gniewem i walką, bo
one go

nieprzygotowanym zaskoczą. Ja jestem

kobietą, a jednak czuję w sobie dość siły do obrony, a nawet napaści, gdyby tego zaszła potrzeba.

Niepomiernie te słowa zadziwiły Augusta.

— Czyż kiedykolwiek zachodzi potrzeba napaści? — zapytał.

— Powinniśmy trzymać w dłoni tę samą broń bez jakiej dziś nie wychodzi nikt z domu.

— Nie umiem pani odpowiedzieć na to, bo z innej strony patrzyłem dotąd na życie i ludzi. Ja z nimi walki nie szukam.

— Wierzę i nie dziwię się. W naszej wspólnej podróży określiłeś pan pobieżnie swoje wychowanie, i ono tłumaczy różnicę naszych poglądów.

Co do mnie, patrząc

tu w wodne otchłanie, przejmuję się tym światem podmorskim. W tej walce na

śmierć i życie, zwyciężają silniejsi, a niedołęźni muszą ginąć bez śladu! Niema

dla nich litości. I chętnie poszłabym tam w głębiny, aby się od tych zapastników

nauczyć, jak sobie w naszym życiu poczynać.

Kamilla zapalała się, a czarne jej oczy błyszczały jak ognie. W tej naturalnej,

czy sztucznej ekstazie, dosięgnęła szczytu piękności.

— Wnosićby można, że panią w życiu spotkały zawody. Nie sądzę, aby pani

nieprzyjaciół mieć mogła.

— A czyż o nich tak trudno ?

— Ja nie znam ich wcale.

— Szczęśliwy, bo płynąłeś po wodach spokojnych, a zawsze tuż przy brzegu, w osobie kochającej i kochanej matki. Mnie, brak ojca odbił cokolwiek od ładu.

Ale... mówmy lepiej

O czym innym. Jeżeli morze pana przeraża, to zapewne jesteś zwolennikiem ciszy i wiejskiej sielanki.

— O tak pani. Wieś lubię nadewszystko i nie potrafiłbym rozstać się z nią. Tak mi zresztą dobrze w domu.

— Czemże pan wypełnisz cały dzień?

— Mam książki i pisma, w ogrodzie kwiaty, w podwórzu i w polu gospodarstwo, stanowiące moje główne zajęcie.

— I to panu a la longue wystarcza?

— Jeżeli chwilowo zapragnę rozmaitości, wówczas idę do lasu i sprawiam sobie prawdziwą ucztę.

— A, to ciekawe.

— Tam jestem, jak król z bajki. Najwybredniejszym moim zachciankom staje się zadość. Chcę ciszy, mam ją doskonałą. Cisza mnie znuży, przenoszę się słuchem między korony lip i dębów starych, a one szumią tak miło, tak łagodnie, nie z tym szalonym gniewem, jak tu morze przed nami. Zapragnę melodji, a wnet w

olszynie gardziołko szarego śpiewaka wyciąga tony
najpiękniejszego z romansów.
To słowik. Gdyby miał duszę, wyśpiewałby ją w ostatnim
trylu.

Tam dalej, wilga żółtopióra skarży się niby żałością, kos
wyśpiewuje wesoło a
skocznie, e, mój Boże, cała kapela idzie z sobą w zawody. To
stary koncert,
zawsze ten sam, a przecież nieobsłuchany. Takiego przywileju
nie mają

Beethoveny, Mozarty i Liszty.

Zamilkł August i zapatrzył się w piękną twarz Kamilli, która
w zamyśleniu,
ścigała wzrokiem pojawiające się już fosforyczne błyski na
morzu.

— Pan lubisz, jak widzę poezję — mówiła po chwili. — Ale
czyż mimo tego nie
dokucza panu samotność?

— O, ja tam nie jestem samotny; tam pełno życia, a wszędzie
swoboda. Niech się
tylko nachyle i spojrzę w mrowisko, już mam całe
społeczeństwo w pracy przed
sobą. Ach, pani jakież to piękne! Nikt tam czasu nie traci bez
celu nie chodzi;
organizacja idealna, siły umiejętno rozłożone. Tu młode
mróweczki znoszą małe
ździebelka, tam stare, po kilka razem, złączoną siłą dźwigają
większe od nich
samych ciężary, w około pilność, posłuch i pojęcie wspólnych
interesów, Gdy

jakiś nieprzyjaciel naruszy ich spokój, z jakąż solidarnością
garnie się ta
wielka rodzina do ratunku swych domów. Ktoś z
przyrodników wyraził się, że gdyby
świat zrobiono mrowiskiem, wówczas sądy, adwokatów i
prokuratorów znalazłbyśmy
tylko z tradycji.

— Jestem wieśniaczką, ale nie przypuszczałam, żeby ktoś jak
pan, na wsi, sam,
nawet w lesie tak przyjemnie czas mógł przepędzać. To
bardzo interesujące Ale
słucham dalej.

— Cóż powiem więcej? Gdy słońce zachodzi, opuszczam tron
mego królestwa, aby swą
obecnością nie przerywać mym podwładnym spoczynku. Bo
tam życie inne, tam nikt
dnia z nocy nie robi. Zmrok zapadł, puhacz odezwał się w
oddali po trzykroć,
niby dzwon, wzywający do spoczynku jestestwo. I zaraz
wszystko usypia, bo
nazajutrz z pierwszym światłem słonecznych promieni, ta
sama praca czeka
każdego.

— Pański obrazek o wiele wdzięczniejszy od mojego, na
temat morskich otchłani,
ale ja nie znałam się na tem. Słuchałam zawsze Szopena w
salonie, bo mnie od
słowika odstraszały komary. A tych pracowitych mrówek,
które pan tak idealnie

przedstawił, bałam się zawsze, pomna na los Telimeny.
Obrazy, pejzaże
podziwiałam chętnie, ale w galerjach, wysłanych miękkim
dywanem.
— To też nie wychodząc z atmosfery salonu, nie miała pani
sposobności
podziwiania wszystkiego, co jest po za nim, a co jest
nierównie piękniejsze.
Ale. nas tak mało w salonach, a tam gdzieś dalej, ciągną się
długie szeregi chat
niskich, w których mieszka lud, i tego jest

więcej. Wierzę, że pani uznaje muzyków, poetów i malarzy,
bo oni kształcą jej
naturalne poczucie piękna. Ja, nic ujmując nic pierwszym,
uwielbiam estetykę
przyrody. Dotąd jedynie ona kształciła ten lud, który bez tego
byłby w stanie
zupełnej dzikości. A ja kocham lud, bo sam jestem
wieśniakiem, a on moim
współpracownikiem.
— Wie pan, że jestem, jak nawrócona, i to panu zawdzięczam.
Urodziłam i
wychowałam się na wsi, a dopiero dziś widzę, ile tam poezji i
piękna. Trzeba
tylko umieć przyglądać się temu tak, jak pan się przygląda. Ja
nie miałam
sposobności do tego. Majątki nasze są obszerne. Osobiste i
szczegółowe
zajmowanie się gospodarstwem matki mojej lub moje, nie
zapobiegłoby konieczności

wyřeczania się rządcami i plenipotentem. Czyż pan u siebie nie postępuje tak samo?

— Staram się być wszędzie i wiedzieć

O wszystkim.

— Czy to możebne w dużem gospodarstwie?

— Zależy od dobrych chęci. Prawda, że ja zajeżdżam dziennie dwa konie.

— Można panu powinszować zamiłowania do pracy. Więc pański majątek musi być nietylko duży, ale i zagospodarowany wzorowo?— Mam kilka folwarków w niezłej kulturze i znaczny obszar lasów.

— I na swoim królestwie nie zateęskniłeś pan za piękną królową.

Gdyby nie zmrok, dojrzałaby Kamilla jeszcze jeden rumieniec na młodej twarzy

Augusta. Zanim zdobył się na odpowiedź, dodała:

— Chodźmy już, koncert skończony i pora na obiad. Gdzie pan mieszka?

— W hotelu Mertiana.

— A. jak to dobrze. Więc pan naszym sąsiadem? Niechże pan się zapisze na table

d'hôte, a będziemy się w dalszym ciągu bawili sielanką, którą pan tak ładnie malujesz.

— Żartuje pani ze mnie.

— Bynajmniej. Przyznaję, że kiedym pana spostrzegła, wtedy w wagonie....

— Gdym panią tak przestraszył....
— Sądziłam wówczas...
— Że?
— Miałam pana za dzieciaka.
— A dziś?
— Nie powiem. — I Kamilla uśmiechnęła się figlarnie. —
Dobrze, żeś pan
przyjechał. Podejrzywałam, że będąc zaledwie o kilka godzin
od stolicy świata,
gotów pan zapomnieć o danem mi słowie.
— Chętnie wyrzekłbym się raz na zawsze poznania Paryża,
gdyby od tego miał
zależać mój przyjazd do Ostendy.

Te słowa August wymówił zniżonym, a drżącym głosem.
— Czy to pochlebstwo dla mnie, czy.... chęć poznania morza?
— W moim rozkładzie podróży, Ostenda nie była zapisana.
— Dziękuję — rzekła Kamilla, podając rękę towarzyszowi i
obdarzając go uroczem
spojrzeniem. — Długo pan tu zostaniesz ?
— Miałem zamiar zabawić tylko.. . jeden dzień.
— Ale go zaniechałeś, czy tak?
— Nie pragnąłbym nie więcej, jak zostać tu dłużej, lecz... to
nie odemnie
zależy.
— Może od terminu rozpoczęcia gorzelnianej kampanii?
Wszak to się tak nazywa?
Jakkolwiek wielkie mam zamiłowanie do gospodarstwa, to
jednak nie do tego
stopnia, abym w tej chwili, stojąc tu obok pani, miał
poświęcać myśl moją

gorzelnicy, którą uważam za jeden z moich środków ale nigdy celów.

— Tem lepiej. Zatem to, od czego zależy pański pobyt w Ostendzie, ma bliżej swoje źródło, czy zgadłam?

— Tak, pani, jaknajbliżej.

— A więc, niech się pan nie spieszy z wyjazdem, panie Turski; zgoda?

W tej chwili uczynił August ruch, jak gdyby chciał ująć rękę pięknej kobiety,
ale

błyskawicznie przeprowadził proces myślenia i, nie bez widocznej niezręczności, zamiaru zaniechał. Oceniał, że byłoby to z jego strony zbyt śmiałym.

Ona ten ruch zauważyła i zaraz pomyślała : tego trzeba będzie z gruntu ośmielić.

Teraz podążali oboje do kursalu, gdzie złączyli się z panią Zahorską i, po

pożegnaniu z doktorem, wyszli ku hotelowi Mertiana.

August skwapliwie towarzyszył damom podczas obiadu. W rozmowie wspomniano

jeszcze o Wagnerze, a pani Zahorska, zręcznym manewrem, zdołała dowiedzieć się

od Turskiego, że Teżyn, to nieduży majątek.

Wagner sam nie spieszył się z wyszukaniem swej znajomości.

Natomiast zgłosił się

na pocztę, a odebrawszy list adwokata z Lublina, zasiadł w restauracji do

obiadu. Zaledwie przy owocach otworzył kopertę. Po chwili, mówił do siebie:
— Kodeks i hipoteczna procedura. Napoleona, to podobno większa jego zasługa, niż bitwa pod Austerlitz, o której coś słyszałem. Jak to wygodnie za pocztową markę dowiedzieć się, ile panna warta. No, proszę, mogłem się brzydko złapać. Panna jak panna, po prostu kokietka, ale mama, o, chytra baba, byłbym przysiągł, że siedzi na kapitałach. Ha, stracona droga do Ostendy, jeżeli się coś innego nie trafi. Garçon, une demi-tasse et une fine.

V.

Hrubieszowskie, to kraj bogaty i piękny. Ale zaledwie, kilkanaście, przeważnie większych majątków, składa się na to słynne serce czarnoziemów i borowin, które nie mają wprawdzie zachodniej kultury, ale zdają się do rolnika przemawiać: pracy rzetelnej, a plon zapłaci się sownicą. Świat tu otwarty, wesoły, łany górzyste, wśród nich wyniosłe, dębowe lasy. Hrubieszowski ziemianin łatwiej od innych wytrzyma przywiązane do roli ciężary, to też i nie frymarczy majątkami, jak się to rozpowszechniło po kraju. Topolany i Nadbuże, sąsiednie majątki, walczą zdawien dawna o lepsze pod każdym

względem. W pierwszych Lubiczowie, w drugim Turscy,
siedzą od niepamiętnych
czasów.

Eustachy Lubicz, okoliczny luminarz, zostawił wzorowo
zagospodarowane Topolany i
znaczne kapitały dwojgu dzieciom, Zygmuntowi

i Anieli, którzy dotychczas nie spieszyli się z podziałem
majątku. Dobrze im
było razem.

Zygmunt, dziś trzydziestoletni mężczyzna, wstąpił w ślady
ojca. Po nim wziął
rozum, po matce serce, po obojgu zacność. Kiedyś idealny
syn, potem najlepszy
brat. wreszcie wzorowy obywatel, zyskał powszechny
szacunek i uznanie.

Wysoki, barczysty, ciemny szatyn, nosił zarost bez żadnych
fryzjerskich form o
wypukłym czole, miał twarz myślącą, rozumną, a wzrok
łagodny.

Aniela była znacznie młodsza od brata. Drobna, szczupła
blondynka, żywego
usposobienia, do szesnastego roku życia, zachwycała
wszystkich swą śliczną
twarzyczką, zgrabną figurką, a tak słodką dobrocią, że ją
aniołkiem nazywali w
domu.

— Kto nie wierzy, że ludzie mogą być zupełnie szczęśliwi —
mówiono swojego czasu

w okolicy — niech zajrzy do Topolan Starzy Lubi czowie żyją
niby dwa gołąbki,
kochani i szanoprzez wszystkich, dzieci mają jak wyszukane.
a majątek im rośnie
bez żadnych zabiegów i trudów.
W złą godzinę to ktoś powiedział, bo oto Anielka-aniołek,
ubóstwiana przez
rodziców i brata, dostaje skrofulicznej choroby i, po
całorocznym wysiłku
rajbieglejszych lekarzy, wstaje z łóżka uratowana, ale —
garbata.

Skończyło się w Topolanach legendowe szczęście. Płakali
rodzice podczas choroby
córkę, płakali po jej wyzdrowieniu, płakali jeszcze na łóżach
śmierci. Nie ma
szczęścia na ziemi.
Rodziny Lubiczów i Turskich, żyły z sobą w blizkiej,
szerokiej przyjaźni. Zaczne
to były rody, więc na wdzięcznym gruncie umocnił się ton
stosunek. Tu, jak
kwiatuszek, rozwijała się śliczna dziewczynka, tam, dorastał
chłopczyk jedynak,
oczko w głowie. Naturalny porządek rzeczy, stworzył
kombinację pomiędzy
rodzicami. Gucio Turski z natury poważny, wreszcie
zatopiony w Lineuszu,
Cahourze i Corneliuszu Neposie, Ignął wprawdzie do znacznie
starszego Zygmunta
Lubicza i przepadał za milutkim aniołkiem, ale po za ton,
myślą dalej nie

sięgał, bo sięgnąć nie umiał. U dziewcząt wcześniej budzą się instynkty.

Lubiczówna przeczuwała, że w swoim czasie, tylko Gucia Turski ego wypadnie jej wybrnąć,. Prawie dziecięcy ten pogląd, jeszcze nie zrodził miłości, ale dla niej przygotował pole. W takiej epoce, choroba schwytała Anielkę. Potem znów szeptał jej instynkt, ale inne rzeczy: Gucio mnie nigdy kochać nie może.

Między rodzicami nie było więcej mowy o kombinacji. Poszło wszystko w niepamięć, ale w sercu garbuska zostawiło szczyrby.

Dziś, po latach, Aniela nie marzyła o zamążpójściu. Kiedy brat zwracał jej uwagę w tym względzie, odpowiadała mu:
— Nie wątpię, że znalazłabym nie jednego konkurenta, bo jestem bogatą, ale gdyby między nimi trafił się taki, któryby mnie kochał prawdziwie, odmówiłabym mu stanowczo i radziła, aby zamiast mnie kalece, swą miłość ofiarował innej kobiecie, bo taka miłość równałaby się skazaniu na dożywotne więzienie, byłaby tylko chorobliwą. A choroby mijają. Tak pojmowała Aniela małżeństwo w stosunku do siebie. Zygmunt z czasem oswoił się z tera postanowieniem i nalegać przestał, ale wobec tego i sam nie kwapił

się o wybór małżonki, a kiedy go siostra z kolei o to upominała, tłumaczył jej:
— Dlaczego miałbym się spieszyć? zastępujesz mi matkę, jesteś najlepszą towarzyszką, nieocenioną gospodynią, przytem wygodną współpracowniczką. Wprowadzić w dom żonę, znaczyłoby zaryzykować spokój naszego ustroju, z którym nam dobrze obojgu.

Po takich słowach Anioła zapytywała siebie, czy swą obecnością nie przeszkadza bratu do stworzenia rodziny, a ten znów, na wzmiankę o rozłączeniu, słuchać o tem nie chciał.

Upływały lata, i nic się nie zmieniało w tupolańskim pałacu.

A piękny to był pałac.

Stary Lubicz twierdził, że przyjemne mieszkanie stanowi połowę warunków przyjemnego życia, a zwłaszcza dla wieśniaka, którego zawód domaga się domatorstwa. Na wsi, gdzie nie ma teatrów, koncertów, klubów i innych tak licznych, a miastu właściwych źródeł zabawy; nalepy stwarzać we własnem otoczeniu rozrywkę i przyjemności. A więc w miarę środków, mieszkanie niech będzie obszerne i wygodne, wewnątrz i zewnątrz ozdobne. Instrumenty muzyczne, dobry pędzel na ścianie, zbiorek wyborowych książek, starannie utrzymany ogród,

w nim piękne kwiaty, oto, czego potrzebuje wieśniak, aby nie tylko nie uciekał z domu, ale tęsknił za nim.

Było więc wszystko w pałacu Lubiczów, którego urządzenie bez przesady, ale

wytworne, osiągnęło cel, założony przez starego, bo rodzeństwo najprzyjemniej spędzało w domu wolne od zajęcia chwile.

Młody Turski bywał prawie codziennym ich gościom. Po za nim, o tyle tylko

utrzymywano sąsiedzkie stosunki, o ile tego tak zwany konwenans wymagał.

Oprócz pana i pani, był jeszcze ktoś trzeci, wcale nie podrzędne miejsce

zajmujący w topolańskim dworze. To stary Michaś, ulubiony służący nieboszczyka

pana, w testamencie przez

niego obdarzony legatem. Dziś doganiał już siódmego krzyżyka, a mimo że przez

młodych był uważany za przyjaciela, sam nie chciał wychodzić z roli, jaką tu od

pół wieku odgrywał. Za nic na świecie nie pozwoliłby zastąpić siebie o właściwej

godzinie, kiedy należało zameldować przy drzwiach: waza na stole. W ostatnich la

tach zgodził się, aby mu dodano do pomocy młodszego lokaja, ale przechorowałby

niezawodnie, gdyby nie on sam, własnymi rękami, podawał paniczowi i panience

półmiski. A niepodobna było sprzeciwić się Michasiowi, bo zaraz przewieszał strzelbę przez plecy, a świsnąwszy na swego Łyska, przepadał na tak długo, aż wysłani ludzie z końmi i bryczką i wyraźnym rozkazem powrotu, odszukali go het na skraju topolańskich lasów. Wtedy siadał i, mrużąc, powracał, a choć zwykle w tych razach sterany i słaby, stawał bezzwłocznie przed paniczem i panienką.

— Przyjechałem, bo taki miałem rozkaz, ale państwu za chleb dziękuję. Jeść za darmo nie przystoi. Wiem ci ja, że już niezdara i dlatego wolę ustąpić.

Wówczas panienska, wspinając się, kładła ręce na ramiona Michasia, który niby się gniewał, ale do tej miłszej mu nad wszystko pieszczoty, stare barki pochylał.

Każda taka scena kończyła się łzami w siwych oczach Mi-

chasia i najlepszą zgodą między państwem, a wiernym sługą.

W tej chwili cicho było w pałacu, jak makiem zasiał.

Państwo na zewnątrz, każde przy swej czynności, służba rozbiegła się,

korzystając z wolnej godziny.

Słońce ponad parkiem posuwa się ku zachodowi, czysto i jasno, żadna nie zasłania

go chmurka — to na pogodę. Wśród zupełnej ciszy, słychać tylko komary, brzęczące

skargą, że na schyłku ich żywot, bo i lato na schyłku. Za chwilę zapadnie

wieczór. Ale oto tarcza słoneczna, zanim w widnokregu
zejdzie, jak gdyby na
dobranoc poczciwym ludziom, posyła swe złoto promienie
przez weneckie okna
topolańskiego dworu, a nie zastawszy tam nikogo, zagląda do
kąta obszernego
przedpokoju, gdzie pod zegarem, w poręczowym fotelu,
drzemie stary Michaś na
posterunku.

Oryginalnie a pięknie wygląda ta postać. Nie masz na nim ni
barw ni guzów
herbowych, mb trzewików i pończoch. Szaraczkowa bekiesza,
na potrzeby pod szyję
zapięta; biała jak mleko chustka na szyi i długie, jalowicze
buty, -bo to dzień
powszedni. Wysokie czoło, przyszczyżony włos siwy, długi,
obwisły bielutki wąs,
broda wygolona starannie. Wyraz twarzy łagodny, nasunąłby
każdemu uwagę: ten
człowiek ma nieza-

wodnie czyste sumienie. U nóg Michasia leży kiedyś żółtawy,
a dziś już płowy
pies, Łysek, z uciętym ogonem, stercząceini uszkami i siwym
pyskiem. Różne w nim
rasy zmieszane, a panuje gatunek owczarski.
Na blask słoneczny, Michaś oczy otworzył, podniósł się z
fotelu i na zegar
spojrzawszy, ucha nadstawił Usłyszał tentent konia. Teraz się
wyprostował, wąsy

poprawił i żwawo wyszedł przed frontynę pałacu. Pies chyłkiem szedł za nim.

W łuk wygiętą aleją z ustawionych w dwa rzędy prastarych drzew pomarańczowych, na pięknym, jak lalka, angloarabie, podjeżdżał zwirowaną drogą pan domu. Pomimo

piany na karej, błyszczącej szerści ogier snąc nie strudzony, bo łbem rzuca z

fantazją, żelazo w pysku przeżuwa, a sadzi dosłownie na zadzie. Jeszcze dwa susy

i Zygmunt lekko zeskoczył na kamienny próg pałacowy.

— A potrzeba to paniczu i siebie zmęczyć i bydlę sponiewierać, co? — zawołał

Michaś.

— Cóż to stary, nie wiesz, że konie mdłe pod jesień? — tłumaczył się Lubicz.

— Co miałbym nie wiedzieć, ale takbym szkapy nie zmachał.

I koń i człowiek nie

na raz. Bo to, jakbym widział, od obiadu panicz objechał i

Majdan i Kruszynę, a

bodaj że i Nowiny.

— Jakbyś tam był Michasiu.

— Biedny Jeleń, jak z wody wyjął. — To mówiąc, stary strzemiona przesunął,

popręgów popuścił i podprowadziwszy ogiera w kierunku stajni, silnym, zdrowym

jeszcze głosem zawołał. — Józek, do konia. — A kiedy zadysznanemu forysiowi oddał

wierzchowca i pół godziny przeprowadzać polecił, do panicza wrócił.

— A gdzież panienka, Michasiu?

— Do ochronki poszła, bo na Anioł Pański dzwonili. Jak trzeba, to skoczę po panienkę.

— Oj stary, tybyś tylko skakał, a chodzić nie możesz. W nogach drze? co?

— Co nieme drzeć, ale to mnie drze, nie kogo. Darcie darcie, a służba służbą.

— Nie trzeba chodzić, słońce już zaszło, zaraz panienka nadejdzie.

I w istocie, ulicą od parku, podążała Aniela, ubrana skromnie, w perkalową

sukienkę, bez parasolki i rękawiczek; natomiast miała na głowie chusteczkę, a w

rękach koszyki, ale już próżne, bo wszystko, co przed chwilą zawierały, owoce,

pierniki, orzechy — pochłonęły dzieci w ochronie.

Brat pospieszył na spotkanie siostry, a tak się witali serdecznie, jak gdyby się

nie widzieli oddawna.

Cóż nowego w twoim wydziale? — zapytał Zygmunt.

— Dzięki Rogu, nic złego. W szpitalu mamy tylko dwoje chorych. Onufremu gorączka

przeszła i spodziewam się, że wstanie za parę dni. Pawłowa zawsze kwęka i

powiada, że „cała nie może”. Wątpię aby wyzdrowiała.

— Na starość nie ma lekarstwa, moja droga. Cóż się pokazało z Błażejem?

— Dojechałem na miejsce. Wszystko spalone do szczętu, on sam chodzi, jak błędny,

ale go pocieszyłam. Dzieci umieszczę tymczasem w ochronie,
on pójdzie do Nowin
na komorne Obliczyłam, że jego pożyczka wyniesie trzysta
rubli w gotówce i
materjale. Jutro będzie miał wszystko wydane.

— Jakaż przyczyna pożaru?

— Na nikogo nie ma podejrzenia. Ale wiesz, Zośka Smolanka
wybiegła za mną aż za
wieś. Pyta się, czy może iść za Antka Pawlika i czy dostanie
zapomogę.

Powiedziałam jej, że się ciebie zapytam, bo sama nie wiele
wiem o Pawliku.

— Dobry parobek, trzeźwy i pracowity.

— A więc poślę jutro po nią i pocieszę dziewczynę. Dostanie
pięćdziesiąt rubli i
cielątko na posag. A co u ciebie dobrego braciszku?

— Wszystko jak w zegarku. Ale mamy niespodziankę. Byłem
na poczcie, jest list od
Gucia,

— A, przypomniał sobie nareszcie. I cóż pisze?

— Patrz Anielko, nie rozpieczętowałem koperty. Zostawiłem
tobie pierwszeństwo.

Na stemplu pocztowym Ostenda.

— Więc przeczytamy razem. Michasiu. panicz prosi o światło.
Za chwilę Michał wniósł do gabinetu Zygmunta jarzący
świecznik na tacy,
przemawiając patryarchalnie u drzwi: — Niech będzie
pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków — odpowiedziało razem rodzeństwo.

— No, czytaj teraz Zygmuncie — rzekła Aniela — Ciekawa też jestem, jak się jeździ Guciovi.

Zygmunt czytał:

"Niespodziewanie znalazłem się w Ostendzie. Niech was to drodzy, kochani państwo nie dziwi, ale tak widocznie chciały losy. Pominę zupełnie „szczegóły mojej podróży i pobytu w Berlinie, Dreźnie, Kolonii i Spa, a przystąpię odrazu do okoliczności, jaka mnie zaskoczyła".

— Mój Boże, cóż się jemu stało? — przerwała Aniela.

— Zaraz się dowiemy

„W drodze ze Spa do Brukselli, w wagonie, poznałem panią i pannę Zahorską, z Jodłowa na Podlasiu"...

— O, o ! — zawołał Zygmunt.

— Masz tobie, zakochał się Gucio — klaskając w dłonie mówiła Aniela.

Zygmunt z po za listu spojrział na nią nieznacznie.

„Jak zapamiętam, od dzieciennych lat, z każdym kłopotem, smutkiem i radością, spieszyłem ..zawsze do was, kochani państwo. Zaledwie stanęły w stajni pierwsze moje bułane kucyki, a już wołałem: do Topolan pojedę, panu Zygmuntovi pokażę. To znów, nie mogąc zrozumieć określenia accent aigu i accent grave, prosiłem pannę aniołka o pomoc i protekcję do „Lecourt'a, aby mi to jaśniej wytłómaczył. O

wiele później, kiedy śmierć zabrała mi moją najlepszą matkę,
kiedy żal
rozdzielał mi serce, gdzież, jak nie w Topolauach schroniłem
się, szukając tam w
waszej pocziwości osłody tych najcięższych chwil życia
mego!"

— Pocziwy Guccio — wtrąciła Aniela.

„To też i dziś gorączkowo ująłem pióro, aby się wypowiedzieć,
wynurzyć przed

wami, wreszcie podzielić radością, jakiej doznaję".

— A co, nie mówiłam? zakochał się.

— Coś mi na tę radość zawczasie — dodał Zygmunt.

„Panna Kamilla zaimponowała mi swemi wdziękami. Tu w
Ostendzie, zbliżyłem się do

tych pań i, cóż mam powiedzieć, jestem za-

chwycony. Panna nieskończenie piękna, rozumna, ujmująca,
ale podobno bardzo
bogata. I to jest czarny punkt na jasnym niebie moich marzeń.
Wolałbym, aby
taką nie była.

Miałem powody podejrzewać, że jest zajęta panem Wagnerem
z Teżyna, który tu jest

„i z którym poznałem się. Dziś widzę, że z nas dwóch, ja mam
prawo zwać się

wybranym. Z początku, nic dowierzałem swojemu szczęściu,
ale nie mam już

wątpliwości. Zrozumiał to i Wagner, bo, jakkolwiek dawniej
znajomy z temi

paniami, teraz już dał za wygrane i cofnął się.

Nie sądźcie, że się wdzieralem w ten stosunek. Znajac mnie,
nie mozece
przypuszczac, iz w ciagu kilku tygodni wyuczylem sie
donzuanerji lub nabralem
smialosci. Ale w licznych i dlugich rozmowach z Kamilla, nie
moglem nie
wiedziec, ze mi jest przychylna, ze sie jej podobam. To znow
nie posadzajcie
mnie o zarozumialosc.
Do Ostendy jechalem z zamiarem zabarwienia tylko paru dni.
ale zostalem, bo ona
„sobie tego zyczyla.”
— Zyczyla? — bagnał Zygmunt
„Dwie tylko dotychczas znałem kobiety. Pierwsza była moja
matka, dla niej miałem
uczucie synowskiej czci i przywiązania. Druga, jesteś ty
panno Anielo, tak
bardzo godna mojej

szczerzej przyjaźni i najwyższego szacunku. Kamilla jest
trzecią i pierwszą,
która mnie zapoznaje z uczuciem miłości. A w tem uczuciu,
jestem jak odrodzony.
Dotychczas byłem karłom, nieodrosłym od ziemi, dziś miłość
przyprawia mi
skrzydła do lotu w nieznane przektwory. A tam jak dobrze, jak
błogo!
Żeby moje szczęście było zupełne, potrzebuję twej sankcji
panie Zygmuncie. Wiem,
ze moje losy nie obojętne wam, a więc z tem samem
zaufaniem jak zawsze, ślę tę

wiadomość o sobie, i niecierpliwie czekać będę waszych słów życzliwych".

Popatrzył znów Zygmunt ukradkiem na siostrę i łzę dostrzegł w jej oku.

"Ireneusz Wagner, to człowiek bardzo przyjemny. Widząc w nim z początku rywala, nie mogłem mieć dla niego sympatji, ale gdy mi tak łatwo ustąpi, i mimo mojej nad nim przewagi ofiarował swą przyjaźń, zgodziłem się na nią chętnie, bo ona jest szlachetną i bezinteresowną. Dziś, rozmawiamy otwarcie i mile chwile z sobą spędzamy.

Uczyniliśmy wszyscy projekt wycieczki do Paryża, gdzie postanowiłem formalnie oświadczyć się o rękę panny Zahorskiej".

— Aż tak! — przerwał Zygmunt. Aniela była teraz bledsza niż przedtem.

Wagner nalega i radzi mi to wykonać tu jeszcze w Ostendzie. Najlepszy dowód jego życzliwości. Ale tak stanowczego kroku nie chcę postąpić przed otrzymaniem listu z Topolan. Gdybym miał rodziców, ich zapytałbym o ostatnie słowo w tej sprawie

Dziś, tylko od was, kochani państwo, będę oczekiwał rady i tylko z wami dzielę się tą wiadomością najwyższej dla mnie wagi".

— Nie traci czasu nasz Gucio — zupełnie spokojnym i naturalnym głosem mówiła

Aniela, gdy Zygmunt skończył list czytać.

— Nie myślałem, że się tak prędko zakocha. I cóż na to mówisz braciszku?

— Nie łatwa odpowiedź. Jednak to mnie niepokoi bardzo.

— Dlaczego?

— Bo mi te rzeczy idą zbyt nagle, a co gorzej, że za oczami.

— Miałżebyś jakie obawy?

— I nie bez powodów. Przedewszystkiem, najmniej wierzę w panny, które jak na targ, wywożą, się za granicę; wreszcie, kobiety szanujące się, tylko w ostateczności podróżują same. Ten znów na pozór drobny szczegół, że panna miała być zajęta Wagnerem, a nagle skłoniła się ku Guciovi, nie zdaje mi się świadczyć o niej dodatnio.

— Zapewne, ale nie trzeba rzeczy przesądzać.

— Ty Anielko, młoda kobieta, a najlepsza istota pod słońcem, nie przypuszczasz nigdzie nic brzydkiego, bo świat, i ludzi podług siebie oceniasz. Mnie tak brać rzeczy nie wolno. Wszystko tu razem nastrecza mi prawo do pewnych podejrzeń. Ten pan Wagner, nasz sąsiad, którego nie znam, podług listu Gucia, miał powodzenie u panny, a kiedy się znalazł drugi i odbił mu ją, on przyjmuje to stoicznie, a swemu rywalowi ofiaruje najszczerzą przyjaźń. Zapewne, nie jest to niemożliwe, ale nie zwyczajne. Pan Wagner, według tego, musi być człowiekiem wysoko

szlachetnym i sprawiedliwym. Daj Boże, żeby takim był.
— Więc co mu odpiszesz.
— Rzecz jest, Anielciu, nie małej wagi? Wiesz dobrze, jaki
mnie wiąże z Guciem
stosunek, znasz moje obowiązki dla niego Pamiętaj
powiedziane do mnie ostatnie
słowa jego umierającej matki: pod twoją, Zygmuncie, opieka,
nie stanie się
krzywda Guciovi". — Kywają okoliczności, że człowiek nie
znajduje drogi wyjścia
z zawikłań, których jednak sam sobie nie stworzył.. Czyż
wówczas mogłem nie
zapewnić pani Turskiej, że się od opieki nad jej synem nie
cofnę? Byłoby to
godne i ludzkie z mej strony? A dziś, jaką mam rękojmię, że
ten najlepszy,
najzaczniejszy chłopiec ale tak bardzo niedoświad-

czony, czyni wybór szczęśliwy? Z listu widzę, że się po uszy
zakochał. Nie
wielką przywiązywałbym do tego wagę, gdybym miał do
czynienia z młodym, jak
wielu innych. Ale wszak znamy Gucia. Już nie ja sam, ale
ojciec nasz, tak
energicznie upominał jego matkę, aby zmieniła kierunek
wychowania. Nie było
środka, aby przekonać tę zacną, ale krótkowidzącą kobietę. I
wyrosła z Gucia
tkliwa dziewczyna, po mężku ubrana. Zaprawdę, trudną jest
opieka nad takim

człowiekiem. On w świat się wybrał z sercem na dłoni, a ten świat go zawiedzie na każdym kroku.

— Nie przeczę, ale z drugiej strony, dlaczego tak czarno zapatrujesz się na to w tej chwili, kiedy nie przedstawia się jeszcze żadne niebezpieczeństwo?

— A kiedyż ono może być większe? Jeżeli wszystko pójdzie po myśli, ha, to chwała Bogu. A jeśli to wybór zły? Zdrowy dąb oprze się nawet i wichrom, a chociaż burza połamie mu konary — zawsze obstanie. Ale taką egzotyczną roślinę zwarzy i zniszczy już słońce jesienna. A wtedy, gdzie moja odpowiedzialność? Jaki zdam z mojej opieki rachunek?

— Wszak Gucio prosi o radę. Dziś jeszcze pora, więc czemu się tem trapisz tak bardzo?

— I radzić trzeba. Nazwisko Zahorskich nie obce mi, a ten Jodłów, to sąsiedztwo stryja Józefa. Jedno tylko można uczynić, to jest od

niego zasięgnąć jaknajbliższych wiadomości. To człowiek rozumny, a pomimo wieku, bystrego oka.

— Czy myślisz pisać?

— Nie wiem, czy to wystarczy.

— I ranie się zdaje, że w podobnej sprawie korespondencja nie byłaby dostateczną.

— A więc tak zrobimy Anielko. Do Gucia dziś obszernie napiszę i wpłynę na niego, aby nie galopował, dopóki nie otrzyma wiadomości od nas. Stryja Józefa dawno już godziło mi się odwiedzić, nie później więc jak jutro, pojedę do niego i zbadam stan rzeczy.

— A jeżeli wiadomości będą niedobre?

— Ha, to je zakomunikuję Guciovi, radząc stanowczo, aby się w porę wycofał.

Będzie to sprawa ciężka, bo chłopiec może zostać na długi czas serdecznym kaleką, ale przecież to lepsze, niż złe małżeństwo, a przy niem — jak zawsze — złamane życie.

— Wieczorem, przy herbacie, mówił Zygmunt do Michasia:

— Niech Ignacy będzie gotów do drogi. Wyjadę o siódmej.

Trzeba opatrzyć mały powóz i podkowy u czwórki gniadych.

— Jak trzeba, to i powiem, ale u nas nie taki porządek, jak u bankrutów, żeby ładować, kiedy czas w drogę. W powozie szrubki nie brak, a kowal rewiduje podkowy co rana.

— Zawsze powiedz, Michasiu. Przed dużą drogą, ostrożność nie zawadzi.

— A dokąd to paniczyk tak daleko pojedzie? Przecież to siewy, roboty huk.

— Do stryja pułkownika, na Podlasie.

— Michaś pamięta stryja Józefa? — zapytała Aniela.

— A jakże bym nie pamiętał ? Czy to gdzie widziałem drugiego, jak pan pułkownik, żebym go miał zapomnieć ? Czyśmy to z nieboszczykiem, świeć panie nad jego duszą, nie jeździli do Sanie, nie łamali kół i nie kulawili koni na podlaskich drogach? O, do Sanie, to trzeba jechać, paniczu. Kozakiewicz i sam zasieje, jemuć to nie nowość, a dopiero się pan pułkownik ucieszy.

— Więc już zgoda Michasiu ?

— A czy i panienka z nami pojedzie ?

— Nie, panienka zostanie, a Michaś będzie jej i domu pilnował.

— Hm, hm — uśmiechnął się stary — jużby się też chyba świat nogami nakrył, żebym ja panicza samego puścił do Sanie.

— To nie na twoje lata Michasiu, to duża droga.

— Twoje lata i twoje lata, wiadomo, że nie cudze, a taki jabym wszystkich przeskoczył. Wielka mi fanaberja, ośmnaście mil dobrymi końmi. A bo to Ignacy te drogi zna? Za Radzyniem wziąłby pewnikiem na lewo, bo tam

trzy trakty. A mosty takie, co ich niema. Ani wiedzieć, kiedy resor trzaśnie.

— Wiesz, Zygmuncie, Michaś może ma słusność. Lepiej wam będzie we dwóch.

— Ha, niech jedzie, kiedy chce koniecznie. Ale zapowiadam, tu przy panience, z kozia nie będzie nic. Zęby mi o to kramu nie było.

— O dom niech się panicz nie boi — mówił Michaś już innym tonem — wilków i złodzieja u nas nie poświęci, a nasza panienka święta. Krzywda jej się nie stanie, jak i z ołtarza nikt nic nie ruszy. Pójdę do Ignacego. I stary, jak gdyby chciał zaświadczyć o swej sile i zdrowiu, wyprostował się, wąsy poprawił i wyszedł. Zygmunt długo jeszcze z siostrą rozmawiał, a w końcu czule ją na dobranoc uściskał i udał się do swego gabinetu, aby przed wyjazdem do Turskiego napisać. W liście tym odwołał się do swego doświadczenia, przyjaźni i prawa opieki, jakie nań matka Augusta włożyła. Nie czynił nikomu żadnych zarzutów, nie powstrzymywał młodzieńca od miłości ale zalecał cierpliwość do następnego listu. "Wiesz dobrze, Guciu mój — kończy! — że u mnie i Anielci nie brak serca i życzliwości dla ciebie. Nie pragniemy, jak tylko szczęścia twego. Jeżeli wszedłeś na tak łatwą drogę zdo-

bycia go, ja pierwszy nie mógłbym cię na niej zatrzymać. Ale niechże ta twoja i nasza radość nie będzie przedwczesną. Nie zapominaj, że piękność serca — nie twarzy — świadczy o wartości kobiety, a tem bardziej tej, z którą dożywotnio

mamy się w jedną całość połączyć. Jeżeli ty, patrząc przez różowy pryzmat, a tak bardzo miodem okiem, łatwo się możesz pomylić, to ja, wytrawniej, bo bezinteresownie zbadam te rzeczy i bez zwłoki przeszłe ci wiadomości, daj Boże pocieszającą. Tymczasem — cierpliwości i umiarkowania". Późna była już pora, kiedy Zygmunt na kopercie adres położył. W całym pałacu panowała zupełna cisza. Zegar tylko na ścianie tykotał miarowo, a w oddali pies monotonnie naszczekiwał na straży. W obejściu nocny stróż, odzywał się coraz to w innej stronic świstawką. Treść napisanego listu, w połączeniu z otaczającym spokojem, nastroiły Zygmunta na rzewny ton wspomnień z jego życia, które nie znało chaosu i burz gwałtownych. Szereg miłych epizodów rodzinnych, obrazki miłości i zgody, rozumne wskazówki i rady ojca, wreszcie wdzięczne stosunki z nadbużańskim dworem, a z drugiej strony smutne kalectwo Anieli, śmierć rodziców, наконец osierocenie Augusta, oto co w tej chwili przesuwawało się kolejno przez myśl Zygmunta. A w podobnych

wspomnieniach, ten rzadki człowiek, nie znający samolubstwa, niepomny na własne sprawy, przejmował się tylko losem osób, które cenił i kochał. Sam aktor —

raczej widzem był w tej chwili.
— Dlaczego — myślał — Aniela już nigdy nie będzie
szczęśliwą ? Także więc ludzie
krótko widzą, że dla konchy bezkształtnej nie schylą się po
cenną perłę ? Mój
Boże, gdzież są te piękne nadzieje ? August i Aniela, to
szczerze złoto, z
którego społeczeństwo miałoby bogactwa. Przy jego zaletach,
a jej rozsądku i
sercu, jakże oni mogli być z sobą szczęśliwi! Dziś, ona kaleka,
a on, nie
dziwna, do obcych bogów kołacze. Biedna Aniela, nie
pokazuje po sobie, że cierpi
i nie wie nawet, że ja to widzę. Ona wegietuje, nie żyje, a
August ? Czy
znajdzie szczęście z tą piękną Kamillą?
"Pod twoją, Zygmuncie, opieką, nie stanie się krzywda
Guciovi".
Te słowa pani Turskiej przysły mu w tej chwili na pamięć.
— Czy temu podołam? Czy moje dobre chęci wystarczą?

VI.

Było blisko południa. Szerokim, piaszczystym gościńcem
toczył się ładny powozik,
zaprzężony czwórką pięknych, łysych kasztanów w
pończochach*), — wszystkie jak
jeden. Konie dzielne, ale znać na nich przymęczenie po dużej
drodze. Na wzór
wołyńskich, szory bałagulskie świadczą, że to goście z głębi
lubelskiej ziemi.

A tam, na czarnoziemach i borowinach, koń nie zwyczajny
podlaskich piasków i
kamieni, to też szykowna czwórka straciła trochę fantazji.
— Od figury na prawo, Ignacy, w topolową ulicę! —
zakomenderował szpakowaty
jegomość z długim, obwisłym wąsem, siedzący w otwartym
powozie, obok znacznie
młodszej mężczyzny.
To Michaś, towarzyszy paniczowi w wyprawie do stryja
Józefa.

*) Białe nogi do kolan.

— A uważaj na moście, tak, dobrze, a teraz, porachuj kasztany
i ruszaj śmiało. —
I Michaś wesa poprawił.
— Na parę staj przed jadącymi, w nizinie, roztacza się widok
Sanie. Bieleją
schludne budynki ponad stawem, którego spokojne wody
gubią się het dalej w
sitowjach i trzcinie. W około folwarku drzew mnóstwo, a w
jednym punkcie, wśród
nich, przezierają żółto malowane kominy, na balmowym
dachy, wyższym od innych.
To dwór. Poza nim, rozległy sad na wzgórzu.
Niema to wszystko pozoru siedziby wielkich dóbr, ale
zamożnego, starannie
utrzymanego majątku.
Prawie dzieckiem jeszcze, Zygmunt jeździł do stryja Józefa i
mało Sanice
pamiętał, to też teraz rozglądał się ciekawie.

Pojazd zbliżał się dobrym kłusem do końca topolowej drogi, a konie, czując, że blisko do stajni, parskwały jeden po drugim.

— Zdrów, zdrów — za każdym razem odpowiadał Ignacy.

— Będą nam radzi, paniczu, — Michaś, wy wodził przepowiednię.

— Hola! — zagrział silny głos, i z po za topoli ukazał się, w czapce z szerokim daszkiem, płóciennym kitlu i długich butach, z fajką w rękę wysoki, a tęgi jak dąb mężczyzna.

To Józef Lubicz, stary pułkownik. Oglądał żyto, pierwszy bartłomiejowy siew.

— Czołem, kogo mam honor? — zapytał gospodarz.

Ze źle udaną lekkością, Michaś wyskoczył z powozu i stanął przy drzwiczkach:

— Przywożę Jaśnie Wielmożnemu panu pułkownikowi mego panicza Zygmunta z Topolan i sam kłaniam się do stóp pokornie.

Zygmunt już stał przy stryju.

— A bodajże cię, moj chłopcze — zawołał tenże — sercem, sercem, toś zuch, żeś

sobie nareszcie starego przypomniał. I nie pozwalając pocałować swej ręki, wziął

gościa w szerokie ramiona. — Żeby cię był ten stary famulus nie zameldował, nie poznałbym cię nigdy.

— Dzieckiem jeszcze byłem z ojcem w Sanicach — odparł Zygmunt.

— A tak, całe lata kazałeś czekać na siebie, aż chciałem się rozgniewać i sam do

was pojechać. Ale, vana sine vribus ira, jam już grat stary.

— Widzę, że stryj dzielnie mi się trzyma.

— Ha, bo muszę, dura lex sed lex, sam Pan, sam sługa na mojej kolonii. Ale

pokażno mi się chłopcze, podobnyś do ojca. No, a twoja siostra, nie chciała to

mnie przed śmiercią odwiedzić?

— Serdecznie stryjowi ręce całuje przezemnie. Została na gospodarstwie.

— Żałuję, że jej nie widzę, a dobre, poczciwe to dziecko, Ale chodźmy do chałupy.

— Może stryj zechce się do powozu.

— Wstyd by mi było, dryndulką jeźdź. Ot, wyprostujesz nogi piechotarę. A ty,

słuchajże, jak cię mam zwać?

— Michał, jaśnie wielmożny pułkowniku, do usług. — I stary węża poprawił, bo mu

już było markotno, że zapomniany przy powozie stoi.

— Masz djable kaftan, Michał, toć ja cię stary znam, tożes ty z nieboszczykiem

do Sanie zajeżdżał. A no, dobrze, dobrze, żeś przyjechał.

Nieboszczyk cię lubił,

to dość powiedzieć.

— Świeć panie nad jego duszą — dodał Michaś.

— Sit ei terra levis, tandem Michale, kąty znasz, a tobie jak?

— i zwrócił się

do woźnicy.

— Ignacy, jaśnie panie — odpowiedział tenże, uchylając czapki.

— No marsz do stajni, Michał niech zaprowadzi, trzecie drzwi od rogu. Wyłożyć, dobrze wytrzeć, bo się szkapę ścięły. Owsa nie brak w Sanicach.

Stryj z synowcem podążali teraz do dworu.

W bramie spotkały ich dwa moregowate brytany z groźnym szczekaniem, ale w miarę jak się zbliżały, odeszła ich ta złość obowią-

zkowa, a w końcu, machając każdy ogonem i mizdrząc się, poskoczyły na powitanie.

Gdy panowie byli już przed dworem, rozległ się głośny huk.

To na kompasie
armatka

— Canonica hora — rzekł pułkownik i na kieszonkową cebulę spojrział.

— W ślad za armatką, dzwoniło na południe.

Józef Lubicz od dawna wdowiec, bezdziejny, przeszedł już siedm krzyżyków. Mimo

tego był zdrów i silny. Cały rok kąpał się w stawie — zimą w przerebli. Czuprynę

miał gęstą, szpakowatą, a brwi krzaczyste. W domu i gospodarstwie, zaprowadził

porządek na pół wojskowy.

— Słuchaj mnie, Zygmuncie — mówił już pod gankiem — u mnie w świątek i piątek

jednaki porządek, bom ci ja dei senus simplex. Jadamy w południe. Gdy gość

zawita, to się nie goni konnego do miasteczka po rodzinie,
żeby kaszkę dorobić.

Mamy barszcz, zrazy, no i coś tam jeszcze. Piwo sam
wyrabiam, chociaż nie
sprzedaję. Maciek zrobił, Maciek zjadł.

— A czyż to nie dosyć mój stryju?

— Dajno pokój. U was tam w Hrubieszowskim państwo.

Prawda, że ja tyle nie

zbieram pszenicy, ile ty w Topolanach siejesz, a bodaj, że nie
mam tyle owiec,

ile ty owczarków, a wiesz przysłowie: kto ma żonę Barbarkę,
kto sieje tatarkę, a

krowami orze...

Gospodarz wprowadził gościa do jadalnego pokoju.

— Na tera miejscu — rzeki przy drzwiach i uścisnął
Zygmunta.

Przy stole kręciło się dwóch chłopaków, czystych,
wystrzyżonych jak rekruty, w
jednakich płóciennych kurtach, z granatową lamówką.

— Michałek! — zawołał pułkownik — skoczysz na jednej
nodze do Lisewicza. Niech

mi pamięta o koniach gościnnych. Słomy posłać w bród, sypać
celnego, co zjedzą.

— Dobrze, jaśnie panie, rozumiem.

— Poczekaj błażnie, jeszcze nie rozumiesz.

— Słucham.

— Michałowi pana Lubicza powiesz, że do kredensu przyjdzie
na obiad. Potem mi

dopilnujesz, żeby mu było sytno i pitno. A będziesz gadał do
niego grzecznie, bo

to stary sługa, a mój gość, nie taki kiep, jak ty.

— Zrozumiałem, jaśnie panie.

— No, jeszcześ tu?

Michałek wybiegł.

— Waluś! zapalisz latarkę, weźmiesz klucz od drugiej piwnicy i przyniesiesz dwie butelki z trzeciej półki, od ogrodu, z pierwszego przedziału od drzwi.

Rozumiesz?

Rozumiem, jaśnie panie.

— Powtórz.

— Z trzeciej piwnicy....

— Jesteś cymbał. Gdzie masz trzecią piwnicę?

— Z drugiej piwnicy, trzeciej półki do ogrodu, z pierwszego przedziału, od drzwi.

— Dobrze. Skoro zanikniesz, najprzód postaw butelki uważnie na piasku i klucze schowaj w kieszeń, bo jak wszystko razem w garść włożysz, to znów butelkę żelazem zbijesz i będą wały.

— Rozumiem.

— Marsz. Waluś wybiegł.

— Bo to widzisz, mój chłopcze — zwrócił się stary do Zygmunta — ja wszystko sam robię. Bab nie trzymam. Ani jednej w całym folwarku. Jest ci tam Hanusia do kurników, ale ta do chłopców nie szczyrzy zębów, bo pewnie już będzie z piętnaście lat, jak jej dwa ostatnie wypadły.

Teraz weszli dwaj starsi oficjaliści, od roli i lasów.
Przedstawił ich pan domu
gościowi, a potem dodał:
— To syn mego rodzzonego brata, z Topolan. Był tu kiedyś, ot
takim pędrakiem, a
dziś już człowiek i podobno lepszy gospodarz, niż my tu
starzy. Mój Boże, tyle
lat, ha — praeterunt tempora more aquae fluentis. A siostra
pana Lubicza, to jak
słyszę, dziewica nie dzisiejszego Kroju, co to fiufiu na głowie
i fiufiu w
głowie.

Jaka mać, taka nać. Hej! Michałek, Waluś! podawać wazę.
Zanim do stołu siedli, pułkownik z oszklonej serwantki, z
pośród kolekcji,
wybrał kryształowy, niezłej miary kieliszek, z wyrzniętym
napisem Salve. Został
tam drugi podobny, a na nim Vale,
Przy stole rozmawiano o gospodarstwie, zbiorach i siewach.
— My tu, panie Zygmuncie, jak za króla Piasta, po staremu,
sochami orzemy. U
was, bo pługi, ale tutaj na naszym Podlasiu, na kamieniu
kamień a na tym
kamieniu jeszcze jeden kamień. Ad impossibilia nemo
obligatur. Nasza żniwiarka,
to Kaśka na czerwonych nogach, z sierpem w garści, a
siewnik, to Onufry z
fartuchem u pasa. Jak ujmie żyta w trzy palce i rzuci przed
siebie, to ci

powiadam, żaden Niemiec również nie usieje maszyną.
Wielkich rzeczy nie
zbieramy, bo i nie sięgamy wysoko. Medium tenuere beati.
I tak rozgadał się stary. Oficjaliści nie odzywali się, chyba
zapytani, a
Zygmunt, jak go kiedyś ojciec nauczył, nie przerywał
starszemu.
— No, panowie družba, godzi nam się wypić za zdrowie
gościa, a mego krewnego.
Z kolei dziękował Zygmunt i stryja w ramię całował.

Dość szybko załatwiono się z obiadem, urzędnicy skłoniwszy
się wyszli, a
gospodarz prowadził synowca na gawędę do swego
ulubionego pokoju.
Przechodząc przez cały dwór, Zygmunt widział wszędzie
skromność, ale wysoki
porządek. Weszli do kancelarii, na środku której stało biuro
dębowe, a nad niem,
od samego sufitu, wisiał czerwony sznur z wielkim chwastem
na końcu.
Gospodarz zapalił fajkę, gościowi podał cygaro.
Gawędząc o tem i owem, Zygmunt naprowadził rozmowę na
przedmiot, będący celem
jego przybycia. Więc określił swój stosunek do młodego
Turskiego, opowiedział o
jego zamiarach względem panny Zahorskiej i wreszcie prosił
stryja, aby mu
wyjawił swe zdanie o mieszkankach Jodłowa.
— Stryj kochany nie możesz nie znać tego domu, ufam więc,
że tą drogą dowiem się

istotnej prawdy.

Pan Józef milczał, brwi marszczył i fajką pykał.

— Rozumiem, o co ci idzie — rzekł w końcu. — Zaczekaj że.

Sięgnął stary do kieszonkowej cebuli.

O la boga! — zawołał — kwadrans po drugiej. — I za sznur pociągnął raz, drugi, trzeci i czwarty.

Jak sygnaturka, odezwał się dzwonek, gdzieś zewnątrz na dachu, a w minutę potem,

uderzył dzwon gospodarski. To znak, że czas do roboty.

— A teraz, *intentique ora tenebant* mój chłopcze: Jodłowskie sprawy znam, jak

moją dłoń Nieboszczyk Zahorski, zacny człowiek, żył ze mną w szczerych,

sąsiedzkich stosunkach, a dowodem tego, że mnie w testamencie naznaczył

przydanym opiekunem, nad małoletnią wówczas Kamillą.

Zanim ci opowiem, jak się

tam dawniej miały rzeczy, a jak się mają teraz, najprzód przeczytam ci in

extensu list, który temi czasy otrzymałem od pani Zahorskiej z Ostendy, a potem

moją odpowiedź, bo ją mam w kopii.

Pułkownik otworzył szutlądę biura i odnalazł kopertę,

— Uważaj — rzekł i czytał: "Szanowny panie pułkowniku:

"Jakiegokolwiek jest do mnie pańskie uprzedzenie, ani na chwilę nie wątpię o jego

życzliwości dla córki najlepszego twego przyjaciela, a mego nieboszczyka męża.

Ufna w to, udaję się do pana pułkownika z prośbą, abyś mi raczył swej światłej rady udzielić.

Tu zagranicą, poznałyśmy młodego Augusta Turskiego z Nadbuża w Hrubieszowskim, młodzieńca nie małych zalet. Widocznem jest, że się stara podobać Kamilli, a i ona nie mniej przyjaznem patrzy nań okiem. Ale dla mnie,

matki, nie wystarczają pozory. Zresztą, panu pułkownikowi znane są nasze

majątkowe stosunki, wobec których, zdaje się być usprawiedliwionem moje

życzenie, aby ten, kto otrzyma rękę Kamilli, posiadał odpowiedni majątek,

którymby nie tylko zapewnił przyszłość mej córki, ale nadto, zdołał zażegnać

burzę, nad Jodłowem zawisłą.

Ze wszystkich innych względów, ten młody człowiek posiada požądane w tym wypadku

warunki ta jedna tylko strona jest dla mnie niejasną. Mam nadzieję, że Szanowny

Pułkownik, pojmując doniosłość odpowiedzialności, ciężącej na mnie, jako matce,

nie odmówisz mi pożądanych objaśnień, do których dane, nie powinnyby przyjść mu z trudnością.

Polecając jego pamięci los dawnej pańskiej pupili, łączę i t. d."

— Posłuchaj teraz mojej odpowiedzi: "Jaśnie Wielmożna Mości Dobrodziejko!

Zaszczytne dla mnie jej pismo, datowane z Ostendy, przed paru dniami otrzymałem, a zebrawszy wiadomości o ile mogłem, takowe niniejszem mam honor zakomunikować. Imci Pan August Turski jest właścicielem dóbr Nadbuże z attynencjami, w powiecie Hrubieszowskim położonych. Pomijam jego kwalifikacje moralne i umysłowe ile, że J W Pani sama już sąd o nim łaskawy w tym względzie wydać

raczyłaś. Rodzice Turskich, to gniazdo stare i dobre. Nadbuże, o którym zasięgnąłem, wskazówek od tutejszego księdza proboszcza, nie dawno ztamtąd na naszą parafję przeniesionego, ma być majątek piękny, czysty i żadnym długiem nie obciążony. Wartość na półtora miliona złp. śmiało oznaczyć można. Tak kalkulując, wnoszę, że pan Turski do zamożnych zalicza się obywateli. Czy zaś ta fortuna i na dodatnie utrzymanie panny Kamilli Dobrodziejki i na uregulowanie zaplątanych interesów jodłowskich starczy, na to od odpowiedzi uwolnić mnie proszę. Nadmienić sobie pozwolę, że w tym względzie raczej zdania biegłego jurysty, a nie jak ja, hreczkosieja, zasięgnąć by należało. Przy tej okazji itd."

— Takie tedy zamieniliśmy korespondencje.

— Z których widzę — wtrącił Zygmunt — że pani Zahorskiej w pierwszej linii na majątku zależy, bo o resztę nawet nie wiele się dopytuje. — To jasne, mój chłopcze. I być inaczej nie może. Stary Zahorski zostawił Jodłów czysty, kawał lasu. grubą gotówkę i dwuletnie remanenty w zbożu, wełnie i okowicie. Całość przechodziła na córkę, a matka miała mieć dożywocie na połowie, to jest na dwóch folwarkach. Hrabianka, wyszedłszy za Zahorskiego, próbowała go osiodłać, ale się nie dał babskim ma-

newrom i worek mocno w garści ścisnął. Po jego śmierci poczuła swobodę i dalejże hulać za wszystkie czasy cichego żywota przy bezzębnym mężu. Postawiła pałac, urządziła jakieś włoskie ogrody, a z Paryża szły jak karawana pudła i skrzynie. Dodam *intra parantesim*, że gładkiej i niestarej babie, pilno było wydać się za mąż. Ale dorastała już Kamilla. Każdy do mamy zwerbowany konkurent, grzecznie się kłaniał, jadł, pił, polował, ale z boku na ładną córkę zerkał. Wtedy stara, nie w ciemną bitą, pozbywała się gościa, szukając innego. Wydać za mąż Kamille, nie leżało w jej interesie, bo za tem musiałby pójść podział z zięciem Jodłowa, niby dojranej krowy. Ja — przydany opiekun — z obowiązku musiałem tam wtrącać moje

trzy grosze. Rola była trudna. Dopóki szły remanenty,
zwracałem uwagę, ale,
opanować nie mogłem, bo w tem nie było bezprawia. Ale
kiedy mama wzięła się do
boru, podniosłem larum. Zwołałem radę familijną i
postawiłem wniosek. Ale cóż?
Nec Hercules contra plures. Mój wniosek upadł. Mowna baba
przegadała wszystkich,
a ja wykreśliłem się z opieki, bom się na brudy patrzeć nie
chciał. W Jodłowie
było coraz weselej, w lasach coraz rzadziej, a w hipotece
coraz duszniej. Dziś,
gospodarstwo w ruinie, remanentów żadnych, bodaj, że już nie
sieją. Ratunek
Jodłowa nie miałby celu, bo za te pie-

niądze lepiej inny majątek kupić. Toż już trup. Co do mnie,
uczyniłem co mogłem.

Stat pro ratione Doluntas.

— To wszystko, co od stryja słyszę, jeszcze nie potępia panny
Kamilli, która
pada tylko ofiarą lekkomyślności swej matki.

— Ambo mliores. Kto ma takie jak ty pobudki dowiedzenia
się prawdy, temu. nic
nie chcę obwijać w bawełnę. Vox populi jest przeciwko niej.
Zalotna, próżna,
ufna w swą piękność, a z matką żyje jak pies z kotem. Służba
z nią wytrzymać nie
może. Mówię, co wiem, a zamilczę o faktach, przy których nie
byłem. Opowiadają

paskudne rzeczy. Sapiienti sat. To też, mimo dojrzałej
pełnoletności, za mąż
dotychczas nie wyszła, a miewała partje niezgorsze. I dziwić
się trudno.

Szlachetka się nie ożeni, bo się złąknie wymagań i
Jodłowskich interesów, a
zresztą i panna go nic weźmie. Pan rozgląda się inaczej, tych
zresztą na palcach
policzyć. Taki Turski, bardzo wierzę, że im się nadaje, tem
bardziej, że jego i
osiodłać łatwiej.

— To, mój stryju, partja ze wszech miar nie dla Turskiego.

— A jak zapobiegiesz temu ?

— Otworzę mu oczy.

— Przedstaw całą prawdę i zdaj resztę na wolę Bożą. Dixi.

Jeśli nie jesteś

zmęczony, proponuję ci przejażdżkę. Wy Lublinianie, macie

o Podlasiu złe wyobrażenie. Przyjrzyj się tylko Sanicom.

— Jaknajchętniej służę stryjowi.

Stary pociągnął za sznur w trzech małych odstępach czasu.

Za parę minut, stał we drzwiach wąsaty foryś, w kurtce

plóciennej z granatową

lamówką.

— Srokacze do wolantu — rzekł pułkownik.

— Zrozumiałem, jaśnie panie.

VI.

Pomimo tak zwanej pory umarłej, ludno dziś na Elizejskich polach. Składa się na to niedziela i piękna pogoda, w przedobiedniej chwili. Szanująca się śmietanka paryskiego świata jeszcze dosiada w Trouville, Arcachon, Biarritz, lub Aix-les-Bains, ale za to burżuazja korzysta z wolnego miejsca, a więc wysypała się licznie, dążąc do Bulońskiego lasku. Pomędzy Place de (a Concorde a Grande Etoile, aż się roi od powozów w dziesięciu rzędach. Cóż to za rozmaitość ekwipaży! Wspaniałe landau o ośmiu resorach, z niebieskim monogramem na drzwiczkach, spaśle trakeny ośmnastej miary, złożone chomąta i także u powozu latarnie. To przemysłowiec, pięć razy milioner, jak się wyrażają Francuzi, wiezie swą rodzinę na spacer. Ale oto szybko wymija zgrabne Victoria w parę dzielnych j Likierów. Ładny, wygolony

chłopiec na koźle, z różą u piersi. Na atłasowych poduszkach rozparta kokota, z gatunku horisontales, ze ściśle przepisaną formą, ułożyła nóżki, patrząc się w nie uparcie, bo na corso nie wypada oczkować. Zaledwie przeniknęła, kiedy tym samym torem, piękny pursang w tilbury, wysuwa się ostrym kłusem, a młodzieniec z

monoklem w oku, w angielskim piaskowym surducie,
cylinderze jak lustro, tu
spojrzy w bok, aby nie zawadzić, tam znów goni wzrokiem za
niknącą już w
szeregach pięknoscia, na którą poluje. W lasku ją dopiero
wyminie, i — a Bignon
— rzuci w przelocie.

Panie niedysponowane, kryją się w zamkniętych karetkach,
przyjezdni Anglicy
ziewają w wynajętych, narodowych kabach, a klasa średnia, w
przeróżnych
karyklach, wolantach, a nawet specjalnie paryskich
tapissierach, używa pięknej
niedzieli.

Środkiem trzy perszerony, kłapiąc podkowami po bruku
kostkowanym, ciągną za sobą
niby dom ruchomy, o pełnym pokoju i zapchanym dachu. To
omnibus Porte Maillot —
Gare de Lyon. Co się kto zbliży, lub da znak konduktorowi —
complet — usłyszy
odpowieź.

tu znów, a la Daumont cztery karę konie wspaniałe, złotemi
brązami gęsto okryte
w oryginalnym, nie dającym się opisać ekwiparzu o pstrych
kolorach. Ileż
potrzeba fantazji

ażeby stworzyć podobnie szykowne cudactwo. Dwóch bogato
ubranych murzynów na
przodzie, dwóch z tyłu, a pośrodku reklama dla mydła Congo.
Tuż obok, zgrabne

ponney, pod wprawną damską ręką, jak myszy, pomykają chyżo z lekkim koszykiem.

Tylko fiakry jednokonki i małe, w karetkach z galeryjką chude szkockie koniki,

pozwalają się obojętnie wymijać, ale też dla nich corso trwa ciągle, tygodnie, miesiące i lata.

Nie brak i pieszych na chodnikach, bo całe miasto dziś w mieście. Ciągną więc

tłumy starych i młodych, a wszystko strojne i na twarzy wesołe. Znać, że

społeczeństwo bogate. Mieszczanin paryski bawi się w niedzielę, a wychodząc na spacer, troski w domu zostawia.

W pobliżu Cafe des Ambassadeurs, kroczą zwolna dwaj młodzi ludzie pod ramię. To

Wagner z Turskim, z których ostatni, nie znając Paryża, słucha objaśnień

towarzysza.

— Przyznać mi musisz, Auguście, że Paryż może się podobać.

Wspaniałe miasto i

najpiękniejsze w świecie. Grdybym był bardzo bogaty, tu tyłkoby zamieszkał.

— Nie przeczę, że Paryż turystę musi zachwycić, a jednak, gdyby mi tu kazano

zostać, czułbym się jak w niewoli. Nie oswoiłbym się z tym szalonym ruchem i

gwarem,

— Tak ci się zdaje. Wyobraź sobie naprzykład, że masz tu w Societe generale

złożonych kilka milionów, i takim ekwipażem jak chociażby ten, o, tu na prawo, w skarogniade konie, wieziesz po ślubie panią Kamillę do lasku. Potem wracacie do własnego hotelu, o, jak tam na rogu, przyjmujecie mnie na wykwintnym obiedzie, a po chartreugie i dobrem cygarze, kiedy pani wyszła zmienić toaletę, powiadasz do mnie: jeżeli chcesz nam towarzyszyć na operę, to przychodź do naszej łoży.

Naturalnie przyjmuję zaproszenie A tam słyszysz zewsząd: Ali, *quelle beaute!* Qui est donc cette brune char-mante? No cóż Augustie, czy w takich warunkach zostałbyś w Paryżu?

— Nie, stanowczo nie. Gdybym posiadał Kamillę, chciałbym całą moją istotą żyć tylko dla niej, ale i ją mieć tylko dla siebie. W domu własnym, w nadbużańskim ogrodzie, wśród pól kochanych i lasów, tam dopiero rozkoszowałbym się moim skarbem, a nie tu, w oczach natrętów.

Nie w porę, jak widzę, wybrałem się do waszej łoży. Byłżebyś zazdrosnym?

Czy wiesz, jak ja pojmuję zazdrość? To wyraz dla mnie nie mający racji bytu.

Tam, gdzie jest miłość wzajemna, nie może o zazdrości być mowy, a kiedy się zazdrość pojawi, to tylko dowód, że się już wzajemność skończyła i na zazdrość zapóźno. Przestałbym kochać kobietę

od chwili, w którejbym dostrzegł powód do zazdrości.
— Jest to radykalizm, mój drogi, który się w życiu rozbija o
zwykłą słabość
ludzką. Ileż jest zresztą fałszywych pozorów, nic
upoważniających jeszcze do
potępienia kobiety!
— To też pozory nie zachwiałyby nigdy mojej wiary. Cóż to
są pozory? Jeżeli
muzik stwarza piękną melodię, a przy jej wykonaniu bierze
wypadkiem ton
fałszywy, czy to wartość dzieła osłabia? Inna rzecz, gdyby ten
błąd w samej
kompozycji popełnił. Wówczas, rzuciłbym go, jako wadliwy.
Wagnerowi pan Prot przyszedł teraz na pamięć. W innych, bo
rubasznych słowach,
po dobre pojęcia myśliwiec wygłaszał.
— Że też to każdy autor tak pewny swego dzieła! — Wagner
pomyślał.
Młodzi ludzie, rozmawiając, zaszli już na ulicę Castiglione.
Pod hotelem
Bristol, August rzucił okiem na okna drugiego piętra.
— Czy zajdziesz do twoich pań? — zapytał Wagner.
— Nie. Pójdźmy na bulwary.
— I jakże to wygląda? Nie byłeś cały dzień, a pewnie cię
oczekują.
— Wiem, że to źle wygląda, a nawet niegrzecznie, ale pocóż
pójdę? Czytałeś list
Lubicza. Każe mi czekać, więc czekam. Położenie

moje względem Kamilli, staje się z każdym dniem drażliwsze.
Przyszła chwila, w
której powinienbym mój charakter jasno określić. O,
wolałbym tego listu nie
odbierać wcale.

— Bo jesteś, wybacz Auguście, dziecinny z tym twoim
Lubiczem. Kazał ci czekać na
list następny, dobrze, cóż więc w tym liście napisze? Oto, że
panna Kamilla ma
sto tysięcy mniej, albo sto tysięcy więcej majątku. Ho co do
niej samej, to nie
ty od niego, ale on od ciebie mógłby dostać wskazówki. Na
majątku ci nie zależy,
to wiem, pojmuję i pochwalam. Kochasz ją, ona ciebie kocha,
co widzę własnymi
oczami, powiedz mi więc, na co się jeszcze oglądasz?

— Tłumaczyłem ci, jaki jest mój stosunek do Lubicza, Rad
jego lekceważyć nie
mogę, mam w nim przyjaciela i drugiego ojca.

— To przesada; wreszcie trzebaż ci prawdę powiedzieć?

— No?

— Nie masz zapewne powodu nie wierzyć w moją życzliwość
dla ciebie.

— Naturalnie.

A więc, uważam sobie za obowiązek otworzyć ci oczy.

— Cóż takiego ?

Nic o tych paniach nie mogę wiedzieć Więcej od ciebie, a
jednak założyłbym się,
że

Lubicz w następnym liście będzie ci stanowczo odradzał, zabraniał tego związku.

— Dlaczego? — zapytał August, przystając nagle przy kolumnie Vendôme.

— Całe Hrubieszowskie zna tę historję. To nie tajemnica.

— Zaciekawiasz mnie.

— Słowo honoru, że to między nami zostanie?

— Jeżeli to nie tajemnica?...

— Nie chcę, aby mówiono, że ja ci powtarzałem.

— A więc masz moje słowo.

— Pan Lubicz nie dopuści twego małżeństwa z nikim, bo ci chce swatać swoją siostrę.

August pobladł.

— To być nie może, to plotka, oszczerstwo — zawołał z energją.

— Nie wiesz kto jest Zygmunt Lubicz, on do tego niezdolny.

— A skądże wiedziałbym o tem? Przecież jego nie znam, a i ciebie dopiero zagranicą poznałem.

— Kiedyś, jeszcze za dziecinnych czasów moich i Lubiczówny, nasi rodzice

układali to małżeństwo półzartem. Ale nie wiesz zapewne, że Aniela była wtedy śliczną dziewczyną, a dziś jest kaleką.

— Wiem o tem.

A więc zapewne przyznasz, że takie projekty musiały upaść bezpowrotnie.

— Zapewne, ale widocznie pan Lubicz przeciwko któremu nic nie mogę powiedzieć,

jako dobry brat, jest innego zdania.

— Ależ to potworne. Nie uwierzę w to nigdy.

— Czy nawet wtedy, jeśli ci wymienię jego własne słowa?

— Do kogo mówione ?

— Tego ci już nie powiem. Mogę cię tylko zapewnić, że to osobistość najzupełniej wiarogodna.

— Więc cóż to było ?

— Lubicz wyraził się w poufnej rozmowie, że przyrzekłszy twej matce opiekę nad tobą, uważa sobie za obowiązek, kojarząc ten związek, spełnić jej ostatnią wolę, gorące życzenie

— To fałsz. Nieboszczka matka moja dawno zaniechała tych mrzonek.

A jednak on twierdzi inaczej.

— Zobaczymy.

Teraz rozumiesz, dlaczego jestem pewny, że w liście oczekiwanym nic cię dobrego nie czeka. Przekonasz się wkrótce.

Więc co czynić? Radź.

Rada prosta. Którą wybierasz : piękną Kamillę czy garbatą Anielę?

— Nie żartuj, To bluźnierstwo.

— Myślałem, że może zamierzasz być powolnym życzeniu twego opiekuna i ojca, jak go nazywasz.

— Czyż nie wiesz, jak kocham Kamillę? Mógłbym żyć bez niej? Niema siły, któraby mnie do wyrzeczenia się jej skłoniła.

— A więc nie trać czasu, nie truj siebie i jej, idź śmiało zaraz
teraz i
oświadczyć się.

August milczał. Dochodzili do placu opory. Tu, szalony ruch
powozów, fiaków i
omnibusów, tamował im przejście na drugą stronę bulwarów,
zatrzymali się więc na
wzniesieniu pod latarnią, wyczekując odpowiedniej chwili.

— No, wróć się, wróć, Auguste, na moją odpowiedzialność

— podniecał Wagner

młodzieńca — a ja zatrzymam się w Cafe de la Paix, o, tu na
rogu. Potem będę na
obiedzie u Margueri, tam gdzie wczoraj.

— Ha, pójdę, — rzekł i zawrócił August zdecydowany.

Wagner z trudnością wyszukał wolne krzesło pod kawiarnią, a
kazawszy garsonowi
podać un vermouth, wziął dla formy Gil Blasa do ręki, ale
czytać nie miał
zamiaru.

Przeróżne kombinacje chodziły mu po głowie. Panna
Zahorska z chwilą już, kiedy
otrzymał wiadomości od adwokata, przestała zajmować go
jako panna na wydaniu,
lecz nie mogła być

obojętną, jako piękna kobieta. Wagner rozumiał dziś dobrze,
że te panie same
polują na bogatego konkurenta, więc też zostawił Turkiemu
swobodę działania.

Ale pomny miłych słówek i gorących uściśnień ręki, których
od Kamilli

doświadczył, nietylko we Franzensbadzie, ale potem, mimo
Turskiego, w Ostendzie,
a nawet teraz jeszcze w Paryżu, nie chciał zarzekać się
widoków, jakie może
gotowały mu losy. Ilekroć towarzystwo razem złączone,
znalazło się na spacerze
lub widowisku, August z tęsknym wzrokiem musiał
towarzyszyć pani Zahorskiej, bo
córka chętniej rozmawiała z Wagnerem. Ten był skończonym
światowcem, tamten
uczuciowym kochankiem. A Kamilla chciała bawić się
wesoło. Wprawdzie August
otrzymywał za takie krzywdy nagrodę, ale tylko wtedy, gdy
byli we dwoje.
Wagner widział swą wyższość, pomimo biernej roli jaką na
pozór odgrywał, a wobec
tego, musiało mu się na przyszłość uśmiechać tak nadobne, a
może obiecujące
sąsiedztwo na wsi, na szare godziny...
Przewidywał, że w kraju, pod wpływem Lubicza, to
małżeństwo rozchwiać się może,
wprawdzie nie dla powodów, jakie przed chwilą kłamliwie
Turskiemu wyłuszczał,
ale dla różnicy Wieku i majątkowej ruiny tych pań. To też
usilnie nakłaniał
młodzieńca do postawienia, tu

jeszcze zagranicą, stanowczego kroku. Po za tem, nie
zapominał o Lubiczównie.

Nieznał jej, ale nie wątpił że zdobycie panny, wprawdzie
bardzo bogatej, jednak

niepełnej kaleki, jemu przyjść może z łatwością. Tem
bardziej zatem było
pożądaniem pozbyć się przeszkody, w osobie Augusta, na
którego może jeszcze
liczono w Topolanach.
Turski pod naciskiem zdecydowany, dążył teraz ku hotelowi
Bristol, ale, rzecz
dziwna, siedł wolno, jakgdyby chciał zyskać na czasie.
Podrażniły go słowa
Wagnera, oburzał się na myśl kurateli, którą jakoby Lubicz
rozcigał nad nim w
widokach dla siostry. A jednak — zastanawiał się. Znając
Zygmunta, czyż miał
temu wierzyć? Wagner sam, czyż nie mógł być wprowadzony
w błąd przez ludzką
złośliwość? Wszakże list z Topolan tchnął umiarkowaniem, a
dopiero następny miał
być stanowczy.
August kochał z młodzieńczym zapałem i nie wątpił o
wzajemności a jednak
chwilami niepokoił się bardzo. Jeszcze poprzedniego dnia
miał do tego powody.
We czworo wybrali się do parku Buttes Chaumont, gdzie
odbywał się koncert pod
gołym niebem. Piękność jest kosmopolityczną, to też z pośród
publiczności
strzelały liczne na Kamille spojrzenia, a August tem bardziej
zazdrościł

Wagnerowi, który, siedząc przy niej, z nią też bezustannie
rozmawiał. To go

smuciło i gniewało. Ale przy końcu koncertu, zwróciła się Kamilla ku niemu.

— Czemu pan dziś tak zamyślony? — rzekła, pochylając się zalotnie i rozsuwając wachlarz, ten czynnik kobiecy, tak wygodny do tysięcznych manewrów.

To miało znaczyć: jesteśmy zasłonięci, możesz mówić swobodnie.

August zdawał się nie słyszeć zaczepki.

— Panie Auguste — mówiła znów -- pan zabłąkałeś się tak daleko w marzeniach, że ztamtąd mego głosu nie słyszysz.

— Nie, pani — odpowiedział jakby zbudzony — jestem tu i tylko tu, ale milczenie jest złotem, a jak w tej chwili, zapewne pożądanem. Wszak pani nie nudzi się.

— Ten piękny walc nie usposabia mnie ani do milczenia, ani do smutku.

— Zapewne pani lubi tańczyć walca? — zapytał August z odcieniem ironii.

— Nadewszystko lubię wesołość, to zwierciadło naturalizmu, a smutek i żalobę zachowuję na pogrzeb, gdy się jaki przytrafi. — I zwinęła wachlarz królewskim ruchem, mającym znaczyć: posłuchanie skończone, poczem, znów zwróciła się do swego sąsiada.

— Est-elle ravissante — zasłyszał August szept Francuza przy drugim stoliku.

Z uderzeniem pałeczki dyrektora, zwiastującym pauzę,
Wagner zaproponował spacer
po parku, niby przegląd publiczności. Kiedy powstano, pani
Zahorska nieznacznym
ruchem dała mu do zrozumienia, że życzy sobie, aby jej
towarzyszył. Było to
uczynione z rozmysłem. August znalazł się przy Julji. Ale pod
wrażeniem
poprzedniej krótkiej rozmowy, zakrawającej na starcie, szedł
teraz milczący.

Julja sama zaczęła:

— Widocznie muzyka źle pana usposabia.

O czym tak rozmyślasz? Czy doznałeś jakiej przykrości.

— Myślę, że wielki już czas na mnie wyjechać z Paryża —
odparł August poważnie.

— Tak pana znużyło towarzystwo nasze?

— Śmiem pani zarzucić brak przekonania do własnych słów.
Nie marzyłem,

wyjeżdżając z kraju, że pobyt mój zagranicą, w Ostendzie
i tu w Paryżu, mieć będzie tyle dla mnie uroku, ale wszystko
swoją koniec mieć
musi.

— Przecież taki urok przedłużać lub skrócić, od nas samych
zależy.

— O ile wiemy, czego mamy z dwojga pożądać. Czyż może
nie lepiej zrzec się
odrazu słodczy, której późniejsza utrata byłaby tem
boleśniejszą?

— I dokąd pan masz zamiar wyjechać?

— Nie zastanawiałem się nad tem.

— A więc ja cię wyprowadzę z kłopotu. I w tej chwili Kamilla, zwracając głowę ku Augustowi, znów rozsunała wachlarz szeroko. Nie pojedziesz pan nigdzie, a do kraju będziemy razem wracali.

Nie pierwszy podobny despotyzm Kamilli, wynikający z nieznanego młodzieńcowi dyplomacji kobiecej, wtrącał go w chaos myśli, w którym byłby się dawno zabłąkał, gdyby go Wagner zawsze zręcznie z matni nie wyprowadzał.

— Ten przecież jest mi życzliwym i daje tego dowody — myślał teraz August, idąc ulicą de la Paix. Ale gdy się zbliżył do placu Fendôme, zawrócił nagle.

Nie. nie mogę tak wyraźnie sprzeciwić się Zygmuntowi. On ma do mnie dawniejsze prawa. I w kilka minut potem, stanął przed Wagnerem.

— Cóż, nie zastałeś? — zapytał tenże.

— Wróciłem się z drogi.

— A to dlaczego ?

— Poczekam na list z Topolan.

— A potem ?

— Oświadczę się quand meme.

— Jaktó, wbrew woli i radzie Lubicza.

— Tem bardziej.

Nie rozumiem. Więc czemu tego zaraz nie czynisz?

— Sam ofiarowałem się czekać i będę czekał, chociażby dla formy.

— Więc pójdźmy na obiad, a tam pomówimy jeszcze.

I poszli.

VII.

— Czy jesteś pewną, że to oni przechodzili tędy? — pytała
Kamilli pani Zahorska

krocząc gorączkowo po saloniku w hotelu Bristol.

— Wie mama, że mam dobry wzrok. Zresztą, widziałam
dokładnie, jak rozmawiali

żywo pod kolumną, a potem poszli ku bulwarom.

— Alp, bo zdaje mi się, że prowadzisz z nim fałszywą
politykę. Czyż względy,

jakie okazujesz Wagnerowi, nie mogą go zniechęcić?

— Ja, moja mamó, podobno najlepiej wiem, jak postępować.
Jeżeli istotnie tem

jest podrażniony, to niezawodnie powróci. Niech mama będzie
o to zupełnie

spokojna.

— Tobie łatwo tak mówić, ale ja po nocach już nie sypiam.

Pieniądze wyszły,

rachunek w hotelu rośnie, a z domu najgorsze wiadomości.

Pisałam o tysiąc rubli,

czytaj, co pisze Wronowski — i pani Zahorska list córce
podała.

— Nic tam ciekawego zapewne.

— Bardzo ciekawe, bo stu rubli nawet dostać nie może. Szuka
na wszystkie strony.

Nie możemy tu siedzieć dłużej, bez narażenia się na skandal, a
z czem wrócimy do

domu ? Jeżeli Turski zaraz nie oświadczy się, to wątpię, czy w kraju z tego co będzie. Nie podoba mi się ten jakiś pan Lubicz, który się nim tak opiekuje, a który mu z pewnością będzie odradzał.

— Więc czegoż mama chce odemnie'? Przecież na szyję mu się nie rzucę.

— Nie o tem mówię, ale trzebaby jakoś go naprowadzić. Chłopiec widocznie bardzo nieśmiały.

— Mamie się zdaje, że to zawsze tak można. Już ja się dobrze pilnuję.

— Nie nalegałam, dopóki pułkownik nie odpisał, ale dziś sama widzę, że w nim jest jedyna i wcale dobra deska zbawienia. Byłoby nie do darowania stracić i tę jeszcze, może ostatnią sposobność. Adwokat pisze, że termin licytacji Jodłowa naznaczony na marzec. To okropne Nigdzie ratunku, kredytu, komornik zjeżdżał znowu, zajął pszenicę, a ja głowę tracę!

— Więc niech przyjdzie ten mazgaj — rzekła z gniewem Kamilla — postaram się coś z niego wydobyć, ale niema go, jak na złość.

— A jeśli i dziś się nie oświadczy?

— To ja mu się sama oświadczę.

Ktoś lekko zapukał.

— Otóż go masz — rzekła matka. — Entrez! dodała głośniej. Wszedł konkurent innego rodzaju. Z pięknymi faworytami, we fraku, uklonił się

elegancko maitre d'hotel i podał pani Zahorskiej długi, a wążki papier, zapisany

od góry do dołu — hotelowy rachunek.

— Proszę zostawić — rzekła pani — wyjeżdżamy za kilka dni. razem zapłacę.

Elegancki człowiek skłonił się powtórnie i wyszedł. Kamilla wzięła papier do

raki, a rzuciwszy okiem, odsunęła niedbale.

Na podobny temat, jak przedtem, długo jeszcze rozmawiały zakłopotane kobiety.

Wieczór już był zupełny, zapalono światło.

Wtem zaturkotał powóz przed hotelem.

Matka ostrożnie wyjrzała przez firankę.

— Przyjechał — rzekła. — Wiesz co, ja Pójdę do sypialni i zamknę się. Powiedz,

że mam migrenę i dziś nie wyjdę. Będzie ci łatwiej.

— Jak mama chce.

Pani Zahorska zniknęła z saloniku, a Kamila szybko przyćmiła wielką, brązową

lampę i zaciągnęła na niej gęsty abażur. Półcień zapanował w pokoju. Sama,

przysunawszy do otomany niski taburet, zajęła na niej

wdzięczną i zalotną

pozycję.

— Kurtyna się podnosi — szepnęła do siebie.

Na to wszedł Turski.

— A, witam — rzekła, wyciągając doń rękę, — ale, gniewam się na pana.

— Na gniew pani nie chciałbym nigdy zasłużyć.

— I dlatego hulasz po Paryżu, a ja się tym sztukaterjom na suficie przyglądam.

Czy pan sądzisz, że to zabawne ?

— Gdybym był wiedział, że zabawniejsze moje towarzystwo...

— To byłbyś wolał przejechać się po lasku i zjeść wesoły objad z panem Wagnerem, jeśli nie z kim więcej.

— Myli się pani. Całe popołudnie spędziliśmy bardzo poważnie, obiad jedliśmy we dwóch, ale bynajmniej nie wesoło, czego dowodem, że posprzeczaaliśmy się z Ireneuszem.

— A, czy serjo?

— Nie, to tylko różnica przekonań, jakkolwiek po jego stronie było może wiele słuszności.

— A więc należało ustąpić. Ale niechże pan siada, ot fu, — i August, zanim się spostrzegł, zajął wskazane miejsce na taburecie tak, że się swym bokiem opierał o wyciągnięte kolana pra-

wie leżącej kobiety. To zdawało się go mile krępować, ale nie przeszkadzało Kamilli.

— Mama cierpi na głowę, nie wychodzi wcale, a ja nudzę się tem bardziej. Czemu pan wcześniej nie przyszedłeś ? W tych dniach wyjeżdżamy z Paryża.

— Jakto, do kraju?

— Tak jest. Mamę wzywają majątkowe sprawy. Trzeba się znowu zakopać na wsi na

całą zimę. Zazdroszczę panu, że możesz bujać po świecie.

— Czyż pani sądzi, że ja pojedę dalej?

— Przypuszczam.

— A jednak, wczoraj na koncercie mówiła pani inaczej.

— Tak mi się zdawało, ale podobno omyliłam się. W

Ostendzie byłeś pan innym, a

tu w Paryżu, znaczne zmiany dostrzegam. Widocznie

Francuzki są niebezpieczne.

Gdzież się podziały te piękne sielanki, o których pan

śpiewałeś nad morzem? Ta

tęsknota za szumem jodeł i szmerem strumyka ? Czy nie na

moje wychodzi, że ów

szary śpiewak pański nie wytrzymuje krytyki z piękną Patti w

wielkiej Operze?

— Widzę, że pani jesteś na mylnej drodze niesprawiedliwych podejrzeń.

— Ach, podejrzeń, ce n'est pas le moi. Do tych nie przypisuję sobie prawa. A,

zechciej pan zobaczyć, podobno rozpięła mi się bransoleta. —

I Kamilla podała mu prześliczną rękę, obnażoną do łokcia.

August ją ujął, wzrok w niej utkwiał i trzymał długo,

zapominając o bransolecie.

— Pewna jestem, że zgadnę, co pan masz teraz na myśli.

— Czy mogę wiedzieć ?

— Chcesz pocałować mnie w rękę i wahaś się. Czy tak?

Młodzieniec nie odpowiedział, ale nerwowo ścisnął rękę w

swych dłoniach.

— Cóż, nie omyliłam się podobno ? No, no, pocałuj pan,
pozwalam — a kiedy on,
patrzac w jej oczy, jakby radością pijany, gorąco z pozwolenia
korzystał, piękna
Kamilla niby w zachwycie, przysłoniła długą rzęsą swe czarne
żrenice, a przez
różowe, rozkosznie uśmiechnięte usta, odchyliła sznurek
zabków bielutkich.

— Pani! — zawołał teraz August z przejęciem — jakież to są
we mnie zmiany, które
mi zarzucasz ?

— Choćby tylko ta jedna, żeś się cały dzień nie pokazał.

— Tak się złożyło, ale mam świadka, że nie będąc tu, jednak
tylko o pani
myślałem i o pani mówiłem.

— A

— Mógłbym powtórzyć całą naszą rozmowę z Ireneuszem,
któraby dowiodła, jak mało
mnie

Paryż pociąga, jak tęsknię za domową ciszą, za wiejskim
urokiem.

— Dlatego zapewne, aby się skryć w lesie ze swoją... laską,
czy tak ?

— Dziś miałbym może śmielsze życzenia. — I jakie, niech mi
pan powie,

August długo milczał, czem piękność zniecierpliwiona,
mówiła z widoczną ironią:

— Wziąłbyś pan sobie lutnię naprzykład i jakiej leśnej rusałce
wyśpiewał
serenadę, au clair de la lune.

— Pani sobie ze mnie żartujesz. — I jakby urażony, powstał August z taburetu. Za

nim Ka-milka uniosła się na otomanie.

Młodzieniec nie poznał się na tym ruchu pospiesznym, zdradzającym jakoby chęć zatrzymania wymykającej się ofiary.

— Pan się gniewasz ? - zapytała. On milczał.

— Czemu uciekasz? Proszę tu wrócić i usiąść.

Usiadł jak manekin.

— Dawno już chciałam się zapytać, czy pan kochałeś kiedy?

— Nigdy.

— Jakto, nikogo ?

— Kochałem matkę.

— To się nie liczy, zresztą, nie o takiej miłości mówię. A teraz, dziś, czy pan także nie kochasz?

August znów milczał, ale jej było tego za-wiele. Lekko tylko wargi przygryzła, zmrużyła oczy i snąć zdecydowana na krok heroiczny, położyła rękę na jego ramieniu.

— Panie Auguste, znamy się już dość dawno, a to cię powinno do szczerości nakłonić. Ty kochasz, ale dlaczego w tajemnicy trzymasz swą miłość? Byłżebyś tyle samolubnym, aby się tem uczuciem nie podzielić nawet z tą, której się ono należy? z tą, która to widzi? Miałabym ja się pomylić? Jak po celnym strzale myśliwca, zwierz trupem pada na miejscu, tak po tych

słowach August schylił się do kolan Kamilli, a niezdolny słów
dobierać w tej
chwili, ujął i całował jej ręce.

— Ach pani, Kamillo, przebacz mi — rzekł wreszcie — cóż
mam ci powiedzieć, jam o
takim szczęściu nie marzył. — I Turski w swej niepokalanej
niewinności
młodzieńczej, schylił znów czoło do białych, ciepłych dłoni
kochanki i, jak mała
dziecina łkał głośno.

— Czemu płaczesz, dzieciaku - pieszczonym głosem mówiła
Kamilla — uspokój się,
wstań i usiądź tu przy mnie,
Teraz on spojrział na nią zażawionem okiem.

— O, w szczęściu płakać panie Turski nie trzeba. Szkoda, że
mama słaba, nie może
z nami podzielić tej chwili.

I teraz młodzi rozmawiali cichutko, a ona nie wspominała już
o lasce i lutni.

Późno było, kiedy Kamilla boskiem spojrzeniem pożegnała
narzeczonego.

— Czekam pana jutro w południe, musisz, się z nowym
tytułem mamie przedstawić.

Gdy ucichły w korytarzu kroki Augusta, pani Zahorska
ukazała się we drzwiach
salonu. - A, mamó, jak to męczy podobna komedja. I Kamilla,
już nie obliczając
pozycji, rzuciła się na otomanę. — Ja dokonałam swego, do
mamy reszta należy.

Ależ to lalka !

-- Bądź spokojna, druga połowa łatwiejsza. Słyszałam
wszystko, postępowałać
zręcznie.

— Niech mama zadzwoni, aby wina podali, to mnie orzeźwi.
August podążył do hotelu Scribego. Portjer wręczył mu klucz
i bougeoir, a na nim
list z rosyjską marką pocztową. To list Zygmunta.

— Czy pan Wagner u siebie? — zapytał.

— Jeszcze nie wrócił.

— Proszę mu powiedzieć, jak przyjdzie, że czekam go dziś
jeszcze.

— Bardzo dobrze, panie. Dobrej nocy życzę.

List z Topolan długo leżał nietknięty. Turski chodził po
pokoju, to się
uśmiechał, to czoło marszczył. Pilno mu było podzielić się
wiadomością z
Wagnerem, ale ten nie wracał.

— Ha — pomyślał — nie teraz to potem, muszę ten list
przeczytać.

I przeciął kopertę.

Szybko kartki wzrokiem przebiegał, a wyraz jego twarzy
zdradzał niepomyślną
treść. Przy końcu, jeszcze raz kartkę odwrócił, potem papier
silnie zmiął w rękę
i do kieszeni schował.

— Wagner widział jasno — mówił półgłosem. — Tak bardzo
energiczne sprzeciwianie
się Zygmunta nie może mieć innych powodów. "Zadłużony
majątek" — powtarzał słowa

listu— czy to nieszczęście? Czyż sam nie mam tyle, abym
żonę dostatnio utrzymał?
Owszem, wolę ją taką. "Zarzucają pannie zbytnią zalotność"
— naturalnie, bo
piękna. Anieli nic uczynią tego zarzutu.
I August, któremu serce drgało jeszcze pod świeżym
wrażeniem zniszczonej nadziei,
w tej chwili oślepiiony miłością, uczuwał żal i gniew do obojga
Lubiczów. którzy
mu chcieli stanąć w poprzek, na drodze do bezgranicznego
szczęścia . . .
Licząc, że Wagner nadejdzie, rzucił się na kanapę z
niedopalonem w ustach
cygarem i po-

wrócił do rozkosznych marzeń o Karaili. Upojony myślą, że
stał się tej kobiety
wybrańcem, uprzytomniał jej wdzięki, przypominał sobie całą
scenę niedawną,
powtarzał z rozkoszą każde jej słowo. Potem budował
cudowną przyszłość,
zakreślał plany, obiecywał sobie tak mięko usłać dla niej
gniazdeczko.
Trwało to długo, była już późna godzina.
Świece dopalały się równiutenko w lichtarzach, aż wreszcie
jedna pryskając
zgasła, a druga jeszcze błyskała coraz węższym płomykiem,
to białem, to
błękitnym na przemian.
I raz już stała się ciemność w pokoju, ale oto znów ognik
wystrzela o wiele

jaśniej ostatnim wysiłkiem, jak u konających życie w walce ze śmiercią.

Teraz August w półsennych marzeniach, uczuwa rękę zimną na czole. Roztwiera oczy

i w migocącym, świetle, matkę widzi przy sobie.

Postać była wyraźną, ze wzrokiem nieruchomie utkwionym w twarz syna.

Dreszcz go przeszedł po ciele. Instynktownie zerwać się pragnął ale mu się

zdawało, że zimna ręka nie pozwala mu powstać.

I zabrzmiał łagodny głos: — Guciu, Zygmunt pragnie szczęścia twojego.

Widmo znikło, a jednocześnie zagasł słabiuchny płomyk niebieski w lichtarzu.

Nastała ciemność zupełna.

Konwulsyjnym ruchem rzucił się teraz August z kanapy, stanął na równe nogi i

rękę w stronę widziadła wyciągnął. Ale nic nie uchwycił. Było mu straszno.

Chciał dzwonić o światło. W tej chwili, gdzieś na wieży, powoli, wybiła czwarta godzina.

Konał głos dzwonu brzmień.

I cisza wszcz i wzdłuż *).

* * *

Następnego dnia, za ledwie przed wieczorem, spotkał August Wagnera.

— Szukam cię z upragnieniem od wczoraj., tak cię bardzo potrzebuję.

— I coż się stało ?

— A, stało się, jak chciałeś, mój drogi, ale widzę, że nietylko rozkosze są w miłości. Chwila, której pożądałem, jest początkiem moich utrapień.

I August zdał sprawę przyjacielowi z wczorajszych oświadczyn, przeczytał mu list

Lubicza. wiernie opowiedział swój sen fantastyczny.

— Tak wyraźnie czułem jej zimną rękę na czole ! A jednak, gdyby matka była tu przy mnie.

*) Uhland.

czyż nie radziłaby sama, abym zadośćuczynił pragnieniom serca? Czyż chciałaby mnie skazywać na walkę z samym sobą, w którejbym zginął?
— Sny mój kochany jak mówi Moor w "Zbójcach" Szyllera, pochodzą z żołądka — wtrącił Wagner.

— A ten list — rzekł niby do siebie August — o! panie Zyguncie, jeżelibym twą przyjaźń miał opłacić zaparciem się Kamilli, to bodajbym był takiej przyjaźni nigdy nie zaznał.

— Stało się, jak przewidziałem. Nie chciałeś wierzyć. Teraz, jeśli masz być konsekwentnym, będziesz musiał otrząsnąć się z tej, jak widzę, nieproszonej

opieki.

— Ale słuchaj że dalej. Wyobrazisz sobie, jak mi się wydało brutalnym, kiedy

dziś w południe, pani Zahorska zaatakowała mnie majątkowymi sprawami. To tak.

jakżeby kogo od solennego święta odwołać, przypominając, że nastąpił dzień

powszedni, a z nim trzeba myśleć o chlebie.

— Rzeczy nieuniknione Auguście. I cóż ci mówiła?

— Nie wiele z tego zrozumiałem. Na takich sprawach nie znam się, o procesach,

egzekucjach

i jakichś tam subhastacjach nie mam pojęcia, a tem bardziej w chwili, kiedy bym

pragnął oddychać i lubować się czem innym a nie słuchać

litani wstrętnych liczb. Tyle tylko wiem, że te panie mają istotnie kłopoty, że

sobie biedne kobiety nie mogą radzić, że muszę ratować dobra Jodłowskie, którym

grozi sprzedaż i że na to potrzeba grubych pieniędzy. Chcąc czempredziej skończyć

tak niemiłe posiedzenie, ryczałem zobowiązałem się wziąć to wszystko na moją

głowę. Ale teraz zastanawiam się, jak sobie bez Lubicza poradzę. Majątek

posiadam czysty, ale nie mam gotówki. Chodzić około tego nie umiem, więc

przyszło mi na myśl, że, ty może, kochany Ireneuszu, będziesz mógł w kraju

wydobyć mnie z tego położenia, bo inaczej z niego nie
wybrnę.
Dałeś mi dowody takiej życzliwości, że w tem położeniu bez
wyjścia, nie wątpię,
zechcesz mnie poratować radą i swem doświadczeniem.
— Możesz liczyć na mnie, jak na Zawiszę — mówił teraz
Wagner. — Masz czystą
hipotekę, na którą łatwo znajdę pieniądze w Lublinie. Myśl o
pannie Kamilli,
kochaj ją swobodnie, a resztę ja biorę na siebie. Będziesz miał
i tak niemało
kłopotów z przebudowaniem domu, urządzeniem rezydencji,
ekwipaży i innymi
drobiazgami, a że, jak widzę, nic się nie rozumiesz na
finansowych sprawach,
więc ja to dam do zrozumienia pani Zahorskiej, zbadam stan
jej interesów i nawet
naprzód pojedę, aby w Lublinie wszystko przygotować.

Taka gotowość do usług uspokoiła Augusta. Rad ujrzął się
zdała od trudności,
którym pokonać nie czuł się na siłach. Niemniej, trapił go
niejasny i nieszczerzy
stosunek, jaki wyrodził się wśród tych okoliczności z
Zygmuntem, względem
którego pierwszy raz stawał się nieszczerym i — za sprawą
Wagnera — dwulicowym.
Łamał sobie głowę nad treścią listu, jaki należało do Topolan
wysłać. Była już
chwila, że go napisał, ale zniszczył niebawem. To samo stało
się z drugim i

trzecim, a w końcu zupełnie pisanie zaniechał, zostawiając wszystko losowi.

VIII.

Na bocznej ulicy w Lublinie, we własnym niepokąźnym domu, mieszkał niejaki Dymowicz, tytułowany mecenasem. W istocie, zdolny prawnik, bez naukowego stopnia, był tylko pokątnym doradcą pokaźniejszego gatunku. Kto chciał zbyć sumę wątpliwej wartości, umaczać ręce w funduszu nieletnich, przeciągnąć wyczerpaną ze wszelkich środków obrony subhastację, lub zwykłą sądową egzekucję słowem kto miał lichą sprawę, odrzuconą przez innych lubelskich prawników, ten się udawał do Dymowicza, który nie biorąc zazwyczaj kodeksu do ręki, odpowiadał po krótkim namyśle:
— Do mnie przychodzą umierający, chorzy nigdy. Badajże puls, kiedy pacjent w agonii. Sprawę łaskawcy przyjmuję, nie wygram, ale przeciągnę.
Tu następowało określenie terminu i zgoda honorarjum. Potem mecenas wyszukiwał jakiś

kruczek w samym kąciku kodeksu i takowy skutecznie stosował.

Nie było przykładu, aby Dymowicz zawiódł klienta, a raz, gdy sprawę przegrał przez osobistą złość sędziego, jak mówił, sam na termin egzekucji stanął i należność zapłacił.

To też, jak w wyrocznie, wierzono w mecenasa, a bywały wypadki, że najzdolniejsi prawnicy, szarą godziną wsuwali się po wązkich schodach kamieniczki i zasięgali u niego rady w zawilej sprawie. Jeden z nich w takiej okoliczności położył na stole dwadzieścia pięć rubli, ale odsunął je Dymowicz i rzekł: — Za objaśnienie, którądy droga, mówi się tylko: Bóg zapłać. Złej ten człowiek używał w Lublinie opinii, niemniej rachowano się z nim, jedni z obawy, drudzy z potrzeby.

Mały, suchy, żółtawy, z czarnym, zawsze potarganym włosom, miał oczy tak bardzo kose, że kiedy jednym patrzył w klienta, drugim jednocześnie czytał akta sądowe.

— Kogo mam przyjemność? — zapytał w tej chwili interesanta, który tylko co wszedł do jego pracowni założonej plikami papierów. A było tu ciasno, brudno i tak ciemno, że lampę zapalano zaraz z południa.

Jestem Waga Wagner, obywatel z Tężyna — odparł przybyły.

— Proszę łaskawcy usiąść - I w dalszym ciągu niebieskim ołówkiem w aktach

niektóre wiersze podkreślał Wagner czekał chwilę cierpliwie,
ale gdy ta
przeciągała się, to chrząkał, to na zegarek patrzył, zatrzasnąwszy
głośno
kopertę. Nie zdawał się Dymowicz zwracać na to uwagi.
Wreszcie przybyły,
dotknięty lekceważeniem prawnika, powstał z krzesła:
— Jeżeli pan zajęty, przyjdę później.
— Łaskawca się spieszy. Przepraszam, ci tu ludzie — i
palcem w akta stuknął —
także się spieszą. Zgłosili się wcześniej Co łaskawca powie?
— Zanim rzecz wyjaśnię, muszę zapytać się, czy mecenas
masz pieniądze?
Ten wycelował lewe oko w Wagnera.
— Hm, jedni mają pieniądze, ale przyznać się nie radzi,
drudzy wstydzą się, że
ich nie mają. Należę łaskawco do jednej z tych kategorii. — I
jakby niechcąc
żadnej po sobie pokazać, rozstrzelił oczyma w dwóch
przeciwnych kierunkach.
— Interes, który chcę mecenasowi przedstawić, wymaga
znacznej gotówki.
— Byłem dziś u wekslarza na Krakowskim. Kupiłem dla
klienta trzydzieści tysięcy
rubli listów na konwersję, ale go nie pytałem, czy ma
pieniądze. Żydzina posiada
ze dwa tysiące w ma-

jątku. U mnie tak, jak u wekslarza. Mam czy nie — dostarczyć
mogę.

— Chce mecenasowi zaproponować spółkę w interesie, przedstawiającym poważne zyski.

— Słucham.

— Mój przyjaciel i sąsiad, August Turski...

— Z Nadbuża?

— Ten sam. Żeni się z panną Zahorską.

— Z Jodłowa ?

— Tak jest. Warunki, jakie mu postawiła matka panny są bardzo..

— Twarde. Naturalnie.

— Zgadłeś mecenas. Interesa pani Zahorskiej i jej córki stoją ..

— Leżą już, znam je.

— Tem lepiej. — Turski, mówiąc nawiasem, zakochany w pannie do szaleństwa, daje się ślepo powodować wszelkim wymaganiom..

— I potrzebuje pieniędzy.

— To jasne. Ma wprowadzić piękny majątek...

— Bardzo piękny.

— Ale niema gotówki na spłacenie...

— Na spłacenie długów Jodłowskich, zapobieżenie subhastacji, no i tak dalej. A zatem?

Ja panie mecenasie, posiadam pewien kapitał, którym chciałbym przeprowadzić operacje, ale ten kapitał.

Nie wystarcza. Rozumiem. I dlatego łaskawca proponujesz spółkę. Żałuję, ale nie będę

służył. Takich lokacyj nie robię, w stosunki sąsiedzkie i przyjacielskie nie wchodzę. Mogę poradzić bez pretensji. Pieniądzy da chętnie pan Lubicz z Topolan.

— Nie rozumiemy się, mecenasie.

— To być może.

— Moim zamiarem jest tak przeprowadzić tę sprawę, abyśmy zarobili najprzód gotówkę, a potem przyszli do posiadania Nadbuża.

— O, jakże to?

— Chcę nabyć wierzytelności Jodłowskie, z zyskiem około trzydziestu procentów, a całą sumę nominalną zahipotekować na Nadbużu.

— Pierwsze możebne, ale zahipotekowanie, to jeszcze nie posiadanie majątku. Czy łaskawca prawnik?

— Nie, mecenasie. Jestem, jak powiedziałem, obywatelem ziemskim. Tu cała rzecz polega na twardych warunkach lokacji i procentach. Turski nie będzie w stanie spłacać w terminie, a wtedy rozpoczniemy subhastację.

— Której nie dopuści pan Lubicz. Znam ten stosunek.

— I tu mecenas się mylisz. — Lubicz bardzo przeciwny temu małżeństwu, nie przyłoży do niego ręki. To już moja rzecz, a dla tego wyjechałem wcześniej z Paryża, zostawiając tam Turskiego z temi paniami, aby grunt przygotować.

Dymowicz przegarniał teraz palcami rozczochrane włosy, patrząc jednym okiem w

kałamarz, drągiem w archiwum. Kombinował.
— Jaki kapitał potrzebny? — zapytał wreszcie.
— Nie wiem jeszcze dokładnie. Wybadałem Zahorską. Licząc na jej długi siedmdziesiąt procentów i to czego będzie, potrzebował Turski dla siebie, zbierze się około studwudziestu tysięcy rubli.
— Łaskawca dysponuje ?
— Do czterdziestu.
— A jak mamy spółkę rozumieć?
— Zyski po połowie.
— Jakto, z jedną trzecią kapitału?
— Biorę na siebie Turskiego, Lubicza. aby nie bruździł i Zahorską To wszystko nie łatwa robota.
— A cała praca prawna ?
— W kosztach mogę wziąć udział
— Czy łaskawca nie boisz się konkurencji przy licytacji Jodłowa? Tam są piękne lasy.
— Na żydków interes za gruby, wreszcie ułożymy trudne warunki subhastacyjne. Z obywateli, żaden nie stanie.
— Wszakże łaskawca sam obywatel.
— Chcę interes przeprowadzić na imię mecenasa.
— A — tak to wygodniej, zapewne.

— Również na mecenasa liczę co do kompetencji prawnej. Wszystko zależy od takiego związania rąk Turskiemu, alty się długo nie bronił.
— Znamy się na tem.

— Jeżeli mecenas na podobną spółkę zgadzasz się, to spisujemy odpowiednią umowę, określającą jasno nasz stosunek na przyszłość, to jest po nabyciu Nabuża.

— W zasadzie interes akceptuję. Na połowę zysków nie zgadzam się, bo to mało.

Zresztą łaskawca tego serjo nie powiedziałeś, a co do spisania umowy, rzecz ma

się inaczej: prawo nie dopuszcza zmowy dwóch na szkodę trzeciego. Łaskawca

możesz działać jawnie, kapitał ulokować na własne imię, a jeżeli jak słyszę,

powodujesz się przyjacielskim stosunkiem do Turskiego, a obywatelskim do kraju,

to musisz zgodzić się, że interesa nieprawe, nie mogą mieć formy prawnej. Jeżeli

ja mam dać firmę, bo się temi stosunkami nie krępuję, to zostawałoby tylko

zaufanie do mnie. A w tym względzie radzić, nie moja rzecz.

Każdy adwokat w

Lublinie powie: Dymowicz — to pierwszy złodziej.

Uprzedzam.

— Przez to samo, że zgłosiłem się do mecenasa w tej sprawie, daję dowód zaufania.

— Z tego względu nie będziemy mieli trudności. O skrupuły mi nie idzie. Wszak

to, co my

zapiszemy na Nadbużu, Turski zapisze na Jodłowie i będzie pokryty.

— No, nie zanadto, ale to nie moja rzecz. To pański przyjaciel i sąsiad, nie mój.

W tej chwili wszedł do pokoju dependent z plikiem papierów.

— Będę łaskawcy oczekiwał o szóstej wieczorem Teraz przepraszam, ale jestem zajęty. — I Dymowicz pożegnał klienta.

* * *

W Topolanach niepokojono się. Lubicz nic nie traktował powierzchownie, to też opieka nad Augustem, która dotychczas była dlań łatwą i lekką, po powrocie od stryja Józefa, jak niezmierny ciężar, uciskała mu barki. Nie pomagały refleksje Anieli, że Gucio zastosuje się do rad i przestróg wysłanych. Zygmunt widział jasno niebezpieczeństwo, jakie grozi dwudziestu-dwuletniemu chłopcu, takiemu zwłaszcza, jakim był August, ze strony pięknej, starszej, a niewątpliwie zręcznej i majątkowo zrujnowanej panny. Wyglądał też niecierpliwie listu z Paryża, ale ten nie nadchodził. Raz rodzeństwo, jak zawsze przy sobie odbywało wieczorne posiedzenie. Ale nie szła im dzisiaj rozmowa. Brat był chmurny, a siostra smutna Brzydki czas październikowy przyczyniał się do tego.

Słysząc było jednostajny plusk wody, płynący z rynew, a od czasu do czasu, gęsty deszcz, nagnany wichurą, dzwonił kroplami po szybach pałacu.

Wszedł Michaś i podał panu pakiet pism i korespondencji. Lubicz je przejrzał i na bok odłożył.

— Nie ma? — rzekła Aniela.

— Nie. — Czy chłopak wstępował do Nadbuża? — zapytał Michasia.

— Właśnie chciałem paniczowi powiedzieć, że nie wstępował, bo widział młodego pana na poczcie.

— Gucio przyjechał? — zawołała Aniela, powstając z kozety.

— Albo chłopak źle widział, albo Michaś źle słyszał — mówił Lubicz — to być nie może, skąd, co i jak ?

— A no, powiada, że widział.

— Czy chłopak już poszedł?

— Co miał pójść, grzeje się przy kominie w przedpokoju, mokry jak flis.

— Biedny Stasiek — wtrąciła Aniela.

— Niech on tu przyjdzie — rzekł pan.

— Jabym go też puścił, żeby gliny naniósł na posadzkę. Czy to Michał taki głupi, że się sam nie umie z nim rozmówić ?

Niechąc certować się. Zygmunt wyszedł do przedpokoju

— Prawda, że widziałeś pana z Nadbuża? — zapytał wyrostka.

— Pewnikiem jaśnie panie, brałem papiery na poezhalterji, kiedy zatrąbiło. Potem wyszedł młody pan i kazał duchem zaprzęgać do Nadbuża. Jak płacił za konie, to miał w garści pieniądze złote i srybne.

— A może to był kto inny?

— Bogać tam, jaśnie panie. Abo to my nieznamy pana Gucia?

— Idźże to stajni i powiedz Ignacemu, aby mi zaprzął do wózka.

— Przyjechał — mówił brat do siostry, wróciwszy do pokoju.

— Dlaczegoż nie pisał ?

— Widocznie obliczył, że sam wcześniej ta będzie. Zaraz jadę do niego.

— Czy nie późno na taki deszcz?

— To nic nie znaczy. Na siódmą tam zdążę.

— E, poszedłby panicz spać wcześniej, a nie topił się po błocie. Pan Gucio nie zając, nie ucieknie, a rano to i sam tu do nas przyjedzie.

— Nie marudź, stary. Dziś pojedę. Jak panicz każe, tak będzie, ale to do niczego. Wkrótce potem Zygmunt odjechał. Aniela poszła do swego pokoju, a siadłszy

przy damskim biurku, wpatrywała się w stojące na niem fotograficzne portrety. Byli tam jej ojciec, matka, brat, rodzice Augusta i on sam wreszcie. To kółko jej najbliższych — sercu najdroższych. Ale teraz wzrok jej na ostatnim spoczywał. A fotograf miał wdzięczny model. Nie było w twarzy Augusta męzkosci.

Jasny włos bujny, łagodne regularne rysy i goniące za eze-
mś tęskne, niebieskie
oko. składały się na typ, obiecujący nie hart żelaznej woli, nie
ambicję
przodowania, a raczej prostoduszną poczciwość i wylaną
serdeczność. Te właśnie
cnoty musiały chwytać za serce Aniele, bo były i jej cnotami.
Nie знаła innego
mężczyzny. Z Guciem dziecinne lata spędziła, z Guciem
wzrosła, a potem, jemu
przeznaczyła swą przyszłość. Teraz niestety były to tylko
wspomnienia. Serce
dziewczyny rwało się jeszcze, a sercu garb kaleki uragał.
Miała już czas oswoić
się z tem. Dziś jednak musiały się rany rozkrwawić, bo choć
kto się wyplakał
przy śmierci drogiej mu osoby, jednak na pogrzebie boleść go
szarpie na nowo
August dawno już był dla niej umarłym, teraz przez
małżeństwo miał być po-
grzebionym. To też płakała biedna w portret wpatrzona.
Zygmunt wpadł do Nadbuża.
— Jak się masz Guciu? — zawołał w ga-

biniecie Turskiego, który rozpakowywał różne drobiazgi.
W powitaniu młodego człowieka, Zygmunt cień przymusu
dopatrzył.
— Zaledwie dowiedziałem, się że przyjechałeś i już mnie
masz. Czemu nie
odpisałeś na list mój ostatni?

— Chciałem odpisać, ale... czasem tak trudno przelać myśli na papier.

— Szczerłość w tych rzeczach nie zna trudności, a o tej u ciebie nie wątpię.

— Cóż tu słyszeć? — pytał Turski, jakby chcąc zmienić tok rozmowy.

Teraz pobieżnie zamieniono wiadomości, dotyczące spraw domowych i gospodarskich.

— Ale powiedz mi to, co najważniejsze, jak się stało z panną Zahoraką? Byłem bardzo niespokojny o ciebie.

Zawahał się August, a Zygmunt widział na jego twarzy rumieniec.

— Pan tak bardzo, a tak niesłusznie uprzedziłeś się do niej — odparł nareszcie.

— Gdybyś ją znał, panie Zygmuncie.

— Wiem, że ma być piękna — ale to mało.

— Piękna, dobra, rozumna, wykształcona, to chyba dosyć.

— Uczyniłeś mi zarzut, że się do niej uprzedzam, ale w tem popełniłeś błąd.

Uprzedzenie Jest następstwem fałszywej obserwacji, albo kró-

tkiego widzenia. O pierwszym niema tu mowy bo jej nie znam. Co do drugiego, zasięgałem opinii ludzi starszych, rozumnych, a niezaprzeczenie prawych.

— Którzy mimo tego, mogli się sami uprzedzić.

— W tym razie to niema miejsca. Ja zaręczam. Co do mnie, nie obwijając w

bawełnę, a uważając to za mój obowiązek względem ciebie i pamięci twej matki,

muszę ci powiedzieć wszystko, co wiem, ażebyś pod wpływem pierwszych gorących wrażeń, nie struł sobie życia tam, gdzie liczysz na szczęście i spokój.

— Na Boga! panie Zygmuncie, co ludzie mają przeciwko panie Zahorskiej? Czem ona zgrzeszyła? Jakie popełniła zbrodnie?

— Nie zawsze nazywa się w świecie zbrodnią, co jest złem wielkiem. A panie Zahorskiej zarzucają wiele złego.

— Zazdroszczą jej piękności.

— Opinia ludzka nie ocenia twarzy, ale wartość moralną. Dla niej obojętnem jest, czy kobieta ma czarne lub niebieskie oczy. I ta sama opinia nie bywa nigdy niesprawiedliwą, a raczej surową. Podobne małżeństwo dla ciebie jest najnieodpowiedniejsze ze wszystkich względów.

— Ale z jakichże mianowicie?

— Pomijam, że te panie są w najgorszych majątkowych interesach; pomijam, że o ile wiem.

córka przez usta matki, na zadatek dożywotniego szczęścia, zażąda najprzód twojej ruiny, bo tym kobietom zdaje się, że mogą i powinny ratować od sprzedaży dobra Jodłowskie, i taki na ciebie obowiązek włożą; pomijam również, że za lat piętnaście będziesz mężczyzną w najpiękniejszym wieku, w którym dopiero

zapragniesz wyzyskiwać twe życie; ona zaś będzie już nie młodą, a może domagającą się miłości wówczas, kiedy ty zdobędziesz się na szacunek zaledwie.

— Czyż nie należy się żonie od męża szacunek?

Nie mieszajmy pojęć, mój Guciu. Prawda, że miłość bez szacunku nie jest miłością, ale tylko chwilową zabawką, którą się wcześniej lub później odrzuca tem dalej od siebie, im więcej nas już znudziła.

— Zupełnie zgadzam się na to.

— Ale na odwrót, szacunek bez miłości nie w każdej epoce małżeństwa wystarcza, pod karą moralnej klęski dla tego z dwojga, które wcześniej ten fatalny brak w drugim spostrzeże.

— A dlaczegóż nie miałbym za piętnaście lat kochać mej żony?

— To trudno przesądzać. Wprawdzie wolelibyśmy w trzydziestu kilku latach wieku mieć żonę jeszcze młodą i jeszcze piękną, a jednak powtarzam, pomijam i to.

Gorszeni jest,

że panna wychowana w zasadach i w warunkach wprost przeciwnych tym, w jakich ty wzrosłeś, że matka zaszczepiła w niej zamiłowanie do zabaw i zbytku, że nauczyła ją starać się nie jednemu, ale wszystkim razem podobać, a to mój Guciu, wada w

kobiecie, która w swych skutkach nie drobne zatargi i nieporozumienia, ale okropne klęski, straszne nieszczęścia, moralne ruiny przynosi mężom i całym rodzinom.

August tarł czoło i milczał.

— W najlepszym razie — ciągnął Zygmunt — pannie Zahorskiej nie wystarczy, ciche, pracowite życie w Nadbużu, bo jej świetnych salonów, jej licznych, a zawsze nowego towarzystwa potrzeba. A to świat nie dla ciebie i nie dla usposobienia twego. Wreszcie, twoja szlachecka fortuna w takiej spółce, gdzie druga strona prócz długów nic nie posiada jest stanowczo za skromną na tę skalę życia, jaka ją czeka.

Wszystkie podobne zarzuty upadają z chwilą, kiedy żona kocha męża i chętnie czyni ofiarę ze swych upodobań. On sam jej za wszystkich i za wszystko starczy.

— Zapewne, byłby to jedyny w tym razie argument. Ale nie zapominaj, że żony tak stosunkowo starsze od mężów, zawsze zdobywają

przewagę Powiedz rai Guciu, jakże daleko zaszły te rzeczy? I patrzył Zygmunt w oczy Augusta, które zdradzały wyraźną niechęć do odpowiedzi na zadane pytanie.

— Miałebyś zgubić zagranicą szczerą do mnie i zaufanie? Miałebyś już

zapomnieć o stosunku do Topolan, który jeszcze w liście z Ostendy z tak serdecznym ciepłem określasz? Bo jabym bez Kamilli żyć nie mógł — wybuchnął teraz August z niebywałem u niego przejęciem się. - Dawniej, nie znając takiej miłości, inaczej pojmowałem życie, inaczej kreśliłem ten obrazek i inne ramy dobieierałem do niego. Dziś, jam już nie ten Gucio, co dawniej. Zajrzałem do innego świata, zakosztowałem słodyczy, która była mi obca, i — zyskam na tem lub stracę, ale w tym świecie zostanę. Mówisz mi panie Zygmuncie o szacunku, o wieku, sięgasz myślą naprzód lat kilkanaście, zapewne, każdy na pańskim miejscu mówiłby to samo, ależ mój Boże, ja nie patrzę w nieskończoność nie wymagam tak wiele; za jedną chwilę szczęścia z Kamillą, oddałbym chętnie resztę życia mojego. — Jesteś chory, mój Guciu, i w tem całe złe leży. Ja się tej chorobie nie dziwię, nie jeden podobną w tym wieku przechodził, byłoby źle, gdybyś nie umiał kochać z takim zapalem,

ale to jest gorączka, nad którą zapanować musisz... — Nie, nie mówmy o tem, nie wyrwiecie tego, co jest odemnie silniejsze, chybabyście mnie samego złamali — i Turski zarumieniony, nerwowo po pokoju

kroczył.

Zygmunt podszedł ku niemu i za rękę ujął:

— Słuchaj, mój Guciu — rzekł głosem łagodnym — teraz
widzę, że istotnie innym
wróciłeś, ale ja przecież znam cię od małego chłopięcia; znam
twoją uległość i
twa wiarę we mnie, jedyne i najbliższe ci sercem. Nie
unoś się w tej
gorączce, ostygnij. Czy wiesz, dlaczego tak często błąkają się
po świecie
nieszczęśliwi, złamani, pomimo świetnych warunków, jakie
mieli za młodu? Oto
dlatego, że przy najlepszych chęciach, najszlachetniejszych
dążeniach, młodzi,
niedoświadczeni, szli przed siebie na oślep za zradnym
podszeptem przeróżnych
namiętności, a nie za głosem rozumu. Słowem, krótko
widzieli. Jeśli z nich który
napotkał rzetelną radę doświadczonego człowieka, ojca, brata
lub co rzadko
przyjaciela, a tej rady usłuchał, ten był uratowany.
Kto z nich rządził się sam sobą, lub co gorzej, dał się
powodować fałszywym
przyjaciołom, ten przepadł, bo przepaść musiał, ten spostrzegł
za późno, że
kilka chwil krótkich, które

wydały mu się szczęściem, rozkoszą lub tylko przyjemnością,
opłacił bajecznie
drogo, bo okaleczył lub ze wszystkim zgruchotał całe swoje
życie. To też ja tu

dziś staję przed tobą jako twój opiekun, twój najszczerzy przyjaciel i powiadam

ci : Guciu, zrzeknij się tej miłości.

August milczał chwilę, która była niezmiernie przykrą dla niego.

— Nie, panie Zygmuncie, nigdy i nigdy nie zaprę się Kamilli — zawołał wreszcie z

zapałem. — Jestem z nią już zaręczony.

— Już zaręczony? — wycedził teraz Zygmunt przez zęby.

— Tak jest, list pański otrzymałem zapóźno.

— A jednak nie zwlekałem z nim. Nazajutrz po twoim, byłem na Podlasiu u źródła.

Ale dziś widzę z przykrością, że nie w tem leży przyczyna twego pośpiechu. Nie

wiele potrzebowałaś czasu, aby zapomnieć o nas, mój Gruciu.

Te słowa Zygmunt wymówił z goryczą.

— Nie zmieniłem bynajmniej moich uczuć dla pana i dla siostry pańskiej, ale

dziwić się trudno, że moje serce było goręcej dla Kamilli, którą kocham, która

mnie kocha, a wobec której temsamem nie mogłem grać roli dwuznacznej.

— Jeżeli oświadczyłeś się tak pochopnie, pomimo że sam przyrzekałeś czekać,

zapewne, to pogorszą położenie, ale nie stanowi jeszcze spełnionego faktu.

Ludzie rozchodzą się od ołtarza.

— Panie Zygmuncie — rzekł teraz August dobitniejszym głosem, a niecierpliwość

malowała się na jego twarzy — czy nie pojmujesz, jak wielką przykrość sprawia mi to twoje obstawanie przy swoim ? Czy nie chcesz tego zrozumieć, że im bardziej oskarżasz kobietę, którą nazwę kiedyś moją żoną, tem bardziej mam obowiązek ją bronić? Czy pan sam postąpiłbyś inaczej? Nie mówmy już o tem. Jeżeli to małżeństwo jest tak bardzo niewłaściwe dla mnie, wszakże ja tylko sam padnę jego ofiarą.

— Do której nie dopuścić jest moim obowiązkiem — rzekł żywo Zygmunt. — Po za tem wszystkim, co już powiedziałem, a co jest niezaprzeczalne, wiedz, że m zamilczał o czemś gorszem jeszcze, bo wprawdzie tak mówią, ale ja nie mam na to dowodów,
— Dość tego panie Lubicz, zaszliśmy za daleko — mówił August już w uniesieniu — teraz widzę jasno, że pan chciałbyś urzeczywistnić dawne projekty, zapomniane nawet przez nieboszczkę matkę moją, a po drodze do tego celu, zgarniasz środki niegodziwe.

— Guciu rachuj się ze słowami! — zawołał Zygmunt z energią . — Stoi przed tobą człowiek, który gotów jest wiele dokonać przez poczucie obowiązku, jaki dobrowolnie przyjął na siebie, ale który po nad to, nierównie wyżej stawia honor

i cześć jego najdroższych. W istocie, skutecznego chwyciłeś się sposobu, aby się ód mego wpływu uwolnić. Zrobiłem swoje, a teraz, polecam cię własnym instynktom
I kiedy Lubicz zmierzał ku drzwiom, Turski nie postąpił kroku.

Ale tamten zatrzymał się jeszcze u wyjścia:

— Pamiętaj: w imieniu twojej matki, której na śmiertelnym łożu przyrzekłem, że będę czuwał nad tobą, zakładam uroczysty protest przeciwko temu małżeństwu, a kiedy się ujrzysz na świecie w kłopotcie, uchowaj Boże w nieszczęściu, zastaniesz zawsze w Topolanach ludzi, którzy nie we własnych broń Boże widokach — z serca ci rękę podadzą.

Wyszedł Lubicz bez odpowiedzi i do domu odjechał.

August zostawszy sam, długo rozmyślał. O ile zapomniał się przed chwilą tak dalece, że się dopuścił najwyższej niegrzeczności względem przyjaciela, starszego i gościa, nie schyliwszy mu nawet głowy, o tyle teraz tego postępu serdecznie żałował. Nie pozbył się żalu do Zygmunta za tak bardzo niekorzystną o Kamilli opinię, nie

pozbył się również podejrzeń przez Wagnera podszeptanych w Paryżu co do Anieli, niemniej jednak czuł się bardzo winnym względem człowieka, którego od

dziecinnych lat kochał, a zawsze szanował. A wszakże ta jego
wina, rozciągała
się pośrednio i do Anieli. I tak było mu przykro w tej chwili,
że gdyby nie pora
spóźniona, byłby zaraz do Topolan pojechał. Postanowił to
uczynić zaraz
nazajutrz

-- Najprzód przeproszę go i powiłam Aniele — myślał —
sprawę mego małżeństwa
pozornie przyrzeknę przeciągnąć, a powoli i on się z tą myślą
oswoi.

I tak, ten człowiek chwiejny, a dobrego serca, rzecz na razie
załatwił.

Ale już nazajutrz rano, przyjechał Wagner. Sprawy w Lublinie
— jak mówił — były
załatwione pomyślnie i August miał być pewnym uzyskania
potrzebnego kapitału w
przeciągu paru tygodni.

— O jechaniu do Topolan. Wagner, jako nowy opiekun, ani
słuchać nie chciał.

— Jesteś w wysokim stopniu niedoświadczony Auguście —
tłumaczył. Takie
przymówienie się wasze, to dla ciebie bardzo szczęśliwa
okoliczność. Nigdy nie
będziesz miał lepszej sposobności zerwania tego stosunku,
który od tego czasu
dla was zawsze wzajemnie niemiłym zo-

stanie. Wreszcie nie wypada ci komunikować się z
człowiekiem, mającym podobne
wyobrażenie o twojej przyszłej żonie.

Taka rada Wagnera, znalazła u Augusta zupełne uznanie.

IX.

Pierwszego dnia po przyjeździe pani Zahorskiej z Kamillą do domu, było jeszcze dość cicho w pałacu. Wronowski tylko, spełniający trudny obowiązek plenipotenta, zdał sprawę ze stanu rzeczy, który się najsmutniej przedstawiał.

— Niech pan stara się wyjednać u wszystkich małą cierpliwość — mówiła pani Zahorska. — Córka moja wychodzi za mąż za pana Turskiego, bardzo bogatego obywatela w Hrubieszowskiem. Na mocy układu między nami, mój przyszły zięć wzięł na siebie uregulowanie prywatnych i hipotecznych naszych interesów, a tym sposobem, w bardzo krótkim czasie, wszyscy zostaną zapłaćeni. Proszę to oświadczyć każdemu, panie Wronowski.

— Spełnię rozkazy — odparł tenże — ale tymczasem, jak mam postąpić? Pora już bardzo spełniona, a myśmy jeszcze nie zaczęli siewów.

— Jakto, dlaczego?

— Zboże sądownie zasekwestrowano trzy razy.

— Przecież nie wolno aresztować ziarna do siewu?

— Mieliliśmy odsiew przygotowany, ale to był jedyny środek posłania pieniędzy do

Ostendy, a potem do Paryża. Pani kazała wysłać natychmiast.

— A cóż pan teraz uczynisz ? Wprawdzie już bardzo późno, ale jeszcze możnaby zasiać.

— Nic mamy sprzężaju,

— Trzeba nająć.

— Nikt do roboty nie wyjdzie. dopóki mu się nie zapłaci zaległości jeszcze ze żniwa.

— Bardzo smutne rzeczy mówisz mi, panie Wronowski. Myślałam, żeście tu lepiej radzili.

— Nie nowe to wszystko, co mówię, a radzić, to by i Salamon niepotrafił.

Ale teraz możnaby łatwiej dostać pieniędzy. Pan Turski, to człowiek, jak mówiłam bardzo bogaty.

Nie dadzą, proszę pani, nie da żyd, ani katolik, ani chłop.

Mówić im, to tylko

szydzić będą, każdy procesuje i areszta kładzie. Ledwie że uprosiłem komornika,

aby nie powiększał kompromitacji, ale niech pani zajrzy pod wszy-

stkie meble : zamiast na wierzchu, wszędzie są pod spodem sądowe pieczętki.

— Jakto, meble w pałacu zajęte ?

— Wszystkie proszę pani, nawet klęcznik w sypialnym pokoju. Nie pisałem o tem,

bo i na co było zmartwienia przysparzać.

— Niech pan napisze do Goldsterna, że ja proszę, aby tu jutro około południa przyjechał.

— Dobrze, proszę pani.

— Dziś już nie będę cię potrzebowała, panie Wronowski. Ale nazajutrz było gorzej w Jodłowie, będącym w stanie korupcji, tem gwałtowniejszej, im cięższą i dłuższą była choroba.

Od samego rana zjeżdżali się różnorodni interesanci, a wszyscy — wierzyciele.

Pod parkanem podwórca stały parokonne bryki, jednokonne wózki i tak zwane biedy żydowskie. Chłopi przychodzili pieszo.

Nie pomagały bądź osobiste pani Zahorskiej, bądź plenipotentą perswazje. Zewsząd natarczywie domagano się pieniędzy.

— Jasna pani wzięła posag mojej Ryfki. Ona bez to nie może się ożenić. Czy jasna pani ma sumienie zabrać ostatnie pieniądze ? — użalał się rudy żyd w zatłuszczonym chałacie, czyniąc charakterystyczny ruch ramionami.

— Ny, mnie przykazowali wozić mięso, to ja i woziul. Sam na procent pożyczal, aby tylko

w Jodłowie była najlepsza zrazówka i polędwica. Czy ja się mogłem spodziewać, co za takiego towaru, mnie trzeba będzie czekać już drugie lato. Ja jestem

zginiony, ja sam płacę procentów.

— Proszę łaski jaśnie pani, żydy to wiadomo że żydy, ciągną psie dusze krew z człowieka, ale ja wierny katolik, ostatek dałem, zatraciłem moją krwawicę, zmiłuj się jaśnie pani. tysiąc rubli, to dla mnie majątek. Takie i podobne żale wywodzono bez końca, a gromada parobków stanęła pod oknami pałacu, domagając się chociaż zboża na chleb, kiedy niema pieniędzy.

Pani Zahorska zamknęła się wreszcie w swym buduarze, nie mogąc falangi

powstrzymać. Wronowski ujadał się, jak mógł, prosił, tłumaczył, obiecywał, a gdy

to nie pomagało, — dajcie mi czysty spokój — zawołał w końcu zniecierpliwiony, —

nie moje długi, nie będę się z wami do nocy mordował.

— Nu, co to nie moje, czy pan nie kazał dawać? Czy pan nie przysięgał, co po żniwach pan sam zapłaci? Herste, to całe szajkę, to rozbój, to gwałt!

Ja kupił grochu, gdzie mój groch? Czy go robaki zjadły? To oszustwo, ja pojedę do Siedlec do samego przenajświętszego prokuratora.

— Co to, mnie wyrzucać, mnie obywatela? — wrzeszczał hardy mieszczanin z

sąsiedniego miasteczka, którego lokaj siłą za drzwi wypychał

— ja wam pokażę, ja

was nauczę, ostatnie pończochy sprzedam tym lafiryndom.

W tej chwili zatoczył się pod pałac mały, jakby z mody wyszły, ale świeżo lakierowany powozik, zaprzęgnięty w parę niezłych koni. Woźnica miał złoty galonik na czapce.

To Goldstern, bankier z miasteczka.

— Dobrze, żeś pan przyjechał — mówił Wronowski, wprowadzając przybyłego do pałacu, nie możemy dać sobie rady. Pani poza wczoraj przyjechała, a dziś już zbiegło się wszystko, jak kruki.

— No. co się to dziwić, każdy upomina się o swoje. A pani gdzie ?

— Jaśnie pani prosi pana Goldsterna — mówił lokaj.

Przybyły żyd był jeszcze młodym człowiekiem, nosił się po europejsku, mówił czysto po polsku. Z dworami był w stosunkach poufałych, bo najważniejsze finansowe operacje z nimi załatwiał. Żydowstwo, bez względu że Goldstern był postępowcem, czoło przed nim schylało, uznając niepospolitą wyższość nad sobą.

To też gdy on się zjawił w pałacu, wszyscy ucichli, a nawet pousuwali się z przed okien.

— Jak zbawienia wyczekuję cię, panie Goldstern — mówiła pani Zahorska.

— Stawiam się na rozkazy, i witam z podróży; jak się panie czują po kąpielach?

— Dziękuję panu. Jesteśmy zdrowe. Następnie, w możliwie krótkich słowach

objaśniła go o obecnem położeniu rzeczy.

— Sam pan widzisz, że teraz skończą się już nasze kłopoty, ale potrzebuję pańskiej pomocy. Pan tylko możesz wpłynąć na tę szarańczę, co tam pałac oblega, aby byli cierpliwi kilka tygodni, a nadto, liczę jedynie na pana, że dziś

zechcesz mi dostarczyć funduszu, którego niezbędnie potrzebuję w pierwszych chwilach. Z tobą mówię zupełnie otwarcie, jak z przyjacielem domu. Pan Turski

przyjedzie tu za parę tygodni. Czyż mogę przyjmować go w tych pokojach, gdzie komornik wszystko opieczętował? To niepodobna.

— Bardzo słusznie, pani. Dziękuję za zaufanie, na które spodziewam się, że

zasłużyłem. Wymogę na Fejnkornie, że na moją odpowiedzialność zwolni z aresztu

na meblach. Tych ludzi także uspokoję.

A co do gotówki?

Wszyscy wiedzą, co znaczy moje słowo. Jak powiem, że dam, to już dałem. Ale ja

teraz nie mam pieniędzy, bardzo trudno o gotówkę. Mam odbierać w tych dniach.

— Ale pan możesz dostać z łatwością. Suma, jaka się panu od nas należy, jest tak

wysoko zahipotekowana, że się pan zapewne nie obawiasz.

— Uchowaj Boże, nie powiadam o żadnej obawie, ale i Groidstern może być bez gotówki, a on w miasteczku nie pożyczczy. To nie uchodzi.

— Więc cóż ja pocznę? W tem położeniu odwołuję się do pańskiej ludzkości.

— Ja to dobrze rozumiem, ktoby nie rozumiał? Ale niema jeszcze nóż na gardle. A wiele pani potrzeba?

— Chociażby dwa tysiące rubli.

— Nie wiem, zobaczę. Jeżeli mi wypłacą, na trzy, cztery dni, ja będę się starał pani wygodzie.

— Liczę na pana. Procent niech pan potrąci z góry.

— Niech tylko będą pieniądze. Nie chcę się z bogacić. A czy mogę zobaczyć pannę Kamille ?

— Owszem, bardzo proszę. Kamilciu, pan Goldstern pragnie przywitać się z tobą —

mówiła matka do córki, czytającej książkę w głębi przyległego salonu, — Proszę

pana — i weszli oboje.

— Jestem szczęśliwy, że mogę panią widzieć w lepszych warunkach, niż przed wy-

jazdem. Winszuję pani, prawdziwie świetny los. Moja żona także ucieszy się bardzo.

— Bardzo dziękuję panie Groidstern, proszę się pokłonić odemnie pani Saloraei —
odparła Kiimilla.

Matka w tej chwili, stojąc za Groldesternem, dawała córce jakieś znaki, pokazując rękami swoje kolczyki w uszach.

Domyśliła się córka tego manewru.

— Przywiozłam pańskiej żonie gościńca z Paryża — rzekła Kamilla — parę

turkusowych kolczyków, ale jeszcze nie rozpakowane.

— To zbyteczne proszę pani — odparł bankier, nie upierając się przy odmowie.

Po wzajemnych komplementach, Goldstern pałac opuścił, a zanim wsiadł do powozu,

rzucił właściwym żargonem dwa słowa żydkom, którzy oczekiwali go w pobliżu: "A

bisele warten". Było to niby dotknięcie czarodziejskiej różeczki, po którein

wszyscy ustąpili niebawem.

Przejeżdżając koło propinacji, zatrzymał się bankier i kazał do siebie arendarza

zawołać. Mówił z nim krótko, po żydowsku, nie wysiadali z powozu, a wiatr niósł

tylko urywane słowa: Hrubieszów, Nadbuże, purec Turski, fuhr, drei tug.

I dotrzymał słowa, bo czwartego dnia, późnym wieczorem, wręczył pani Zahorskiej półtora tysiąca rubli.

Ale teraz kolczyki były już widocznie rozpakowane, bo je Kamilla sama

Goldsternowi oddała dla pani Salomei.

Że się to działo w żydowskie święta, bankierek przymówił się o parę indyków i

sążeń suchego drzewa.

Nazajutrz panna Zahorska zajęła się przywróceniem pałacu do porządku. Służba

krzątała się wszędzie, froterowano posadzki, trzepano spłowiałe dywany,

czyszczono świeczniki, tapicer z miasteczka jak mógł i umiał, pokrywał

spustoszenia, których czas i mole dopuściły się na meblach.

Kucharz co chwila

przedstawiał nowe braki w spiżarni, a wygłodzone konie robocze męczono do reszty

rozganiem za sprawunkami.

Wkrótce nadszedł list od Augusta, w którym tenże donosił, że sprawy finansowe

już załatwione pomyślnie i że za kilka dni, razem z nieocenionym Wagnerem, do

Jodłowa przybędzie.

Wszystko też było gotowe na jego przyjęcie, bo nawet panna Kamilla już sobie

przygotowała w wielkim lustrze w salonie wyraz twarzy stęsknionej za

narzeczonym, a na fortepianie ułożyła na wierzchu te noty do śpiewu, które do

okoliczności miały się najlepiej nadawać.

W oznaczonym czasie zjechali oczekiwani goście.

Rezydencja w Jodłowie przedstawiała się wcale pokaźnie.

August był zachwycony

serdecznym przyjęciem Kamilli, a kiedy Wagner, swemi i

Jodłowicza pieniędzmi

wypchany, odbywał z matką narady, on z córką wymieniał
czułe spojrzenia i gorące
słowa miłosne.

Wieczorem, w eleganckich gościnnych pokojach, zwierzał się
przed przyjacielem:

— Jak to dobrze, że ciebie poznałem. Teraz widzę, iż sam
byłbym nigdy nie
wybrnął z tylu trudności. Tymczasem jestem szczęśliwy, ale
tak szczęśliwy, że
nikt tego nie pojmie. Im bliżej poznaję Kamille, tem bardziej
ją uwielbiam, tem
jaśniej widzę, jak ludzie są źli, zdolni nawet drugich
spotwarzać, aby tylko
dogodzić własnym widokom. Czy uważałeś, Ireneuszu, jak
ona jest czynna w domu,
gospodarna ?

— A jak tęskniła, za tobą ! Powiada, że godzinami całemi
wyglądała cię w oknie.

Przyznać trzeba, że się w czepku rodziłeś Auguście.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

„Bóg stworzył jarmarki, a djabeł frymarki". Oto przysłowie,
malujące o

jarmarkach pierwotne pojęcie naszego ludu, upatrującego w nich sposobność do zabawy i hulanki, a we właściwym obrocie handlowym stronę ujemną, jakoby dziełem djabła będącą.

Pod pierwszym względem, z ludem zgadzali się mieszczanie i szlachta.

Właściciele miast i miasteczek w Polsce, starali się w widokach własnych o jak najszerze przywileje dla jarmarków, a tak i Hieronim ozeptycki, biskup płocki, nie poprzestając na tych, jakie Batory nadał Łęczynie w r., uzyskuje nowe u

Stanisława Augusta w r. To też od tamtej pory datują się głośne jarmarki

Łęczyńskie na Śt. Idzi, gromadzące bydło, owce i konie. Ale jednocześnie, korzystając z licznego Zjazdu, ciągną tu ze wszystkimi towarami, ku-

pcy z głębi Rosji i Wschodu, przemysłowcy i spekulanci rozmaitych gałęzi.

Dziś, sieć kolei żelaznych, a ztąd łatwa komunikacja zmieniły ,ustrój handlowy,

zatracając charakter jarmarków. Dawniej szlachcic nie mógł pomijać jedynej

sposobności spieniężenia dobytku i zaopatrzenia się we wszystko, czego

potrzebował dla domu i rodzin. To też tylko obłożna choroba mogła go powstrzymać

od wzięcia udziału w jarmarku, zwłaszcza dorocznym, na którym nastęrczała się gratka spotkania krewnych i znajomych, a z nimi zabawy, polegającej na winie i kartach. A w tem często nie było miary. Zdarzało się, że szlachcic sprzedał konie i woły, wziął zaliczkę na zboże, ale zanim przystąpił do zakupu różności, spisanych przez małżonkę na długiej kartce niebieskawego papieru, już przegrał w karty gotówkę, potem ostatnie konie i bryczkę, i na wózku sąsiada, z niczem do domu wrócił. Gwarno i ludno było w tej chwili na rynku łączyńskim, który po nieustającej trzydniówce, przedstawiał jedną kałużę. Świeci wprawdzie słońce i usiłuje błoto wysuszyć, ale nie łatwo mu to przychodzi, bo już początek września, a ku jesieni wiadomo: "łyżka wody, garniec błota", tem bardziej, że tłumy narodu rozdeptują, rozrabiają je, niby materiał do murarskiej kielni.

Łączna nie liczy więcej nad trzy tysiące przez pół żydowskich mieszkańców, ale na St. Idzi zbiera się tu gości do dwunastu tysięcy. Pod gołym niebem rozłożyli kupcy ruchome sklepy z różnorodnym towarem: gotowe kożuchy i futra, błamy, skóry wyprawne tandetne, ubrania, buty, trzewiki,

berlacje, płócienne parasole, dalej artykuły spożywcze,
wschodnie przysmaki z
migdałów, maku i miodu i tp , oto, co się daje widzieć w
rękach kacapów, żydów,
Bułgarów, Serbów, a nawet i zachodnich przybyszów.
Spekulanci urządzili budy,
szopy i cudactwa dla gawiedzi. Niemiec rozwiesił na żerdzi
płótno z
różnokolorowym napisem: "Wielkie międzynarodowe
muzeum. Cudy dotąd nieznane".
Poniżej dodatek: "Każdy bilet wstępu, wygrywa los wartości
do stu rubli".
Ciekawi, mogą oglądać "śmierć Murata", "Cięcie cesarskie" i
"Żuawa konającego",
a wychodząc, losują i wygrywają: panienka osełkę do
brzytw, pijany żołnierz
cztery karmelki Frtimboise, a gruby, szpakowaty szlachcic,
glinianego kagutka z
dziurką, przez którą można nukać. Główny los, to
pięciołokciowy fortepian,
którego jednak nikt nie wygra podczas jarmarku i — po
jarmarku. To przynęta dla
łatwowiernych.
Obok, panorama — parodja bitwy pod Solpherino, dalej
menażerja z niedźwiedziem,
szajnekatarynka i akrobaci, których przedsiębiorca

wywołuje donośnym głosem: barynie, barysznie i łaskawa
publiczność! das geehrte
Publikum! proszę uwaga, teraz będzie pokazać miss Katti,
największa, moc aufdem

Continent, ungewöhnliche Kraft, miss Katti hat
todtgeschlagen wielki dziki lew w
Afryka! I za chwilę wychodzi na estradę krępa żydówka, o
rozdętych muskułach,
przybrudzonych trykotach, aby rozpocząć szereg sztuk z
żelaznemi kulami, wagami
itp. Do czapki Niemca padają dziesiątaki i miedziaki.
Tak się przedstawia środek rynku.
Po przed domami, szlachta kupuje i sprzedaje konie. Wśród
niej co drugi, brodaty
faktor w zakasany chłacie z batem w ręku.
— Ny, jaśnie panie, na moje sumienie, w całym mieście
lepszej pary nie znajdzie.
Ja każę jaśniemu panu kupować.
Tęgi, wąsaty szlachcic, z fajką na długim cybuchu, z powagą
przygląda się
koniom.
— Patrz Aron, tu kółko kościane, a ten się zadem strychuje.
— Żeby ja tak sądny dzień nie doczekał, jak wun się strychuje
— Co mi tam barłożysz. A cóż to jest ?
— Ny, jaśnie panie, to tylko błoto przyle-pnęło. — To
mówiąc, żyd się schylił i
ręką po pęcinnie konia przesunął, ale ten wierzgnął, a faktor
przewrócił się w
błoto.

Opodal pokazuje pegaza wysoki blondyn z faworytami w
aksamitnej zokiejce.
— Czy pan dobrodziej zaręcza mi, że ten koń nie ma żadnej
wady? — pyta
kupujący.

— On ma taką wadę — odpowie ze śmiechem właściciel, —
że kiedy je, to łyka. .

Targu dobito, a za chwilę wraca zadyszany nabywca:

— Pan zaręczyłeś, że koń zdrowy, a on łykawy, proszę o moje
pieniądze.

— Śmieję się pan z tego — odpowie pierwszy — uprzedziłem,
że łyka, kiedy je.

— Na bok ! na bok! — słyhać znów głośnie nawoływanie, i
wnet pomiędzy gromadą
szlachty i żydów, galopuje para tabunowych koni,
zaprzężonych w parciane szleje,
do prostej bryki zwanej kamieniarką. Błoto obryzgało bliżej
stojących.

W sieni zajazdu, żyd dobił targu o sto korcy pszenicy.

— Więc sprawa skończona — mówił szlachcic — płać
pięćset rubli, a ja pszenicę
dostawię.

— Nu, niech tylko worki będą na rynek ; co wielmożnemu
panu się spieszy?

Ale słońce chyli się już ku zachodowi, a więc i ruch
jarmarczny ustaje; teraz
gwarniej po gospodach, w których gromadzą się znajomi na
djabełka i sztosy.

W jednym z zajazdów, w pokoju od tyłu, wesoło bawi się
towarzystwo. Co chwila
wystrzela korek szampanki, a pod ścianą stoi szereg pustych
butelek. Przy
ważkich, długich stołach, siedzi z dziesięciu mężczyzn,
różnych wyglądem i

wiekiem. Jeden z nich trzyma karty, a przed nim stos banknotów, od rublowych, aż do tęczówek. Są tam i listy zastawne.

— Transport z kuszem — ktoś mówi.

— Po pięć rubli oczko — deklaruje drugi.

— Na pe — woła trzeci.

Bankier talję stasował i rzekł z powagą: sztos. Potem ciągnął wolno, zimno,

uważnie, tu płacił, tam brał pieniądze. Był to Wagner.

— Wiesz, Ireneuszu, że na tobie nie sprawdza się przysłowie o grze i miłości.

Masz szalone szczęście — rzekł obok Wagnera siedzący.

— Sztos panowie. A o jakiejże to Janku myślisz miłości?

Walet wygrał. — To

rzekłszy, bankier wypłacał.

— Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi. Coś tam szeroko mówią o pięknej sąsiadce.

— Dałbyś pokój z plotkami. As płaci, król płaci.

— Chwali ci się, że nie zdradzasz kobiety...

— Panie Janie — mówił zcicha jego sąsiad z drugiej strony — tu jarmark i zajazd.

— A cóż tomy, nie w s wojem kółku? Parol z trzydziestu.

Pod oknem rozmawiają dwaj panowie, z których jeden nie gra, bo wszystko

przegrał, drugi, bo chce uratować wygraną.

— Już to Janek ma słuszość — rzecze przegrany — ten Wagner, to chodzące

szczęście. Nie widziałem, żeby kiedy przegrał.

— Bo ma zimną krew i siłą bierze. Każdy siada do gry byle z czym, a on zawsze

nosi kilka tysięcy rubli w kieszeni; rzecz prosta, przetrzymać musi. Chociaż,

szczęśliwszy on podobno z piękną sąsiadką.

— Widziałeś ty Augustową ?

— Znam ją z widzenia, ale ja w to nie wierzę.

— Dla czego ?

— Niema przecież trzech lat, jak się pobrali. Turski młody, przystojny, kocha żonę jak bóstwo.

— Tem większy dowód, że ślepy.

— Czyż nie wytrzymuje pod każdym względem pierwszeństwa z takim Wagnerem ?

— Na czym polega u kobiety pierwszeństwo mężczyzny, tej zagadki nie rozwiązał

jeszcze żaden filozof. Przyznaj że się w tym względzie spotyka dziwaczne wypadki

— Hm. zapewne...

— Głupi, brzydki, nie zawsze młody, czasami wstrętny, przypina rogi ideałowi mężczyzny, a

źródło tego leży w tak nieprzystępnych dla nas zaułkach

namiętności kobiecej, że

pocziwy mąż, w dobrej wierze, nie dopatruje nawet cienia niebezpieczeństwa

faktu, dawno już spełnionego.

— Ale jak on się tam wkręcił? Że Lubicz na to pozwala?

— Już to mnie się zdaje, że wogóle Wagner, to chłopiec nie głupi. On podobno

Turskiego swatał, on go z Lubiczem poróżnił i on mu w interesach pomagał, a

rezultat taki, że sprawy majątkowe mają tam być już opłakane,
a plotki na
rachunek Kamilli i sąsiada, rozlegają szerokiem i przykrem
bardzo echem. Szkoda
człowieka.

— Podobno słaby i zbyt uległy, a żona starsza od niego.

Teraz wszedł do izby żydok, posługacz zajazdu.

— Czego? — zapytał mówiący pod oknem.

— Kazali mi list oddać do jaśniego pana z Teżyna.

— Dawaj tu — zawołał Wagner, odkładając karty. —

Przepraszam — i czytał bilecik.

— Dobrze, powiedz temu panu, że zaraz przyjdę.

— Któż tam taki? — zapytał Janek.

— E nic, muszę wyjść na chwilę. Kto z was bank weźmie?

Znalazł się zaraz następca, a Wagner wyszedłszy, kazał się z
latarką prowadzić

do gospody, na przeciwległej połaci rynku. Tu zastał Augusta.

— Chwałaż Bogu, żeś przyszedł — zawołał Turski.

Przyjechałem od kilku godzin,

ale nie mogłem cię odszukać.

— Załatwiałem interesa. Co u ciebie nowego ?

— A, jaknajgorzej, mój drogi. Nie mogę sobie dać rady.

Miałem nareszcie dostać

procenty z Jodłowa, na które czekam już trzy lata...

— No i cóż ?

— Posłałem rządcę do matki żony, i wiesz co przywiózł ?

Dwie pstre kamelje w

doniczkach. Pani Zahorska tłómaczy się nieurodzajem i

wyrzuca mi natarczywość

względem słabej kobiety.

— To dobre!

— A ja głowę tracę. W Hrubieszowie nic już dać nie chcę, żonie obiecałem, że na zimę pojedziemy do Warszawy, biedna, nudzi się, ja ciągle za domem dla interesów, ty jeszcze jak na złość wyjechałeś do Łęczny. Musimy radzić,

potrzebuję co najmniej czterech tysięcy rubli.

— A tu rada nie będzie łatwa — odparł Wagner. — Pszenica zarażona, a pożyczyć trudno.

— Zlituj się, Ireneuszu, cóż ja pocznę? Z podatkami nie można zwlekać ani tygodnia, a są i inne pilne potrzeby.

Czem przyjechałeś ?

— Czwórką żoninych.

— Wiesz co myślę ? Trzeba je sprzedać.

— Co też ty mówisz, Kamilla tak lubi te konie.

— Ba, to mało, że lubi sekwestrator je także polubi.

— Ależ to wstyd.

— Mniejszy wstyd zbyć na jarmarku, aniżeli pozwolić sprzedać na rynku w Hrubieszowie, przez licytację.

— To niepodobna, co żona pomyśli, a wreszcie cóż dadzą za nie?

— Do dwóch tysięcy dociągnie.

— A reszta?

— Jest tu jeden żydek. Liczę, że jak mu w głowę nakładę, to da dwa tysiące.

— Ale koni nie sprzedam .

— Więc co będzie ?
— Nie mam pojęcia.
— Nawet się nie namyślaj. Wiesz, powiem twej żonie, że lejcowa, ta lewa dostała początków dychawicy, a Sarna szpata, lub czegoś podobnego.
— Jakże chcesz, abym żonę oszukiwał Kąciki ust pod pięknymi węsami Wagnera, zdradzały w tej chwili ironię. August jej nie dostrzegł.

— Nie widzę innego sposobu — rzekł znów doradca — kiedy nie można przeskoczyć, trzeba podleźć.

— Ha, niech się dzieje, co chce, ale ja nie mam czasu zająć się sprzedażą.

— No?

— Muszę być jutro w Lublinie. Dymowicz grozi zajęciem subhastacyjrtem, chcę mu więc wyjaśnić, że mam u matki żony do dwudziestu tysięcy, a przecież dla niego korzystniej zaczekać, niż dyskredytować mnie do reszty.

— Zapewne.

— Jak myślisz, co on powie?

— Powinien się zgodzić.

— I mnie się tak zdaje, ale czas wielki porozumieć się.

— Naturalnie, to najważniejsze.

— Więc zaraz pojedę do Lublina pocztą, a tobie konie zostawię.

— Człowieka weź z sobą, nie będę miał z nim kłopotu, mój zaopiekuje się końmi.

— A z tym żydem ?

— Zostaw mi weksel in blanco.

— Dobrze, zaraz napiszę.

Po krótkiej jeszcze rozmowie, Wagner pożegnał się z Turskim. Idąc ku swej gospodarce, monologował: — na sztosą nie mam już po co wracać, prawie wszystko im zabrałem, za klacze dostanę najmniej po sześćset rubli, sprzedam pa-

rami. Weksel trzeba do portfela schować, dwa tysiące wypłacić mu, a trzy wypisać na imię Jankła. Około Nowego Roku, żyd zabierze srebra, które tymczasem schowamy. Ostatnia to po życzka, bo też i srebra ostatnie. Liczy dudek na względy u Dymowicza, życząc powodzenia A no, robi się, co można.

I pan Ireneusz Waga Wagner, przyszedłszy do swej stacji rad, że dnia nie stracił, kazał podać samowar.

II.

August do Lublina spieszył. Noc była jasna, spokojna, a gwiazdy świeciły gęsto, niby posiew błyszczący na łanie niebieskim. Pocztylion, pewny sutego napitku, zaganiał trójką nie złych, wprawnych do chodu siwoszów i, dla lepszego rezonu,

wytrębywał niestworzone melodje.
Turski marzył. Gdy cofnął się wstecz pamięcią, gdy w
dawnych czasach myślą
pobujał, zatrwożył się.
Bo też i zmiany zaszły nie małe. Kiedyś, czy to wieczorem,
schodząc po pracy do
domu, czy rankiem, budząc się do nowej, myślał o
wszystkiem, ale nigdy o jutrze,
bo to jutro miało być zupełnie do dzisiaj podobne. Nie groziło
mu nic, a w razie
mało znaczącego kłopotu, w Topolanach znajdował środek
zaradczy. Dziś trzeba
walczyć z trudnościami i drzeć o to jutro, które zaczyna się
coraz groźniej
przedstawiać.

Procenty od sumy Dymowicza, zabezpieczonej na Nadbużu,
pochłaniały całe dochody
z majątku, a obciążenie hipoteki z ciężkimi rygorami,
tamowało kredyt.

Wiedziano wprawdzie, że Turski posiada sumę na Jodłowie,
ale wiedziano również,
że kapitał umieszczony na długie lata, bo tak żądała p.
Zaborska, że zięć nigdy
nie dojdzie należności u świekry, boć nie może jej
procesować, że wreszcie
kapitał nie ma bezpieczeństwa na zniszczonym i źle
gospodarowanym Jodłowie.

Tymczasem w Nadbużu, nie zamykały się drzwi przed
żydkami, znoszącymi litanie

kwitów, rewersów i weksli, po to tylko, aby odjechać z suto dopisanym procentem.

Słowem, co się działo przed trzema laty w Jodłowie, teraz powtarzało się w

Nadbużu. Groźna gorączka, od której do agonii tylko jeden krok. O ratunku myślał

Turski w tej chwili.

Topolany były dla niego zamknięte na ciężkie rygle. Sam je zasunął, a dziś już

zapewne rdza na nich osiadła. Miałyżby sprawdzić się słowa Lubicza,

wypowiedziane przy ostatnim spotkaniu się przyjaciół? Nie. August kochał teraz

Kamille, równie gorąco jak dawniej. Ta miłość miała tem silniejszą spójnię, że

po komnatach nadbużańskiego dworu, mile dźwięczał szczebiot ślicznej dzieciny o

czarnych oczętach, w których miłość ojcowska potęgowała uwielbienie dla matki. A

ta matka ? August często zapytywał sam

siebie: Czy ona mnie kocha? Serce skłonne do przyjemnych złudzeń, odpowiadało mu

twierdząco, ale rozum pewne wątpliwości nasuwał. I złorzeczył rozumowi, że mu

serce zatruwa. A wtedy, ten człowiek dobrej wiary, lecz nie pewny własnego

pojęcia, oglądał się po za siebie, niby wyczekiwał podszeptu, prosił o promyk

światła, któryby w ciemnościach odkrył mu istotę prawdy. W takich chwilach przed

Wagnerem się zwierzał.

— Bo jesteś samolubny Augustcie i zbyt wymagający —
tłómaczył mu powiernik. —

Urodziłeś się marzycielem, poetą, a pani Kamilla stąpa po
ziemi. Trzy lata

pożycia nie mogą nieostudzić pierwszego zapału.

Miłość twoja jest tkliwa i podobnej żądna, u twojej żony
chłodniejsza, ale

niemniej głębsza.

W ten sposób Wagner uspokajał Augusta, który też sobie
wyrzuczał, że nie umie się

w przesadzonych wymaganiach powstrzymać. Ale w tej
chwili rwał się duszą do

Nadbuża, do żony i dziecka, zapominając nawet, jak ważne
ma sprawy przed sobą,

jak bardzo groźnym jest Dymowicz, mający za sobą prawo i
jego nieubłagane

wyroki, przeciwko którym on, dłużnik, nie może zdobyć się
na nic, prócz pięknych

słów, dopominających się względów i cierpliwości.

Późno już w nocy przybył do Lublina, a nazajutrz do
kancelarii mecenasa podążył.

Ale zaraz na wstępie, wnosząc z jego zimnego przyjęcia,
zwątpił o osiągnięciu
celu.

— Cóż łaskawy pan powie — pytał Dymowicz.

— Najprzód przeproszam mecenasa za zwłokę w uiszczeniu
procentów — odparł Turski
nieśmiało.

— Zapewne, byłbym wolał otrzymać w terminie, ale chociaż miałbym już prawo odmówić przyjęcia, podług moich zastrzeżeń, to jednak chcę łaskawemu panu uczynić ustępstwo.

— Ale ja i dziś nie mogę wypłacić.

— A, to bardzo żałuję. Z czymże więc łaskawy pan przybył?

— Chciałem tylko uspokoić...

— To zbyteczne. Jestem zupełnie spokojny. U mnie sprawy idą jak w zegarku.

Odbieram w terminie procenty, kwituję, a wówczas ja i mój dłużnik jesteśmy w porządku.

— Wiem o tem, panie mecenasie, tem bardziej, że zostałem uprzedzony przez niego,

i dla tego też podążyłem do Lublina, aby się wytłómaczyć...

— Co tu łaskawy panie tłómaczyć, kiedy to jest zrozumiałe. Mnie się należą

procenty, a pan nie masz pieniędzy. To takie jasne.

— Ja nie powiadam, że nie mam, tylko...

— Więc łaskawy pan nie chce płacić? To znowu co innego. Niechże mecenas pozwoli mi powiedzieć...

— A no, słucham — rzekł z odcieniem niecierliwości Dymowicz i rozstrzelił oczyma.

— Wszakże pan sam wie najlepiej, jaką sumę posiadam na Jodłowie, ile należy mi się procentów od matki mojej żony, mnie więc nie brak funduszu, ale muszę czekać, dopóki mi tam nie zapłacą, co gdy nastąpi...

— No, i tak dalej. Otóż łaskawy panie, nie rozumiemy się. Ja panu nie zarzucam, żeś przegrał w karty, lub wydał na cele dobroczynne ; ani mi w to wchodzić nie wolno, ani w to wchodzić nie chcę. Pieniądze należą mi się, pan ich nie płacisz, a więc idę drogą prostą, redagując skargę i wnosząc ją do sądu, a tu wspomnę nawiasem, że łaskawy pan masz ten sam regres do pani Zahorskiej, a względnie do dóbr Jodłowa z przyległościami.

— Ale zięć nie może procesować świekry... Rzecz osobistego zapatrywania, którą zięciowi tylko pochwalić można. Co do mnie, nie jestem zięciem, tylko prawnikiem, a więc trzymam się naturalnego biegu rzeczy. Tego właśnie zrozumieć nie mogę, bo pan Wagner zapewniał mnie...

— Odstępujemy od przedmiotu, łaskawy panie, a mój czas policzony. Wypożyczając kapitał na Nadbuże, badałem stan hipoteczny tego majątku, ale nie charakter i zapatrywania pana Wagnera.

— Więc z czym odchodzę, panie mecenasie?

— Nie mogę uczynić nic, jak tylko ściśle wykonać wszystko, o czym uprzedziłem listownie.

— To się nie godzi, chcesz mnie pan kompromitować, będąc tak dobrze zabezpieczonym...

— Żałuję bardzo, ale nie mam w tej sprawie więcej do powiedzenia.

Tu skłonił się Dymowicz, wobec czego nie zostawało Turskiemu, jak tylko opuścić kancelarję z przykrem wrazeniem. Położenie teraz było o wiele groźniejsze.

Jakiegolwiek nieprzyjemności sprawiał brak gotówki i ciągle najazdy drobnych wierzycieli w Nadbużu, to jednak półśrodkami zapobiegało się złemu z dnia na dzień. Ale z Dymowiczem rzecz inna. Ten — jak sądził August — pragnął tylko procentów, będąc zresztą coulant w interesie, o ile zapewniał Wagner. A tu przed chwilą wyszła na jaw prawda naga, przerażająca: on kategorycznie zapowiedział wywłaszczenie Nadbuża. Co się stanie z Kamillą i dzieckiem? O tem w tej chwili pomyślał Turski i przeszedł go dreszcz. Stojąc przed bramą kamienicy wierzyciela, myślał do-

kład pójść, co postanowić, z czem wracać do domu? Z kolei, czynił sobie wyrzuty, lub się usprawiedliwiał na przemian. Niedawno był bogaty, żył umiarkowanie i działał w dobrej wierze, jakże więc mogło się stać, że mu grożono wyzuciem z majątku? Dla czego narzucano mu pokutę za grzechy, których nie popełnił? Był

za młody, za naiwny, ażeby to mógł zrozumieć; natomiast oglądał się w około siebie, jak gdyby szukał takiego, któryby mu zagadkę wyjaśnił.

— Niema rady — myślał — tylko Wagner potrafi znaleźć punkt wyjścia. - I tem w części uspokojony, podążył ku hotelowi, ale gdy kroku przyspieszył, zawołano za nim:

— Dzień dobry panu Turskiemu.

Był to Kaliński, stary adwokat, przyjaciel i prawny doradca Lubiczów.

— Co pan tu robisz, panie Turski — pytał prawnik.

— Wychodzę od Dymowicza — odparł młody człowiek, cokolwiek zakłopotany.

— A, słyszałem, że ten pan wśrubował się do Nadbaza, aby tylko nie zagłęboko, bo to człowiek niebezpieczny bardzo. Uważam sobie za obowiązek ostrzedz pana. Nie dobrze się stało, żeście się jakoś poróżnili z panem Zygmuntem. Zostawiony sam sobie. dostałeś się w złe ręce.

Kogokolwiek spotkałby August w tej chwili, rad byłby wywnętrzyć się ze swoich ciężkich kłopotów, bo żalić się, jest cechą ludzi chwiejnych i nie samodzielnych. Tem skwapliwiej więc opowiadał wszystko Kalińskiemu, na którego mógł liczyć, że radzi zechce i radzić umie.

— Zajdźże pan do mnie po południu — mówił adwokat —
zobaczę, jak to tam w
księdze hipotecznej wyglądają te rzeczy, a pomówimy
obszerniej. O ile słyszę,
nie będzie podobno innej rady, jak las Nadbużański sprzedać i
jednym zamachem
pozbyć się tej pijawki.

Na tem rozeszli się, a Turski już kombinował:

— Nic prostsze. Że mnie to na myśl nie przyszło. Żalby mi
było mojego lasu,

tych pięknych gajów, wspaniałej kniei, niebotycznych
jesionów, lip i dębów

starych, ale — jeżeli od tego zależy szczęście Kamilli, los
ukochanej dzieciny i

mój własny spokój, ha. to lepiej pozbyć się lasu.

I znów pogodzony sam z sobą, spokojnie wyczekiwał
godziny, naznaczonej przez

Kalińskiego.

— Rzeczy stoją gorzej, aniżeli przypuszczałem, — mówił
adwokat do Augusta, gdy

tenże stawiał się w jego gabinecie. — Dymowicz, umieszczając
kapitał na Nadbużu,

z góry ułożył plan zagrabienia tego majątku, jak to widać z
niepra-

ktykowanych, ciężkich bardzo rygorów. Związał panu ręce,
jako właścicielowi, a

jednocześnie, jako dłużnikowi, wszelką broń z ręki a priori
wytrącił. Znać w tem

biegłą, istotnie nie adwokacką, ale machiawelską robotę.

Subhastacja pójdzie mu

łatwo i szybko.

— A więc sprzedajmy las jak najprędzej, panie adwokacie, mówił gorączkowo

Turski.

— Nie jest i to tak łatwe, jakbyśmy myśleli; przejrzałem dokładnie dział trzeci

i widzę, że na Nadbużu ciężą znaczne służebności włościańskie, wobec czego,

przed uregulowaniem tychże, nie może być mowy o sprzedaży.

— Nie próbowałem nigdy układów z moimi chłopami, ale sądzę, że byliby może skłonni do zamiany serwitutów. Bezzwłocznie zacznę z nimi traktować.

— Wiesz pan co najmniej ze słyszenia, jak bardzo trudne bywają te rzeczy jednak

nie mając innego sposobu przed sobą, naturalnie, należy działać w tym kierunku,

i to tak szybko, ażeby uprzędzić kroki subhastacyjne

Dymowicza, które raz

rozpoczęte, będą tamowały możliwość układów. Ale uprzędzić muszę, że mało na to

czasu zostaje. Pewna droga jest tylko jedna dla pana, o też tylko jeden jest

człowiek, który cię z tej biedy wydobyć może.

Któż taki? — skwapliwie zapytał August.

— Zygmunt Lubicz. Turski zerwał się z krzesła.

— Ależ ja jego pomocy przyjąć nie mogę — rzekł z niezwykłą sobie stanowczością —

ani też on nie byłby skłonny do udzielenia mi jej. Nasze stosunki od trzech lat zupełnie zerwane.

— Nie znam powodu tych nieporozumień — mówił Kaliński spokojnie — ale wiem, że cokolwiek zaszło między wami, on zawsze chętnie poda ci rękę, panie Turski, bo jest człowiekiem zacnym i wielkiego serca. To też nie jako prawnik, ale jako przyjaciel, radzę ci szczerze, udaj się do niego. August stał zamyślony.

— Zastanów się pan dobrze — dodał adwokat — bo jeszcze pora, a położenie jest groźne.

III.

Nic się nie zmieniło w topolańskim pałacu. Jak rzeka po równinie, uregulowanem korytem, bieży spokojnie przed siebie, tak u Lubiczów, wszelkie zatrudnienia i sprawy, odbywały się jednostajnym trybem. Nikt tu gorączkowo nie działał, ni się nie opóźniał, ni spieszył. Zygmunt jako naczelnik, Aniela pomocnik, zawsze ci sami urzędnicy i służba, wszyscy razem stanowili doskonałą maszynarję zegarka, który też chodził równo ze słońcem. A i Michaś za nimi podążał, w obawie, aby mu nie wytykano starości. Szło więc

wszystko dobrze i składnie, a mówiono powszechnie, że
Lubiczom tylko ptasiego
mleka brakuje. A jednak mieli i oni swoje troski. On już
przebolał ciężką
krzywdę, jaką mu kiedyś Turski wyrządził a to tem łatwiej, że
miał zaletę
rozumnych ludzi, był wyrozumiałym. Teraz, mimo zerwa-

nych stosunków, czujnie dłoń trzymał na pulsie spraw
nadbużańskich, a ztąd
niepokoił się z każdym dniem bardziej. Aniele serce bolało
podwójnie, bo
odczuwała troskę Zygmunta i los tonącego, a nieobojętnego
jej Augusta.

A ten niepokój rodzeństwa, nie ograniczał się do zwykłych
żałów i ubolewań.

Oboje stali gotowi do czynu, o ile by się ku temu nastęczyła
sposobność.

— Byłoby niedorzecznem — mówił Zygmunt do siostry
pewnego wieczora — żywić urazę
za jakieś szalone słowa, powiedziane w uniesieniu przez
dzieciaka. O tem też i
nie mówię, ale nie wolno mi zapomnieć, że wówczas,
wychodząc bez pożegnania,
ofiarowałem mu moją pomoc i radę, o ileby mu były
potrzebne. Zdaje mi się, że ta
chwila nadchodzi szybciej, aniżeli sam sądziłem.

— I co myślisz czynić ? —zapytała Aniela.

— Nie znając dokładnie stanu interesów, trudno plan działania
nakreślić, a że

bez porozumienia się z samym Augustem, niepodobna tych rzeczy zbadać, więc trzeba, abyśmy się spotkali.

— Jaki ty jesteś poczciwy, Zygmuncie — mówiła Aniela, nie tając dla niego wdzięczności. — Nie chciałam cię oto nalegać, ale tę samą myśl miałam. Gdzież jednak mógłbyś się z nim zobaczyć?

— Pomyślę nad tem. Najlepiej będzie wtajemniczyć rządcę z Nadbuża, Kaczyńskiego, a ten poczciwiec nie stracił zaufania do nas. Ile razy mnie spotka, płacze zawsze, że Guccio od Topolan odcięty. A, ileż się ten Kaczyński losem swego pana nagryzie!

— Ratujmy tego człowieka, bo przecież prócz nas, on nie ma nikogo.

— Uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy, a nie przypuszczam, abym miał w nim samym spotkać przeszkody. Po trzech latach borykania się, powinienby już umieć cenić prawdziwą, a nie powierzchowną życzliwość, jaką spotykał u Wagnera.

— A na którą podobno liczy jeszcze i teraz — dodała Aniela.

— Nie lubię potępiać nikogo bez wyraźnych ku temu dowodów, ale co do Wagnera, podejrzewam, że wiele Augustowi zaszkodził.

— Ja bo wprost boję się go. Instynkt mnie od niego odstręcza. I brat z siostrą debatowali nad tym człowiekiem, dziś już nie obcym w

Topolanach.

Niezdługo po ślubie Turskiego z panną Zahorską, pewnego popołudnia, Wagner wytwornie ubrany, wonny rezedą zjechał szykownym pojazdem do Lubiczów z pierwszą wizytą. Widocznem było, jak każdym słówkiem i giestem usiłował wywołać dobre wrażenie. Przyjęto go

grzecznie, nawet gościnnie, ale z rezerwą właściwą rozumnym ludziom, zawierającym świeżą znajomość. Kilka komplementów, z paryzką fantazją rzuconych Anieli, nie odniosły obliczonego skutku. Z Zygmuntem poruszone sprawy z dziedziny politycznej, ekonomicznej, a w końcu nawet rolniczej, utykały w połowie, bo Wagner, nie wykształcony naukowo, wyczerpującej, a poważnej rozmowy prowadzić nie umiał. To też etykietalna wizyta nie trwała długo, a po wyjeździe gościa, oboje Lubiczowie zgodzili się na to, że Wagner jest przystojny i modnie ubrany. W swoim czasie, Zygmunt oddał sąsiadowi wizytę, a po powrocie do domu, poprzedni sąd uzupełniając o nim, zdał siostrze sprawę, że zastał w Tężynie — smaczną kuchnię i dobre cygara. Rzecz prosta, takie sąsiedztwa jak Topolany i Tężyn, nie mogły zawiązać

blizkich, tem mniej serdecznych stosunków. Tam o
pierwszeństwo ubiegało się
serce a rozumem, tu tylko blichtr z blagą. Ale od czasu do
czasu, odwiedzano się
wzajem, jak tego wymagała forma.
Wagner, przebiegły i zawsze oglądający się po za siebie, nie
wiele potrzebował
czasu, ażeby zrzec się małżeńskich projektów z Anielą.
Zrozumiał łatwo, że nie
tam wojować pięknie zaczesaną brodą i modnym tuzurkiem.
Jednak znajomości nie
zrywał, bo Topolany cieszyły się

w okolicy takim mirem i uznaniem, że stosunki z niemi
równały się pewnemu
zaszczytowi, którego nie kaźden dostępował w
Hrubieszowskiem.
W Nadbużu za to, był codziennym gościem. Nie dziwna.
Przyjacielski stosunek z
Augustem, urocza sąsiadka, a dom pięknie urządzone o
wykwintnej kuchni i dobrej
piwnicy, czyż to nie przyjemne warunki, wśród wiejskich
nudów, zwłaszcza, jeżeli
się jest zapraszany i pożądanym ?
W okolicy różnie mówiono o tych wizytach Wagnera w
Nadbużu. Jak zwykle w tych
razach, grupowały się opinie ; a więc jedna była surowa,
bezwzględnie
potępiająca, druga restrykcyjna, ze słowami na ustach: jeżeli
już..., a trzecia

pobłażliwa i tolerująca. Wszystkie zgadzały się, że Wagner jest tak zwanym przyjacielem domu w Nadbużu. Lubiczowie nie wiedzieli o niczem. Prowadząc życie sami w sobie, nie mieli sposobności słuchania parafjańskich plotek, których zresztą nikt nie śmiałyby do ich domu przynosić. Kaczyński, stary oficjalista rodziców Augusta, z dawien dawna przejęty czcią dla topolańskiego dworu, tą samą co dla wielkiego ołtarza w miej scowym kościele, znosił się nieustannie z panem Lubiczem, udzielał tajnych wiadomości, tyczących się Nadbuża i ubolewał nad upadkiem, ale

o tem, co się dziać miało poza kotarami pałacu, nie mówił ni słowa. Starej daty urzędnik, nie pytany, nie dopuściłby się za nic podobnej poufałości. Wreszcie on sam, nie miał tam teraz wolnego wstępu, bo nowa pani w nowym pałacu, zaprowadziła odmienny porządek od tego, jaki panował za rodziców Gucia w staroświeckim dworze. A z niego, nie zostało śladu w Nadbużu. Na grubych murach postawiono piętro, a po bokach przybudowano pawilony pokaźne. Przodkowie nasi nie mieli podobnych

pretensji. W miarę przybytku rodziny, rozszerzali budowlę z uwagą nie na renesans lub rokoko, ale na potrzebę i wygodę. My dziś stawiamy pałace, a przypisując sobie wyższość nad przodkami, z wzniesionych pięter, patrzymy nie bez politowania na stare, w ziemię wrosłe siedziby. Takie zmiany wprowadził August, jakkolwiek nie z własnego popędu, a raczej przez uległość i chęć dogodzenia wybrednemu smakowi narzeczony i jej matki. Pięknie więc wyglądało teraz gniazdo, starszej od niego samego rodziny Turskich. Tam, gdzie kiedyś milutki ganek, szczelnie dzikiem winem obrosły, krył przed skwarem słonecznym małego Gucia, tulącego się do łona matki, dziś imponuje wspaniały podjazd, sparty na potężnych

filarach, złączonych ciężkim, zwieszającym się w festony łańcuchem.

Przed gmachem, miejsce dawnych zieleni trawnika i lip cienistych, zajęły strzyżone gazony i klomby we włoskim smaku, wśród których bieleją z dwóch stron szerokie, zwirowane drogi, zbiegające się u wielkiej bramy, w wysokich żelaznych sztachetach.

Stary Turski twierdził, że dobry gospodarz powinien tak budować folwark, ażeby

mógł ze swego pokoju, jednym rzutem oka ogarnąć całe obejście. Ale Kamilla obstawała przy tem, że pałac nie ma nic wspólnego z gospodarstwem, że widok parobków, wozów, a — broń Boże — bydła, psuje estetykę pięknej siedziby. To też uległy August silił się wraz z ogrodnikiem na dobór tych gatunków drzew i krzewów, któreby rosnać szybko jak najprędzej zasłoniły wstrętne widoki.

Wnętrze pałacu było we wszystkich szczegółach odpowiednie otoczeniu. Nie żałowano pieniędzy na kosztowne umeblowanie, ubranie pokojów, ozdoby i cacka. Turski tak bardzo pragnął osiągnąć zadowolenie ukochanej, że kiedy swego czasu pokazał w Jodłowie próbki cennych tapetów, którymi obito komnaty pałacu, a córka i matka nie przyznały im gustu, polecił natychmiast wszystkie obedrzeć i bez względu na

znaczny koszt, nowe, jeszcze droższe sprowadził. Miejscowy staw był nieco od dworu odległy, a że Kamilla lubowała się w sporcie łyżwowym, więc wykopano wielką sadzawkę. Stajnie należało koniecznie przestawić, bo urocza amazonka, przepadająca za końmi, chciała często odwiedzać szlachetne zwierzęta.

Wszystkie te urządzenia pochłoneły dwa razy tyle pieniędzy, jak pierwotnie

zamierzył Turski, który też byłby się znalazł w niemałym kłopotcie, gdyby był Dymowicz za wdaniem się Wagnera, nie udzielił mu drugiej, dodatkowej pożyczki.

— Wolałbym już nie wkładać więcej w Nadbuże — mówił mecenas do swego współnika.

— Dla czego? — tłumaczył Wagner. — Wydatki te zostają na gruncie, a upiększając majątek, podnoszą jego wartość. Nadto, im bardziej będzie obciążoną hipoteka, tem prędzej Turski wyleci, a my wejdziemy na jego miejsce. Przy takiej pomocy przyjaciela, młody August wszystkie zamierzone cele osiągnął, a był uszczęśliwiony, kiedy po ślubie Kamilla, obejrawszy rezydencję, przyznała mężowi, że to — nieźle wygląda.

IV.

Przed gankiem białego domku, przeznaczonego na mieszkanie rządcy Nadbuża, stoi gromada chłopstwa. Jest ich półtora-sta z górą. Na czele starzy, z odkrytymi głowami, jako delegacja gromady. Przeważnie siwe ich włosy, spadające na ramiona w nieładzie, niby pasma niedomiędlonych konopi. Jeden świeci żółtą, owalną blachą na lewej piersi — to sołtys Dalej mieszają się inni, starsi i młodzi, w brunatnych sukmanach, albo zgrzebnych koszulach, a ci co mają czapki lub

kapelusze na głowach, to postępowcy, u których dwór we
wszystkich sprawach
zuchwałego oporu doznaje. Jest tu i kobiet kilkanaście, z
głową odzianych
szaremi burkami.*)
Fizjonomje tych ludzi wywierają ujemne, wrażenie; patrzysz
na nich, jak na woły
i konie

*) Burek — fartuch.

robocze, których wzrok smutny, obojętny na wszystko.
Twarze brzydkie,
głupkowate, a zawsze ponure, zdradzają nieufność do dworu,
więc w pierwszej
linii do pana.
August, w kilka dni po powrocie z Lublina, zwierzył się przed
Wagnerem ze swej
rozmowy, z adwokatem Kalińskim. Zawsze niepewny kroku,
radził się przyjaciela,
czyby istotnie nie należało ugiąć karku i niespróbować
zawarcia zgody z
Lubiczem.
Ale Wagner nie zgadzał się na to.
— Sprzedaż lasu — mówił — jest sprawą prostą i łatwą, w
najgorszym razie
pociągającą większe ofiary przy układach z chłopami, tamto
zaś byłoby zaparciem
się godności własnej, z moralną krzywdą twojej żony.
Ten ostatni wzgląd starczył za inne. Kaczyński dostał
polecenie wezwania

wszystkich wsi do dworu, celem rozpoczęcia układów o
zamianę serwitutów, tej
kości niezgody, stwarzającej bezustanne spory i procesy, a w
ślad za tem
nienawiść, żywioną przez włościan do właściciela.
— W wielu już wsiach naszej okolicy — kończył Turski
przemowę do chłopów —
zawarto układy; dlaczegożby to samo nie dało się
przeprowadzić i u nas?
Powiedzcie, czy nie lepiej gospodarzyć na własnym niż na
wspólnym? Czy nie
lepiej żyć w zgodzie, niż w ciągłych

zwadach i procesach? — No, sołtysie co mówiecie?
— Dyć pono wielmożny pan dobrze mówi — odparł
zapytany, schylając rękę do kolan
dziedzica. — No chłopcy, gadajta, cegóz stoita jak słupy?
I zwrócił się do gromady.
Wiadomością, coby to ta może i lepiej było kuzdemu za swoje
tsymać i obrazy
boskiej nie cynić — mówił drugi stary chłop, drapiąc się po
głowie. — A siła by
tez wielmożny dziedzic wydzielił lasu i paśnika do lumeru*)
— Zebyśwa tak dostali mórg do morga*) — wtrącił jeden z
młodszych — toby ta
jesce było po Bogu.
— Cichojta — reflektował sołtys.
— Posłuchajcie mnie — rzekł Turski — któryś odezwał się
się, że chciałby dostać
mórg do morga. Nadbuże, Nowiny i Majdan liczą sto-
pięćdziesiąt osad, po

dwadzieścia morgów każda, czyli razem trzy tysiące morgów.
Jużelibyście żądali
po morgu do morga, musiałbym wam dać trzy tysiące morgów
lasu z gruntem, a czy
wy wiecie, ile ja sam posiadam lasu? No Walenty, wy
przecież piśmienny.
— Ja go ta nie rachował wielmożny dziedzicu.

*) huner — numer, osada.

*) przestrzeń taka, ile wynosi osada włościańska.

— A więc ja wam powiem. Mam półtora tysiąca morgów.

— Słyseliście Tomkowa? A dyć to wsetećny śmat.

— Durnyś ty chłop, godos, jakkiebyś wzioli tysiąc do garści i
przemiezuł.

— Otóż widzicie — ciągnął dziedzic — że musiałbym drugie
tyle dokupić, aby
zaspokoić wasze służebności.

— Juz nam ta prośbę dziedzica i nadbuzańskiego wystarczy —
zakonkludował jeden.

— Tak moi kochani, nie dojdziemy końca. Jak który z was
wyprowadzi krowę na
jarmark, dla czego żąda za nią trzydzieści, czterdzieści rubli?
Dla czego nie

zaceni odrazu trzysta rubli, co?

— Bo by ta me było takigo głupigo, coby tyło zapłacił.

— A jednak chcecie, żebym ja był taki głupi i dał wam nawet
więcej niż sam
posiadam. Naznaczając cenę, trzeba najprzód znać wartość
przedmiotu, a czy który
z was rachował, ile warta wasza służebność.

— A któżby to ta umiał policzyć taką zec?
— To bardzo łatwo. Zaczniemy od opału.
— Każda osada dostaje rocznie od dworu pięćdziesiąt dwie fury drzewa. Ile cenicie jedną furę?

— Co to tam warta taka lezanina — odezwał się jakiś mędrak, wbrew własnemu interesowi. — W żydowskim dostanie za złotówkę, co śkapy ściagną.

— No, a ja liczę trzydzieści kopiejek to dla was lepiej.

— Nijak nie warto — upiera! się ten sam mędrak.

— Musi co nie — dodał drugi .

— Cichojta! — zawołał sołtys — dziedziec mówi.

— A więc wasz opał roczny przedstawia wartość prawie szesnastu rubli na osadę.

— Na czorta nain taki raszczot*) wystąpił z gromady urlopnik w żołnierskiej

czapce. — Móg do morga, taki zakon*)

Miał hardą minę, a był podpity.

— Dobrze gada — popierał któryś urlopnika.

— A teraz obliczę wara pastwisko i poprawę budynków — mówił Turski z zimną

krwią, z góry uzbrojony w cierpliwość, stanowiącą nieodzowny warunek podobnych

układów. Przerywano mu od czasu do czasu, ale nakoniec zromieli chłopi, że

służebność na gruntach dworskich równała się kapitałowi trzech morgów lasu z

gruntem dla każdej osady, i tyle też dziedziec

*) raszczot — rozrachownnie.

*) zakon — prawo.

ofiarował dać na własność. Długo trwały sprzeczki i targi. Starsi stawali w części po stronie dworu, młodszy, pod wodzą urlopnika, byli w opozycji, Kaczyński, towarzysząc panu od samego początku, popierał go energicznie. Miał cokolwiek wiary w gromadzie, to też żywo tłumaczył oponentom, podzielonym teraz na kilka grup. Zdawało się, że oferta, postawiona przez dziedzica, jakkolwiek bajecznie niska w porównaniu do pierwotnych śmiesznych żądań morga do morga, zostanie jednak przyjęta. Ale chłopcy nie zwykli szybko decydować się. Po paru godzinach narad, mniej lub więcej burzliwych, mówił jeden ze starszych:
— Zeby to ta wielmożny pan mało wiele dozucił, tobyśwa może i trafili do mety. —
I skłonił się do kolan Turkiemu.
Ten jednak, hamowany przez rządę — obstawał przy pierwszym słowie, a tak, chłopcy rozeszli się, przyrzekając wrócić za parę dni. Teraz dopiero, sami między sobą, mieli rozpocząć ostateczne narady.
August, zmęczony parugodzinnem przekonywaniem tych ciemnych istot, potrzebował jechać do Hrubieszowa, gdzie czekały go zarówno przykre sprawy z żydami; ale

powiedziano mu, że pan Wagner przyjechał i jest w salonie, a więc tam podążył, i zastał gościa z Kamillą, przeglą-

dających paryzkie tomy Daudeta i Zoli, świeżo z poczty nadeszłe.

— Jakże idą układy, Augustcie? — zapytał Wagner.

— Nadspodziewanie łatwo. Zdaje mi się, że na trzech morgach skończymy.

— Wszak to przepowiadałem. A więc wszystko dobrze.

— Jeżeli panowie nie chcecie, żebym was zostawiła samych

— rzekła Kamilla— to

odłóżcie te sprawy na potem. Doprawdy, życie się przykrzy, słysząc, jak

bezustannie mówicie o spekulacjach i liczbach.

— Przepraszam cię kochanie — odparł August błagalnym tonem i złożył na jej czoło

pocałunek który przyjęła z grymasem, przypominającym opędzanie natrętnej muchy.

— Ale ja i tak stracę wasze towarzystwo — dodał — bo pomimo spóźnionej pory, muszę jeszcze wyjechać

— Wyjeżdżasz? — bąknęła od niechcienia Kamilla.

W jej tonie nie było żalu.

— Wybacz, pani, jeszcze słowo o interesach— wtrącił Wagner.

— Ah! qu'on m'agace.

— Jeżeli chcesz, Augustcie, ułożyć się z chłopami, to radzę, nie gorączkuj i nie

postępuj im więcej. Trzeba wytrzymać aby się nie domyślili, że ci na tem zależy.

— Zdałem resztę na Kaczyńskiego. Za parę dni rzecz będzie skończona. — I teraz

August pożegnał gościa i żonę, a rzuciwszy odedrzwiał tej ostatniej tęskne spojrzenie, już miał salon opuścić.

— Kiedy wrócisz? — zapytała Kamilla.

— Postaram się jak będę mógł najprędzej.

— Nic pilnego — rzekła w chwili, kiedy mąż zamykał drzwi za sobą.

— Jak można być tak nieostrożną — zarzucił Wagner. —

Przecież mógł łatwo

usłyszeć,

— A niech słyszy, tylko niech mnie nie męczy swoją osobą, swoją tkliwością i

temi pocałunkami z pietyzmem bigotki, wpatrującej się w poświęcany medalik. — I

rozdrażniona kobieta, rzuciwszy trzymaną książkę, nerwowo kroczyła po salonie.

Gość przyglądał się jej z pod oka.

— Kiedy wspomnę, że podobne życie czeka mnie jutro, za rok, a potem zawsze i

zawsze, a, coś okropnego dzieje się we mnie.

— Ale co zrobić? — zapytał Wagner. — Czy jest na to lekarstwo?

— Lekarstwo? Możeby się znalazło, gdyby nie jakieś zapleśniałe pojęcia, jak żelazne kajdany, krępujące kobietę.

— Pani Kamillo, — rzekł Wagner zbliżając się i całując jej rękę, — co ci się stało? zkąd taki ton desperacki?

Ale ona nie podała mu ręki, a uczyniwszy szybki ruch wsteczny, rzuciła się na wielki biegunowy fotel.

— Zwierzę, ptak, nawet robaki mają swobodę ruchów, przenoszą się z miejsca na miejsce, ilekroć im się podoba, a człowiek, posiadający rozum i duszę, ten człowiek o potrzebach, jakich inne stworzenia boskie nie znają, dla tego, że się nazywa kobietą, musi konać powolnie w grobie, w którym zamknięto go za życia.

— Kamillo...

— O tak, powiecie na usprawiedliwienie że to są histeryczne objawy, bo dla czegoż miałabym być niezadowoloną, mieszkając w kilku nieźle umeblowanych pokojach, mając wygodny materac, śmietankę z kozuszką co rano do kawy, a nawet w niedzielę i święto — bezika z proboszczem. Ale mnie życia potrzeba, czemu mi życia nie dacie?

Na te słowa, jako ilustrowana odpowiedź, wtoczyła się na tłustych, bosych nóżkach śliczna dziecina, mała Irenka, ze złotym włosom po ojcu, a czarnym okiem po matce. Ale ta ostatnia nie zwróciła na nią uwagi, a gdy się dziecko zbliżyło, rzekła niecierpliwie do niańki we drzwiach stojącej:

— Weź ją i zabaw.

Irenka zrozumiała rozkaz, a widząc, że idą po nią, chwyciła się rączkami taburetu i zajęła obronną pozycję; wnet jednak lekki mebelek potoczył się na rolkach po szklistej posadzce, i dziecina upadła.

Wagner na ratunek poskoczył...

— Czemu nie pilnujesz dziecka? — z gniewem zawołała pani, nie podnosząc się z

fotelu. — Mówiłam, weź ją i zabaw, od czegoż jesteś niańką?

— A bo się panienka napierała do taty i do taty, wiecem ją tu puściła.

— Nie tłumacz się i idź ztąd.

Niańka, wzięwszy w niebogłosy krzyczące dziecko na ręce, wyniosła je.

— Oto moje rozkosze — rzekła teraz matka. — Doprawdy, ja chyba do Jodłowa ucieknę.

— Nie podobna zapobiedz, aby dziecko czasem nie zapłakało

— tłumaczył Wagner.

— Widzę, że i pan już zamierzasz naprowadzać mnie na drogę rozsądku i

obowiązków. Dziękuję bardzo, ale to mnie nie bawi.

— Kamillo, jeżeli kto, to ja...

— Nic a nic nie uczyniłeś — wtrąciła — aby choć na chwilę wyrwać z tej niewoli

kobietę, którą jednak bezustannie zapewniasz o wielkiej miłości i gotowości do

ofiar możliwych i niemożliwych.

— Gdybym był mężem ..

— Nie wspominaj mi tego słowa, to moje kajdany.

— A jednak zrzucić ich nie chcesz, Kamillo.

— Tu w Nadbużu? Nie lubię półśrodków, wypuście mnie najprzód z więzienia.

Chciałbyś nagrody, bez żadnej zasługi?

— Wskaż mi tylko drogę, a nie cofnę się przed żadną.

— Możesz wytłómaczyć memu miłemu małżonkowi, że godziłoby się raz przecie

zawieść żonę, jeżeli nie do Nizzy, nie do Paryża, to chociażby do głupiej

Warszawy, że dla mnie nie wystarcza funkcja szafarki i niańki do dzieci, że mi

się jeszcze świat, towarzystwo należy.

— Nie przeczę — mówił Wagner — August mógłby się inaczej urządzić, ale do tego

potrzeba energii, której on niema. Od pierwszego poznania zauważyłem w nim

pewne...

— Niedołęztwo.

— Prawie to chciałem powiedzieć. Nie szukam w tem chwały, ale wówczas już

musiałem wszystko za niego załatwiać.

— A teraz?

— Zaczyna być coraz trudniej. Nie dawniej, jak w Łęczny, starałem się nie

dopuścić sprzedaży koni, wiedząc, że tak je lubiłaś, Kamillo, wreszcie, że to

kompromituje, a jednak August sprzedał.

— Tem gorzej dla niego, bo mi inne kupić musi.

— To będzie trudno.

— Z tego widzę, że o wyjeździe na zimę nie będzie mowy — rzekła pani, wstając z fotelu i znów chodząc szybko po salonie. Za chwilę zatrzymała się. — A więc dobrze. Od tej pory działam na moją rękę. Niech sobie mój pan małżonek siedzi w Nadbużu, młóci sześć dni pszenicę, a siódmego odpoczywa w towarzystwie sąsiada i proboszcza. Życzę panu powodzenia przy beziku, stu waletów i tysiąca asów, panie Wagner. Ja pojedę do Jodłowa, a zamtąd do Warszawy. Może pójdziemy na kawę, zaręczam, że bułeczki świeże, dodała z ironią i przeszła do sąsiedniej jadalni, gość za nią.

Nie zwyczajny był wzajemny stosunek tych dwojga ludzi. Wagner, w duchu pierwotnego założenia, bacznie śledził sprawy nadbużańskie, które po jego myśli, plątały się z każdym dniem bardziej. Niezadługo już spodziewał się rozegrania ostatniej odsłony dramatu, poczem miał zostać właścicielem pięknego majątku, niewielkim kosztem. Przewidywał wprawdzie przeszkody w osobie swego współnika, ten jednak, według Wagnera, powinienby poprzestać na znacznym zarobku, w gotówce, nie roszcząc pretensji do wyzyskiwania Nadbuża i jego lasów, których istotnej wartości znać nawet nie mógł. Rozpo-

częte przez Augusta układy o zamianę serwitutów, w celu sprzedaży starodrzewu, nie trwożyły bynajmniej Wagnera. Cóż łatwiejszego, jak im przeszkodzić.

Wystarczy jedno słowo, przez żyda chłopom w karczmie rzucone. Tak więc, z tej strony, wszystko szło dobrze. Ale jednocześnie przyjaciel Turskiego, nie zapominał o utile dulci. Wszakże jeszcze kiedyś w Paryżu, obiecywał sobie rozkoszne szare godziny. Wówczas jednak nie sądził, że z tem będzie cokolwiek trudniej.

Wagner nie był zdolnym do miłości. Samolub, spekulant, na każdym kroku oglądający się za zyskiem, bez względu na środki, jakiemiby go osiągnąć można, nie badał nawet serca swego, które też spało od lat najmłodszych; kobietę cenił, o ileby nie on jej, ale ona jemu się oddała. I tak mimo niepospolitej, a dziś jeszcze spotęgowanej piękności Kamilli, nie zdobył się na uczucie, w miejscu którego tkwiła tylko chęć posiadania. Przepadał za kobietą, nie lubił w niej człowieka, cenił go nisko. Wiedział jednak, że zdobyć jej tą drogą nie może.

Należało wezwać do pomocy komedję, a w tem był biegłym. Więc wynurzał rzekomą miłość w gorących słowach, wysłuchiwanym przez próżną Kamillę skwapliwie.

Byłaby ona tej miłości żądną? Nigdy może nie spotkali się
ludzie, tak
identycznie

do siebie podobni. Wprawdzie niema kobiety, której by nie
schlebiały słodkie
słowa mężczyzny. Kłamie ta, która temu zaprzecza, a kłamie
dla tego że
posiadając zdolność niepokazania uciechy po sobie, kłamie
bezkarnie. I Kamilla
równie chętnie przyjmowała zwierzenia, jakkolwiek nie samą
tylko rządziła się
próżnością. Nie lubiła Wagnera, przeczuwając w nim jedynie
z namiętności wynikłą
interesowność. Ale on był niezbędnym dla niej punktem
oparcia. Zrazić go sobie,
znaczyło tyle, co zostać na wygnaniu samą, opuszczoną. Męża
nie kochała nigdy, a
szczególnie też teraz, kiedy zawód na nim doznany, stawał się
z dnia na dzień
bardziej stanowczym. Nie tylko, że nie znalazła w
małżeństwie pożądanego blasku,
zabawy i towarzystwa ale co gorzej, widziała z przerażeniem,
że się te wymagania
nigdy nie, ziszczą. Jej samolubstwa i zimnoty nie zmniejszał
nawet ani ogrzewał
widok dzieciny, którą zaledwie tolerować raczyła.
Tak więc trzeba było liczyć się w podobnych warunkach z
sąsiadem, stanowiącym

jedyną rozrywkę dla znudzonej kobiety, z sąsiadem, co swą francuszczyzną i światowym wyglądem, faute de mieux, zastępował teatrem, koncerty, salony i wielbicieli — wszystko. Wreszcie on żył z Augustem w najbliższych stosunkach, on posiadał jego zaufanie nieograniczone i wpływ

miął nie mały i on tylko, wcześniej lub później, miał dokazać jakiegoś w działalności męża przewrotu, pozwalającego zmienić tryb życia, zabójczy dla kobiety lekkiej, próżnej, czczego ducha. Jasno widziała Kamilla, że Wagner wprost służbę swojego rodzaju u niej pełniący, jednak służy nie tylko dla dosłownie pięknych oczu ; więc przyznawała w poczuciu sprawiedliwości, że mu się nagroda wcześniej lub później należy. Czy i kiedy udzieli jej ? Skrupuły i wzgląd na obowiązki, nie krępowały Kamilli w odpowiedzi na to pytanie. Nie mając do człowieka pociągu, a potrzebując jednocześnie, trzymała go raczej w szachu, a już kiedyś, jeżeli położy istotnie wielkie zasługi, jeżeli to będzie konieczne... Tymczasem wyjechać z Nadbuża, przebyć na szerszym świecie kilka wesołych miesięcy, oto, ku czemu Wagner miał drogę ułatwić jakimikolwiek środkami.

Mimo późnej pory, August nie wracał. Kamila i Wagner, w lepszej teraz niż przed kawą komitywie, tuż siedząc przy sobie, żywo rozprawiali o jakichś projektach, mających być zaraz wykonanymi. On dawał ostatnie wskazówki, poczem piękna pani przechodząc do fortepianu rzekła: Wiedziałam, że jak zechcesz, to temu zaradzisz. Za to zagram ci rapsodję Liszta.

Wagner myślał w tej chwili: — poręczę jeszcze za Augustem rewers na parę tysięcy. Jeżeli kapitał stracę, tem więcej wyciągnę procentów, skoro piękna pani zareczy mi za nie — w Warszawie. Trzeba być Hrubieszowiakiem, aby mieć pojęcie o tamtejszych drogach na wiosnę i na jesieni. Długie słoty tak rozrabiają tłustą, jednostajną ziemię, zwłaszcza na traktach więcej uczęszczanych, że komunikacja staje się prawie niemożliwą. Przestrzeń kilku mil, całą dobę czasem przebywać trzeba, a nie rzadko się zdarza, że czwórka dzielnych koni, nie może podołać lekkiemu powozowi którego koła przestają się obracać, albowiem osie, piasty, sprychy i dzwona. wszystko glina zalepia i ubezwładnia. W takich razach tylko sześć wołów, sprowadzonych z najbliższej wsi, stanowią jedyny ratunek.

August do późna w Hrubieszowie sprawami zajęty, wracał do Nadbuża, klnąc w duszy listopadową drogę, nie pozwalającą mu pospieszyć na powitanie ubóstwianej Kamilli i drogiej dzieciny. A dziś było mu jakoś weselej i raźniej. W miasteczku uporał się z kilku nalegającymi żydkami, a co ważniejsza, miał już pewność, że układy o służebność dojdą do skutku, pozwalając sprzedaż lasu otrząsnąć się z długów i strachu, jakim go Dymowicz przejmował. A potem?

Z jakąż radością w świat żonę wywiezie, wynagradzając nudne, przykre dla niej jednostajne życie w Nadbużu. Tak mu pilno tą nadzieją żonę pocieszyć, a ta jak na złe, strudzone konie, ledwo że noga za nogą idą po błocie. Gdy się po brzuchy zapadną, woźnica do nich przemawia, czwórka zdaje się go rozumieć: — Wio małe, wio, ha-ho! ej tam, Topolanka! — A klacz wnet strzyże uszami i szarpie w brechu, aż dyszel o mało nie pęknie. Jeszcze pół godziny i w końcu, na czarnym horyzoncie rysuje się gmach wielki, poważny. To nadbużański parafialny kościół. Ztąd tylko kawałeczek do dworu, a i droga twardsza na wzgórzu. Po pod parkiem, po żwirowce, czwórka już dobrego kłusa wyciąga, powóz turkocze.

— W prawo! — zawoła ktoś z tamtej strony, od Nadbuża jadący.

Mijają się powozy, świecą zapocone latarnie.

— Hola, stój, to ty Ireneuszu? — pyta August, wychylając się.

— A ja, czekałem sądząc że wrócisz wcześniej.

— Haniebna droga, ledwieśmy się dowlekli. W każdym razie dziękuję ci, że

dotrzymałeś żonie towarzystwa.

— Cóż tam w Hrubieszowie?

— Tout va bien. Zajrzę do ciebie jutro około południa.

— Czekam, a więc dobrej nocy.

— Dobrej nocy.

— Czy pani już u siebie? pytał Turski lokaja, odbierającego futro.

— Jaśnie pani jeszcze w salonie. Pan Wagner tylko co wyjechał.

— Dobrze. Żal ma do mnie — myślał — że wracam tak późno, i dla tego nawet na spotkanie nie wyszła... Pospieszył do niej

— A, jesteś już? — wycedziła Kamilla przez zęby.

— Wybacz aniele, że tak późno, ale jam temu nie winien.

Gdyby zależało odemnie,

zapewniam cię. krokiem nie ruszyłbym się z domu — I

August witał żonę, gorąco

całował ręce, jak gdyby jej lata nie widział. — No, a mnie nic ? — i czoło do

pocałunku nachylił.

— Fe czuć cię jeszcze żydami — skrzywieniem na czułości odparła. — Ile razy

wracasz z tego miłego Hrubieszowa, powinieneś się obmyć wodą kolońską.

— Może ci się zdaje, Kamillo moja — tłumaczył się August, z toru zbity niemiłe

miałem wprawdzie sprawy z żydami ..

— Tylko mi daj pokój z twymi sprawami, bardzo cię proszę.

— A więc powiem ci coś ciekawszego, co ci się na pewno podoba.

— Cóż? — zapytała od niechcienia, poprawiając zasłonę na chińskiej lampie.

— Najpóźniej w lutym pojedziemy do Włoch na dwa miesiące, a potem na miesiąc...

— W lutym, ale w którymże to roku nastąpi? — ze złośliwym wtrąciła uśmiechem.

— Przyznaję, Kamillo że masz prawo niedowierzać tym obietnicom, ale teraz już

się nie zawiedziesz. Nie wątpisz przecie, że gdyby była twoja matka...

Wiem już, do czego zmierzasz, ale to cię nie tłumaczy wcale.

Nie należało z

matką zawierać niekorzystnych układów, a dziś nie miałbyś kłopotów. Dziwiłabym

się jej, gdyby była nie korzystała z twej dobroduszości.

Zamilczał August, spostrzegłszy się, że odpowiedź, jaką miał na ustach, mogła

być przykrą dla żony, która w swoim czasie nie tylko nie poskramiała matki

wymagań, ale przeciwnie, oświadczyła, że ocalenie i utrzymanie w całości dóbr

Jodłowskich, jest jej gorącą modłą.

— Wreszcie — mówiła znów Kamilla, jakby zachęcona męża milczeniem — nie idzie mi w tej chwili o to, czy i dla kogo korzystnie urządziłeś majątkowe sprawy; na teraz mówię tylko o sobie, a więc wybacz mi, mój kochany, że nie poprzestaną na twych przyrzeczeniach, które się perjodycznie powtarzają od trzech lat,

i w tym tygodniu jeszcze pojedę do Warszawy, gdzie zostanę przez zimę.

— Ależ, droga moja, to niemożliwe.

— Dla czego, jeżeli wolno spytać?

— Gdybym ci to chciał wytłómaczyć, musiałbym cię szczegółowo wtajemniczać we wszystkie sprawy, których, wiem jak nie lubisz dotykać. Jeżeli nie przeprowadzę układów z chłopami i nie sprzedam lasu, wówczas nie zdołam spłacić Dymowicza, który grozi...

— Pytałam się dziś Wagnera; on twierdzi, że to nie jest tak groźne, ani zbyt pilne.

— A wreszcie, ja nie mam teraz czasu na pobyt w Warszawie, układy ważniejsze nad wszystko.

— Zostań więc w domu, a ja pojedę z matką.

— Czyż nie zastanowiłaś się, że to byłoby niewłaściwe?

— Nie widzę w tem niewłaściwości.

— Sądzę że jesteś za młoda na podobne wycieczki.

— Jak będę stara, wówczas poprzestanę na domu, spiżarni i robocie pończoch.

— Ależ nie zestarzejesz się przez kilka miesięcy...

— Nie nudźże mnie temi śmiesznymi terminami, w które nie wierzę. Skończysz jedno, znajdą się tysiące innych interesów.

— Zapewne, nie mam w tej chwili sposobu przekonania cię, a więc muszę ci powiedzieć o najważniejszej przeszkodzie.

— Słucham.

— Ja nie mam i nigdzie nie dostanę pieniędzy na taki wyjazd potrzebnych.

— O to bądź spokojny. Wagner dal mi słowo, że ci na to poradzi.

— Ciekawym jak?

— To już nie moja rzecz, ale powiedział wyraźnie, że znajdzie kilka tysięcy rubli.

— Które, gdyby się stotnic znalazły, należałoby obrócić na chwilowe ugłaskanie

Dymowicza, aby zapobiedz...

— O, mam dosyć tej dyskusji, głowa mnie boli, chciej wiedzieć, że ja w każdym razie pojedę, z tobą, lub sama, to już nie odemnie zależy.

Dobranoc.

I Kamila wyszła.

— Boże mój! — chwycił się Turski za głowę — dlaczegóż mam tak bardzo ręce związane ! Czyż ja bym szcędził milionów, aby jej życie uprzyjemnić. Co tu

począć? Samej do Warszawy puścić nie podobna, a jechać,
rzucić tak ważne sprawy
? Nie, wszakże tu idzie o byt nasz, o Przyszłość całą.
Zadzwoił, kazał podać herbatę.
— Musi być bardzo rozżalona — myślał w dalszym ciągu —
bom jej tak stanowczo
mówią-

cej jeszcze nie słyszał. A jednak ustąpić nie mogę, byłoby nie
do darowania
narażać losy nasze dla jednej chwili słabości. Na kim-że, jeśli
nie na mnie,
cięży cała za następstwa odpowiedzialność. Ha. nic mi nie
zostaje, jak tylko
trafić do rozumu, do serca. Nie chcę, nie mogę przerażać jej
odkryciem prawdy,
bo cóż przyjdzie mi z tego, że kobiecie spokój zatruję? Ale ją
uproszę, ubłagam.
I biedny August parzył się gorącą herbatą, aby jak najprędzej
za żoną podążyć.
— Znowu zadzwonił.
— Poślij Zofję do pani — mówił do lokaja — niech się
zapyta, czy mogę widzieć
się jeszcze.
— Pani prosi — po chwili rzekł lokaj. Nazajutrz, od rana ruch
w całym pałacu.
Służba się krząta, znosi kufry i walizy. Państwo wyjeżdżają do
Warszawy na zimę
August przed południem do Tężyna odjechał.

* * *

Zygmunt Lubicz, zaniepokojony wiadomościami krążącymi
złowieszczo o chylących
się do upadku majątkowych sprawach Augusta, nie
wtajemniczając Anieli, list
wysłał do Kalińskiego, z zapytaniem, jaki jest ich rzeczywisty
stan Nie
pocieszającą otrzymawszy odpowiedź, postano-

wił działać bezzwłocznie i radykalnie. A więc, wszelkie
skrupuły na bok odrzucił
i do nadbużańskiego proboszcza udać się zamierzył, ażeby
tam porozumieć się z
Kaczyńskim.

— Dokąd jedziesz braciszku? — pytała go Aniela, widząc, że
Jelenia pod zajazd
pałacu prowadzą.

— Mam interes do proboszcza — odparł — a przy tej
sposobności pomówię z nim o
Auguście.

— Byłoby tam źle?

— Nie nowego nie zaszło, chciałbym jednak przygotować to
spotkanie, na wszelki
wypadek.

— Masz słusność, im wcześniej, tem lepiej, a w każdym
razie przypominam ci
twoją obietnicę, że do działania przystąpimy oboje, równymi
siłami.

— Dobrze, dobrze, siostrzyczko, na teraz jeszcze rzeczy tak
daleko nie zaszły.

Zygmunt odjechał, Aniela, jak kiedyś, udała się do swego biurka, a popatrzywszy ze łzą w oku na fotografię, uklękła przed Matką Bożą i modliła się gorąco za Augusta.

Kaczyński dostrzegł go za folwarkiem jadącego pana Lubicza. Przeszedł szybko ogrody na przełaj i koniowi zastąpił.

— Jak się pan masz. panie Kaczyński — witał Zygmunt rządę uprzejmie.

— Padam do nóg, ot, jak groch przy drodze, proszę pana, jak my tu wszyscy, kto chce to

i skubie. A możeby pan do mnie wstąpił na chwilę, miałbym nie o jednym do

pomówienia, bo u nas źle, oj bardzo źle.

— W tym celu przyjechałem, ale do proboszcza spieszę — rzekł Zygmunt — widząc niewłaściwość wizyty u rządcy, pod bokiem Turskiego.

— Więc przychodź tam. Kaczyński domyślił się skrupułu.

— U nas niema nikogo. Państwo tydzień temu, jak wyjechali do Warszawy na dłuższy czas.

— Tak ? wyjechali ? Więc wstąpię do ciebie kochany Kaczyński.

Zamknęli się w osobnym pokoju.

— Nie wiem, co to się stało — mówił rządcą — pan nic o wyjeździe nie wspominał,

aż naraz, łap cap, ładuj pakuj i pojechali.

— I na długo, powiadasz?

— Pani mówiła podobno, że na całą zimę.

— Widocznie nie jest źle u was z pieniędzmi. Taki wyjazd, to wydatek kilku tysięcy.

— Bogać tam nie źle, proszę pana. Nie mówię już o tym niecnocie mecenasie z

Lublina ani o żydach, co nas obdzierają ze skóry, ale podatki nie zapłacone, parobcy od pół roku nie widzieli grosza, a zboże wyprzedane bodaj z odsiewem i ordynarją.

Tak, to nie wesoło, przyznaję. A powiedz że mi kochany panie, dziecko naturalnie wzięli, z sobą?

— Nie, zostawili w domu.

— Niepodobna, a któż się niem opiekuje?

— Najprzód pan Bóg, a potem gospodyni i niańka.

— Bój się Boga! czy aby ta opieka wystarczy?

— Nie mogę powiedzieć, nie złe to tam te baby. ale im nie dowierzam i ile mogę

zaglądam. Niema godziny jak byłem. Dzieciątko wołało do taty, do taty, a tata...

mój Boże. jakie to po ludziach chodzą nieszczęścia, bo mój młody pan bardzo,

bardzo biedny, ah, proszę pana, gdzie my jesteśmy, kiedy wspomnę...

Kaczyński nie skończył, kurcz go chwycił za gardło, łzy w oczach błysnęły i

wreszcie pocziwiec ryknął szczerym, serdecznym płaczem.

Nie wiele i Lubiczowi brakło do tego. Powstrzymał się.

— No no — kładąc ręce na ramionach rządcy rzekł Zygmunt
— czego tu desperować?
Ze czasy ciężkie macie, toć wiem, ale od czegoż ja w
Topolanach i moja siostra?
Nie znasz to nas, mój Kaczyński? Włos wam z głowy nie
spadnie.
— Jakto? — mówił tenże, patrząc przez łzy — państwo by
chcieli ratować pana
Gucia za to że...

Wszystko poszło w zapomnienie już dawno, nie, mówmy
nawet o tem.
— Wiem ci ja dobrze, jaki to z pana człowiek, albo i panna
Aniela, ale tu trudno
o ratunek.
Dla chcącego, nic trudnego. Może i lepiej że przyjechali, bo
my tu naradzimy się
powoli i swobodnie. Z tego, co wiem, wypada tylko
Dymowicza zapłacić i odebrać
mu apetyt na Nadbużę...
— Niedoczekanie jego.
— A potem trzeba pomyśleć o sprzedaży lasu.
— Nie, panie mój, taką drogą nic nie wskóramy.
— Dla czego?
— Bo oprócz Dymowicza. mamy tyle długów w Lublinie,
Hrubieszowie, Zamościu i
Chełmie, że jak się tamten odczepi, to nas inni zjedzą.
— A, o tem nie wiedziałem. Powiadają wprawdzie żydzi tu i
ówdzie, że im się
należy .
— Oj, należy, należy, strach pomyśleć, ile tych długów.

— Więc jak radzisz?

— Czy to ja proszę pana do rady ? Ot. dopóki było wszystko jak trzeba remanenty, inwentarze dostatnie, a w kasie gotówka, to Kaczyński umiał uprawić zasiać, potem sprzątnąć

i omłócić, ale teraz, kiedy się jedno drugiego nie trzyma, to ja tam na to nie mądry. Jeżeli pan czego nie wymyśli to jedna rada cisnąć wszystko i pójść z torbami.

— Tak źle nie będzie, już ja w tem. A jakże tam u was chłopci ? Nie dałoby się z nimi ułożyć?

— Próbowaliśmy, bo tak adwokat w Lublinie poradził, ale chłopci, jak chłopci daj kurze grzędę, jeszcze wyżej siędę. Sam myślałem, że z nimi skończymy, było tych targów kilka, aż psiawiara pachciarz z Tężyna począł coś z nimi po swojemu szwargotać, to i skajali się.

— Czy może być ? I nie skarżyliście się przed panem Wagnerem?

— Bogać tam nie sam do niego jeździłem. Żyda przy mnie zawołać kazał i ciskał się i krzyczał, a i za laskę raz i drugi brał, ale nie bił Żyd się wyłgał i na tem koniec. Kto ich tam wie żydowi na tyle nie wierzę a ten cały pan Wagner to takóž pół psa, pół kozy nie dam ja wiele za niego.

— Poradzimy, poradzimy, panie Kaczyński, nie turbuj się. Za parę tygodni będę w Lublinie, to i z naszym poczciwym Kalińskim pomówię. Dziś jeszcze przyjedź do mnie zostanie to między nami, ale ci dam parę tysięcy, trzebaż ludzi i podatki zapłacić.

— A wolnoż mi to będzie proszę pana? Pan Guccio co na to powie?

— Powiadam ci, między nami zostanie, a zresztą, ja to biorę na moją odpowiedzialność.

— Ha, jak pan każe; bo mi też i żal naszych i parobków; wszystko to ludziska setni, tu urodzeni do pana przywiązali, a wstyd powiedzieć w gębę nie mają co włożyć i na bosaka chodzą.

— No, a powiedz-że mi, mój kochany, nikt nas tu nie słyszy, jakże tam żyją z sobą, kochają się zawsze?

— Te, proszę pana, w gumnach, spichrzu, a w roli, to ja wiem wszystko na pamięć, choć mnie o północy zbudzić, ale co się dzieje we dworze, chciałem rzec, w pałacu, to mnie od tego zasie.

— Nie jesteś szczery, mój Kaczyński, cóż to ja tu do was, jak nieprzyjaciel przychodzę? Albo to nie wiem, do kogo mówię? Odwrócił się rządcą do okna i niby się pilnie stadu owiec, wypędzonych do wody,

przyglądał.

— No, jakże? — nalegał Lubicz.

— Oj, panie mój — zawołał wreszcie Kaczyński. biorąc się rękami za głowę — i

pana nic chcę obrazić, boć wiem, żeś złoto nie człowiek, i plotek bajdów, nie lubię powtarzać.

— Więc źle.

— Nie pytałby się pan bez kozery. — Zbliżył, się rządcą do Zygmunta i mówił do

ucha: — Obraza boska proszę pana i tyle.

— U! Toś mnie zmartwił bardziej niż tamtem wszystkim.

Gadajże mi zaraz, jak na

św. spowiedzi,

— Mam gadać, to i powiem, Bóg mi świadkiem, że nie przez złość żadną. Nasza

pani, to suka, nie kobieta.

— Cóż takiego?

— Zła, próżniaczysko, wykrętna i niema w sercu m Boga, ni sumienia, ni wstydu.

— Jezus Marja! — Lubicz ręce załamał — A cóż pan August?

— Ślepy panie, ślepy na obydwie oczy.

— No, ale cóż przecie?

— Ba, łatwo się domyśleć, ten pan z Teżyna, niemieckie plemię...

— Jaktó, więc mówisz?

— Mówić nie mówię, bom nie widział, zresztą, z tem się nikt nie pokazuje jak z

różańcem w ręku, a jednak po całym dworze ludzie ramionami ruszają. Ot, nie

dalej jak teraz przed samym wyjazdem, mój pan Gucio
biedaczysko potłukł się nocą
do Hrubieszowa za temi przekłętymi sprawami, młodsza moja
córka poszła do pałacu
samym wieczorem, bo tam jakieś szycie zaniósła, stoi to i stoi
przy drzwiach i
czeka, aż kto niebądź nie wyjdzie, a kiedy tak patrzy, coś w
lustrze widać;
przygląda się, a to pani z tym Niemcem całują się, jak Kaśka z
Maćkiem. W
lustrze odbiło. Opowiedziała

wczyna żonie, a żona mnie. Zakazałem powtarzać — na
Sakrament. Ale co to pomoże?
widziała moja, to widzieć mogła i nie moja.
— Tfu, — splunął Lubicz — brzydko słuchać.
— O, plują też plują, jak powiadam i byle nie kto naszym
panem sobie gębę
wyciera. Cała wieś tak pluje, bo to i latem nie jeden się tych
amorów napatrzył.
Toć szwyndali się dwojgiem na koniach, całymi dniami, a tu
słońce świeci. Pan
Bóg patrzy, ludziska też nie głupi. Mój Boże, taki pan. taki
pan!
I Kaczyński znowu łzę obtarł.
— Basta! — zawołał Lubicz — wiedziałem ja to z góry i
mówiłem, o, mówiłem,
ale... Bóg tak chciał. On świadkiem, żem ja temu nie winien.
Oto widzisz, to, to
gorsze nieszczęście, tu adwokat nie poradzi ani pieniądze, z
tego będą straszne

rzeczy, zobaczysz mój Kaczyński. Ale powiedzże mi, jeżeli u
was tak ciasno, skąd

pan wziął na ten wyjazd pieniędzy ?

— Nie mówił mi, słyszałem tylko, że był kiedyś ten Wagner i
z nim żyd obcy.

Siedzieli z pół godziny u pana. Pewnie nam przybyła nowa
pijawka.

— Bądź mi teraz zdrow, kochany Kaczyński, a do Topolan
przyjeżdżaj, dziś

koniecznie pogadamy jeszcze.

I Lubicz, dosiadłszy Jelenia, pomknął szparkim kłusem. Myśli
cisnęły mu się do

głowy.

Jak ratować Augusta? Z majątkiem pół biedy, pieniędzmi
wszystkiego dokona, ale z

nim samym? Z tego co słyszał, wniosek prosty: ratunek
spóźniony. A jednak,

jeżeli pora jeszcze?

Na rozstajnych drogach, Jeleń skreślił ku Topolanom, ale
Zygmunt cugiem szarpnął,

do Teżyna podążył.

— Czy pan w domu ? — zapytał oficjalisty, zamykającego
wierzeje stodoły w

Teżynie.

— Niema, wielmożny panie, będzie dziś tydzień, jak wyjechał
do Lublina, a

stamtąd do Warszawy.

— A kiedy spodziewacie się z powrotem?

— Pono nie prędko, wielmożny panie.

— Grunt mi się z pod nóg usuwa — pomyślał teraz Lubicz. —
Wszystko za późno.

Po kilkunastu minutach, Topolanach, Michaś spienionego
Jelenia przed pałacem
odbierał.

— Zmarnieje mi konisko z taką jazdą — mruczał.

V.

W Warszawie, na Mazowieckiej ulicy, zajęli państwo
Augustowie Turscy wykwiniony
apartament, na pierwszym piętrze. Parę tygodni wystarczyło
na urządzenie się i
otworzenie domu, a potem szło już wszystko, jak podług z
góry ułożonego
programu. Przyjmowano wizyty, lub je składano w
przedobiedniej porze, wieczór
zajmowały rauty lub teatru, koncerty i cyrki. Sobotę
przeznaczono na tygodniowo
przyjęcie gości.

August nie wiele miał stosunków w Warszawie. Zasiadziały w
Nadbużu, był tu

prawie obcym, natomiast pani Kamilla. codziennie
wymieniała nowy dom, w którym
wypadało złożyć wizytę, a tak, mąż zawierał przez nią
znajomości co kroku.

Piękna pani Augustowa, od czasu przyjazdu do Warszawy,
zmieniła front. August
nie widział jej nigdy znudzonej, kapryśnej; przeciwnie,
zawsze wesoła, rozmowna,
dla męża łaskawsza niż

kiedykolwiek. To też, mimo ciężkich trosk i niepokojów, nie
żałował wyjazdu. Tu
widział żonę taką, jakąby pragnął widzieć zawsze. Po
czteroletnim blisko
pożyciu, teraz dopiero zapanowały miodowe miesiące,
rozkoszniesze od pierwszych
August, zawsze w swej żonie zakochany jak student, dziś,
szalał jeszcze
gorętszą, narniętniejszą miłością. W Nadbużu odrywały go co
chwila zajęcia i
sprawy, tu nie doznawał żadnej przeszkody, ni zamącenia. Z
dnia na dzień, coraz
to szybciej znikały w jego wyobraźni chmury, co tak
niedawno w Nadbużu, groziły
niesłychaną burzą. — Jakoś to będzie — mawiał sobie Turski,
wpatrzony przy
rannej kawie w urocze oczy. alabastrowe, obnażone ręce
Kamilli. — Po sprzedaży
lasu, bez żadnych kłopotów, zawiozę ją do Paryża na pół roku.
Ona Paryż tak
lubi! Irenkę z sobą weźmiemy.
Wagner, już nie bywał, ale prawie że mieszkał na
Mazowieckiej ulicy. Potrzebował
podobno pilnować ważnej sprawy w Izbie Sądowej, o czym
dawniej nie wspominał, bo
to z jakiegoś świeżego spadku wynikło. August rad był, jak
zawsze, jego
towarzystwu, a teraz tem bardziej, ze nieoceniony przyjaciel,
oddawał mu

perjodycznie usługę w formie uspokojenia, iż Dymowicz żadnych kroków nie rozpocznie. Stanowiło to tyle, co antipiryna, podawana przeciw powtarzającej się gorączce.

Ale pan Ireneusz był niezadowolony. Jeżeli poręczył za Turskim pożyczkę kilku tysięcy, których inaczej niktby dać nie chciał, to tylko dla tego, że liczył na słowa Kamilli, powiedziane w Nadbużu: "Wypuście mnie naprzód z więzienia." Nie uważał on wprawdzie za bezpowrotnie straconą tej sumy, ale przecież procenta z góry się płacą. Tymczasem, tu w Warszawie, pilnując całymi dniami swej sprawy, widzi tylko rozmiłowane w sobie małżeństwo, a on, ze strony pani, jakby strącony na ostatni plan, odgrywa rolę niefortunnego widza, któremu na przedstawieniu dano poślednie miejsce. W Nadbużu miał pełną swobodę, ale mu z niej nie pozwolono korzystać, tu, gdzie miałby prawo obietnicę przypomnieć, mąż nieodstępny dniami całymi.

— Gdybyś ty wiedział mój drogi — mówił raz August do niego przy cygarach i czarnej kawie, kiedy Kamilla przygrywała w salonie jakieś scherzando — co to za rozkosz kochać żonę tak, jak ja ją kocham, być również jak ja kochanym i mieć

pełną swobodę nierozłącznego dzielenia z nią każdego dnia,
każdej chwili

Wagner odgryzł kawałek cygara.

— Nie ciągnie? zapal inne, proszę. Tylko sam powiedz jak
ciężką krzywdę

wyrządził mi Lubicz swemi podejrzeniami, owego czasu.

Czyż to nie najlepsza z

żon? A! wiesz mój przyjacielu, cokolwiekby mnie spotkało,
jużbym się

powinien uważać za zapłaconego, każdy dzień z nią przebyty,
jakże hojnie

wynagradza najcięższe zmartwienia i kłopoty.

— O tak, tak — rzekł Wagner, wstając — ja to dobrze
rozumiem i tem bardziej się
cieszę, że dzwonił na to kazanie.

— Czego ci ani umiem, ani mogę odwdzięczyć.

— Oh, nie mówmy o tem.

— Cóż to, za kapelusz bierzesz?

— Tak jest, muszę wyjść, mam w mieście zajęcie.

— Zobaczymy się na operze?

— Niezawodnie.

Wagner siadłszy do dorożki, kazał się zawieźć do stacji
telegraficznej. — Mam

tego dosyć — mruczał.

„Dymowicz — Lublin — Co znaczy zwłoka, proszę nie
ociągać, odpowiedzi czekam —

Wagner.”

Taki wysłał telegram.

* * *

Pani Laura była wdową. Miała lat czterdzieści, jak mówiono, bien sonnes.

Przyznawała się tylko do Jezusowych, wszedłszy poprzednio w dyskretne układy z palonym koreczkiem do przyciemniania brwi, kosmetykiem Pinauda Immortel, wreszcie dentystą, fryzjerem i krawcową, umiejącą władać watą i fiszbinami, jak artysta dłutem

rzeźbiarskiem. Kim była dawniej, kim teraz, czy i jaki posiadała majątek, o tem nie wiele wiedziano, że jednak niektóre sfery życzą sobie znać dokładnie przeszłość i stanowisko uczęszczających do ich salonów, przeto pani Laura, nie mogąc się pod tym względem wyraźnie wykazać, nie do wszystkich towarzystw wstęp miała otwarty.

Kamilla, z chwilą przyjazdu do Warszawy, gorączkowo zajęła się odszukaniem tej, jak mówiła mężowi, przyjaciółki serdecznej. Zaraz też nazajutrz zjawiała się pani Laura, a mimo, że Augustowi nie bardzo przypadła do smaku, już została prawie domową. Te panie, po kilkoletniem niewidzeniu się, miały tyle do powiedzenia sobie, że August, żądny towarzystwa Kamilli, o swoje prawa upominać się począł.

— Już tak mnie kocha mój mąż — mówiła raz do Laury w
obecności Augusta — że
nawet o ciebie, moja droga, zazdrosny.
— Uwielbiam pana za to — rzekła wdówka — bo widzę, że
moja najlepsza
przyjaciółka jest bardzo szczęśliwa. Ale proszę się uspokoić,
ja panu jej nie
zabiorę, przeciwnie, pomogę tylko, aby za parę dni była tak
pięknie i modnie
ubrana, iżbyś się w niej po raz drugi zakochał.
Teraz już August zrozumiał treść bezustannych szeptów i
narad przyjaciółek,
jakkolwiek Wagner, mający tak zwane spiczaste oko, nie

zbyt dowierzał tej treści, przeczuwając w pani Laurze
sprzymierzeńca, mającego
Kamilli wykonanie jej planów ułatwić. Zauważył on również,
czego nie dojrzał
Turski że Kamilla, mimo serdecznej dla Laury przyjaźni, nie
dopuszczała jej do
towarzystwa, jakie się w soboty na rautach zbierało, ani też
zapraszała do
teatralnej loży, lub na inne widowiska. Byłaby Laura
kompromitującą ?
Ona właśnie w tej chwili znalazła się w salonie. Poznał ją
August po głosie, a
że Kamilla przerwała muzykę, więc nie chcąc tym paniom
przeszkadzać, dumał w
nieobecności Wagnera, dopalając cygaro. Po długiej jednak
chwili, gdy spostrzegł

na zegarze ósmą godzinę, przeszedł do buduaru uprzedzić
żonę, że na operę jechać
należy. Tu zastał już Kamillę ubraną, a pani Laura dopełniała
ostatniego
przeglądu.

— Jeżeli ona nie zaćmi dziś wszystkich piękności
warszawskich — rzekła wdówka do
wchodzącego Turskiego — to mi pan będziesz miał prawo
powiedzieć, że nie mam
żadnego wyobrażenia, co jest piękna kobieta.

— Dla mnie jest najpiękniejszą — odparł mąż — a chciej mi
pani wierzyć, że na tem
zaćmieniu nic mi nie zależy.

— To do niego bardzo, moja droga, podobne — dodała
Kamilla.

— Jest takim pod tym względem samolubem, że nie chciał
mnie lata całe po za
Nadbużem pokazać.

— Jeszcze raz pana uwielbiam — mówiła znów Laura,
pokazując w uśmiechu
porcelanowe ząbki — to właśnie dowodzi prawdziwej miłości,
bo mężczyzna, lubiący
chlubić się piękną żoną, chociażby nie chciał, musi podziwiać
jednocześnie żony
swych przyjaciół, którzy zawsze radzi chlubić się niemi
zarówno, a wtedy....

— Już jeżeli kto, to mój mąż nie podziwiałby ich z pewnością
— zdecydowała
Kamilla.

— Nie mów tego. moja droga, każdy z tych panów nie grzeszy, o ile ku temu sposobności nie spotka, dla tego też, szczęśliwa z twego przybycia do Warszawy, powiem sobie po waszym wyjeździe, że tam, w Nadbużu, jednak jest wam, moi państwo, najlepiej, w tem życiu tylko z sobą i tylko dla siebie. Jakkolwiek te słowa wystawiały na szwank wierność Augusta, to jednak wlewały w nich pewne przekonanie i sympatję do Laury. Widocznem było, że ma wielką dla Kamilli życzliwość i że jej szczęście nie jest jej obojętnem. To go zobowiązywało względem niej, co też chcąc okazać, rzekł:
— Kamillo, proś panią, może zechce towarzyszyć nam do teatru.

— Dziękuję bardzo, - odparła Laura — ale wracać muszę do domu.
— Biedna, jest niewolnikiem swej ciotki staruszki, — tłumaczyła Kamilla — która jej wieczorami na krok od siebie nie puszcza.
— A ciocia ma osmdziesiąt lat i pół miliona — dodała Laura.
— To panią usprawiedliwia — rzekł August — więc pojedziemy sami. A wielki czas. Karetą Turskich stała w bramie gotowa.
— Do teatru — mówił pan do lokaja — a potem odwieziecie panią do jej mieszkania.
Po nas przyjechać po dziesiątej.
Dawano "Violettę". Teatr był pełny. Odsunięcie drzwiczek łoża, zawsze zwraca

uwagę publiczności, gdy więc do ósmej prawej weszła p.
Turska, wnet wymierzono
ku niej kilkaset lornet, jak astronomowie nastawiają teleskopy,
dla badania
niebieskiego zjawiska. Nie każda kobieta jest zdolną stoicznie
wytrzymać
podobnie rotowy ogień, tu jednak piękna Augustowa wyszła
zwy ciężko, zdradzając
raczej po sobie zadowolenie próżności. Nie rada też była
chwili, w której z
ostatnim taktem uwertury, podniesiono kurtynę. Podobne
istoty uczęszczają do
teatru dla auditorium, dla flirtu, a nie dla sztuki.
Antrakt przyniósł Kamilli tryumf zupełny. August, pod
pozorem przywitania
znajomych, zszedł do krzeseł, ażeby sprawdzić efekt, jaki

jego żona wywoływała powszechnie. I oczarował go widok,
jakkolwiek znany mu tak
dobrze. Laura miała słuszność. Wykwintna sztuka modniarki i
fryzjera, w tej
samej piękności odkrywa nowe piękności, tem więcej w
kobiecie, umiejącej
najdrobniejszy szczegół na korzyść swoją wyzyskać. A
mistrzem skończonym była
jego żona w tym względzie. W tej chwili, z jakimże
wdziękiem zatacza, iście
królewskim ruchem, koronkę wachlarza jakby mówiąc do
tłumu: zasłaniam wam moje
oblicze, bo ośle pniecie od blasku W net też ciemniej,
smutniej na sali się

stało Ale oto zwinięte już skrzydła koronek, znów pozwalają
światu podziwiać
urocze zjawisko. Tak kokietuje słońce marcowe: to błysnie, to
się skryje, to z
za chmurek, pełną tarczą wypłynie, olśni swem światłem,
choć w tej porze
słabo ogrzeje.

Trzech było teraz ludzi w Auguście : kochający mąż,
rozszałały kochanek i
estetyk w ekstazie. Zapatrzony, nie mógł nie słyszeć
dolatujących go zewsząd
słów uwielbienia dla Kamilli, i te oprzytomniły go. Postanowił
wrócić do loży,
ażeby i sobie sprawić uciechę. Niech wiedzą, że to on właśnie
jest
najszcześniejszym wybrańcem, nieograniczonym posiadaczem
klejnotu, podziwianego
przez wszystkich.
Zająwszy swe miejsce, umyślnie zaznaczał

poufałość w ruchach i w rozmowie z Kamillą, ażeby stosunek
do niej wyraźnie
ujawnić.

— Wpatrywałaś się we mnie Auguście — rzekła żona — jak
lowelas. Przyznaj, że to
śmiesznie wygląda w oczach znajomych.

— A cóż mnie oni obchodzą? — odparł zaczepiony — jeżeli
im wolno lornetować
ciebie, czyż ja nie mam większego prawa do tego'?

— Nikt nie odmawia ci prawa, ale to parafją trąci. Nie lubię
wystawiać się na

śmieszność.

— Jesteś tu królową, a jako taka, zamiast się gniewać,
powinnaś tylko łaski

rozdzielać; czy nie prawda Ireneusza?

— Najzupełniej zgadzam się z tobą — odparł tenże.

— Masz cyganie świadki... — wtrąciła Kamilla, — i
zaprzestano szeptów bo akt się
rozpoczął. Wszyscy zasiedli na swoich miejscach, a piękna
pani, jakby niechętna
że znów zawieszono chwilowe jej panowanie, odwróciła się
ramieniem od sceny.

August wsłuchiwał się z uwagą w śpiewaną arję.

Ale oto na słowa finału: Dio mc saudi, Dio mi guido, ktoś
lekko do loży zapukał.

Turski wyszedł na korytarz i zastał lokaja, który mu dręczył
telegram. Rozerwał
nerwowo pieczętkę, parę wierszy odczytał, i rzekł, chowając
papier do kieszeni:

— O tym telegramie nic nie wspominać.

— Któż to pukał? — zapytała Kamilla, gdy mąż wrócił do
loży.

— Niepotrzebnie Michał przyszedł powiedzieć że konie już
czekają.

Głos mu drżał, a twarz pobladła, jak kreda. Jakkolwiek August
siedział za

światłem, Wagner w nim wrażenie dopatrywał. Nie trudno było
mu przyczynę
odgadnąć. Zbytecznie telegrafował do Dymowicza, bo ten
oczywiście nie zasypiał
sprawy.

Nareszcie zbliżał się koniec Violetty, pożądany przez Augusta. Za chwilę Wagner w teatralnym portyku żegnał Kamillę.

— Siadaj z nami, Ireneuszu — rzekł August — mam ochotę na tuzin ostryg, wszak pozwolisz, Kamillo, że cię odwieziemy, a sami wstąpimy na chwilę do

Stępkowskiego?

Nie sprzeciwiała się pani, Wagner zaś, jakkolwiek chciałby uniknąć spodziewanej

rozmowy, rozumiał jednak, że ta wcześniej, lub później nastąpić musi, a więc

wolał przekonać się odrazu, czy słuszne były jego przypuszczenia. Nie omylił się.

"Dymowicz wykonał zajęcie subhastacyjne, za inne należności wywozi meble. Czekam przybycia. Kaczyński".

Taki telegram przeczytał August Wagnerowi, przy świetle latarni karety, gdy po odwiezieniu Kamilli jechali do Stępkowskiego.

— Ireneuszu, czyż nie mogę mieć żalu do ciebie? — mówił August. — Zapewniałeś

mnie tak solennie, a ten łotr jak gdyby korzystając z mojej nieobecności, posuwa

się aż do zabierania mebli. Radź teraz, co ja mam czynić? Kamilla o tem wiedzieć

nie może, nie powinna.

— Zapewne, nie przypuszczałem takiej zawziętości ze strony Dymowicza — odparł

Wagner — mojem zdaniem powinieneś jechać do domu bezzwłocznie.

— Jakim sposobem? Żony tu zostawić nie mogę, zabrać jej niepodobieństwo, wszystkoby się wydało, a wreszcie, z czym się przed Dymowiczem pokażę? Tam trzeba pieniędzy.

— Za gorąco bierzesz te rzeczy. Rozważ tylko. Zajęcie subhastacyjne należy uważać za nieuniknione, usuniesz je po sprzedaży lasu, tymczasem nie przeszkadza ci ono w niczem, trzeba tylko ratować ruchomości, bo to istotnie przykre i kompromitujące. Gdybyś był w domu, Dymowicz poprzestałby na opisaniu i zostawieniu wszystkiego na miejscu, pod twoim osobistym dozorem. Nie można żądać, aby miał zaufanie do oficjalisty. Powóz stanął przed Stępkowskim. Panowie zasiedli w osobnym pokoju, zamawiając dla pozorów jedzenie.

— Widzę przed sobą jeden tylko punkt wyjścia — niecierpliwie, gorączkowo mówię

Turski — i z góry na ciebie liczę, Ireneuszu.

— Słucham cię.

— Ja sam nie dam rady Dymowiczowi, nawet nie umiem z nim mówić. Zaklinam cię, jedź pierwszym pociągami, a wszystko lepiej odemnie załatwisz.

Znowu kąćki ust zdradzały szatańską ironię pod pięknym wężem Wagnera

— Pojadę Auguście, nie mogę ci tego odmówić...

— Wiedziałem, że się nie zawiodę na tobie...

— Ale zaraz — i tu Wagner wydobył jakąś notatkę z kieszeni, którą czytał niby, zrećźnie zasłaniając ręką. Był to program odbytego temi dniami koncertu.

— A nie, mimo najszczerzych chęci jechać nie mogę.

— Zlituj się, dla czego?

— Właśnie pojutrze zrana odbywam ważną z prawnikami naradę co do mego spadku.

— Czyż to się nie da odłożyć?

— Niepodobna, bo od tego termin sprawy zależy. Wszak wierzysz, że tylko tej doniosłości powód, może mnie wstrzymywać.

— Wszystko się na mnie sprzysięgło. — Wstał August, a krocząc szybko po gabinecie,

zatrzymał się nagle. — Dla czego tak stanowczo zapewniałeś mnie, że Dymowicz żadnych kroków nie rozpocznie? — W głosie jego przebijał się żal głęboki. —

Byłbym był nigdy nie zgodził się na wyjazd z domu.

— A, mój kochany, pomylić się można, wreszcie on mnie samego zapewniał.

— Więc co mam począć?

— Moja rada jest taka, — to mówiąc Wagner wychylił szklaneczkę Montrachet, — jutro zrana jedź najprzód do Lublina...

- Ale to niemożliwe, jakże zostawię Kamillę?
- Zostawisz ją u siebie w domu, w czym nie ma nic niewłaściwego, a jeśli ci zależy na tem, aby nie była samą, to niech Laura z nią mieszka, aż do twego powrotu.
- Tak, to myśl istotnie jedyna, czy tylko Laura zechce?
- Zapewniam cię. że uczyni to całym sercem, przyjaciółka, tak twojej żonie oddana...
- Pielęgnuje starą ciotkę.
- Poradzi sobie z tem, zaręczam. Jeżeli wreszcie Dymowicza zastaniesz w Lublinie, ten niezawodnie zwolni z zajęcia ruchomości i będziesz mógł zaraz do Warszawy wrócić.
- A jeśli jest w Nadbużu?
- Zabawisz parę dni dłużej.
- Dasz mi list do niego?
-
- Najchętniej.
- Ale czem wyjazd upozorować przed żoną?
- To najłatwiejsze. Powiesz, że Kaczyński wzywa cię do podpisania umowy z chłopami, że taka sprawa na gorąco załatwioną być powinna.
- Ah, jakże ja nie lubię takich wykrętów, ale trudno, niema innej rady. A więc jutro pojedę, liczę również na ciebie, że nie zapomnisz o żonie, że się nią zaopiekujesz w razie jakiegokolwiek potrzeby.
- Licz, jak na siebie samego.

— Zapewne jeść jeszcze będziesz, ja nie mam apetytu, a
chciałbym dziś żonę
uprzedzić, przepraszam zatem, ale cię opuszczę.

— Nie kłopotz się zbytecznie, wszystko to ureguje się
powoli. Jedź i wracaj.

Bon voyage.

Gdy Wagner dostrzegł przez okno, ruszającą już z miejsca
karetę Augusta, kazał
sobie podać papier i pióro, i zredagował do Dymowicza
telegram, zalecający
możliwe przedłużanie formalności. Wyszedłszy od
Stępkowskiego, osobiście udał
się na stację, i telegram jeszcze w nocy wyprawił.

VI.

Turski w Lublinie Dymowicza nie zastał, więc następnym
pociągami nocą do Nadbuża
spieszył. Po doznanych niepokojach i tak bolesnym zawsze dla
niego rozstaniu się
z żoną, wreszcie po całodziennym podróży, teraz zasnął twardo
w wagonie. I
przyjemnie śnił. Znajdował się niby wśród palm, pomarańcz i
olbrzymich kaktusów,
przed ślicznym pałacykiem w stylu renesansu, w towarzystwie
Kamilli. Opodał, jak
motyl buja dziecina, po aksamitnym trawniku i wonnych
kwiatach, na niej
śnieżystej białości sukienka. Tam dalej morze lazuruwe,
nieskończone. Ale

niewiadać dzikich bałwanów, żółtawej piany, nie słycać szumu ni wichru, jak kiedyś w Ostendzie. To Nizza i morze śródziemne. Jakże nie podobne do tamtego! Bo teź každy dramat odpowiednie dekoracje mieć musi. Wówczas, przed czterema laty, jak burza morzem północnem. tak niepokój miotał Augustem. Z początku oba-

wy o Wagnera, uczucia zazdrości, potem niepewne chwile, czy Kamilla jest mu wzajemną, w końcu drażniące go listy z Topolan. zimne refleksje Zygmunta, a tak bardzo nie w porę. Dziś, tylko szczęście i szczęście bez granic. Dość okiem rzucić na hamak, w którym z uroczym wdziękiem spoczywa cudna kobieta, tyle kochająca, ile kochana. Kształty jej tchną pięknem, jak wszystko piękne w tym kraju; we wzroku niebo, upajające, jak niebo południa. I oto August do hamaku się zbliża, głowę ku niemu pochyla, a wnet białe ramię otacza mu szyję. Ileż słów słodkich, szeptów rozkosznych, ile miłości! Ale z drugiej strony podbiega Irenka, a obejmując ojca kolana, praw swoich dopominać się zdaje. I jej się pieśczoty należą.
— Czym ja nie najszcześliwszy z ludzi?! — zawoła August, i obraca się ku

dziecinie, chcąc ją do serca przytulić. Ale ta, jakby przekorna,
żywo odbiega,
zdaje się gonić ptaszka, co sfrunął z krzaka jaśminu.
— Irenko, aniołku, pójdź do mnie! — woła ojciec i ręce za nią
wyciąga.
Dziewczynka ucieka, coraz dalej, coraz dalej, daremnie ją
gonić, już niknie,
gdzieś het w przezroczach nieboskłonu południa.
— Zostaw ją w spokoju — rzecze matka — przez kwiaty
bieży do nieba, tam lepiej
jej będzie...

— Hamowanie pociągu zbudziło Turskiego. Wstał z ławki,
oczy przetaił i nazwisko
stacji odczytywał przez szybę. W pierwszej chwili zapomniał
o śnie pod nowem
wrażeniem, ale scena nicejska wnet do wyobraźni jego
wróciła. Położył się znów
na ławkę i wszystkie obrazy uprzytomniał, kolejno.
Zastanawiał się nad ostatnim.
Dziwne znikanie Irenki i towarzyszące mu słowa Kamilli,
zaniepokoili go.
Tymczasem pociąg stał w miejscu. Nie spieszą się na
Nadwiślańskiej kolei.
Inaczej w nocy, niż we dnie, odbywa się postój na stacji.
Niema ruchu i gwaru,
niema ciekawych, co spacerują po peronie, zaglądają
niedyskretnie do okien
wagonów, niema wreszcie żon i kuzynek urzędników
kolejowych, które na każdy

pociąg wychylają się z pierwszego piętra dworca. Teraz śpią wszyscy, więc pusto.

Służba krząta się ospale, jeden trzyma sznurek od dzwonka, czekając

niecierpliwie, rychło zawiadowca rękę podniesie, drugi młotkiem po buksach

kolejno uderza, badając, czy oś która nie grzeje. W wagonach cisza.

Gdzieś słychać chrapanie. Do przedziału Augusta przybył podróżny, ale za

nim wszedł wewnątrz, witał się w korytarzu z kimś drugim.

Nie widział ich Turski

po za zasuniętymi drzwiami, wśród ciszy jednak słyszał każde słowo rozmowy.

— Cóż tam nowego w Lublinie? — pytał nowo przybyły.

— Nic tak dalece ciekawego. Płaciłem ratę towarzystwa, podatki, i goły wracam do domu.

— Czy to prawda, co mówią, że ten łotr Dymowicz zjeżdżał do Turskiego na zajęcie subhastacyjne?

August z bijącym sercem nadstawił ucha.

— Istotnie tak jest; mało tego. ale chciał szykanować widocznie bo nawet za procenty wziął się do mebli.

— Więc tak bardzo źle z Turskim? I cóż on na to, nie może się bronić?

— Przedewszystkiem niema go w domu. Od paru tygodni bawią we troje w Warszawie.

— Z dzieckiem?

— Żebyż z dzieckiem, ale gorzej, bo z Wagnerem z Tężyna.

— A, z Wagnerem. Nie podoba mi się ta osobistość.

— Nie pierwszemu sąsiadowi, ale szkoda, że się podoba pięknej żonie Turskiego.

August zerwał się z ławki i za klamkę ujął, instynkt jednak kazał mu słuchać

dalszego ciągu rozmowy.

— Czyżby między niemi co było?

— Wróble o tem świergocą na dachu. August miał już drzwi szarpnięciem ręki

odsunąć, ale się w porę opatrzył.

— A cóż on, mąż, ślepy jak wszyscy?

— Naturalnie, obdarza sąsiada najszczerzą przyjaźnią.

Pociąg ruszył, Turski słyszał już tylko słowa :

— Sam siedzę, pójdź sąsiad do mnie.

— Bardzo chętnie. — Na tem się rozmowa skończyła.

Rzucił się teraz August na ławkę i chwycił za głowę.

Wiadomość przeraziła go,

nie z powodu faktu, w który nie wierzył, którego nie

dopuszczał ni cienia, ale z

powodu plotki, tak strasznie krzywdzącej Kamillę i jego

honor. Zastanawiał się,

co ma uczynić. Pójść do tych panów, znaczyłoby tyle, co

wywołać skandal. Napaść

na nich? Za co? Jeżeli jeden z nich mówił o świergocących wróblach, to tylko

dowód, że wersja jest szeroka, i że ten pan wróblami

tłómaczyć się będzie.

Niczego więc August nie zyska, a sprawę rozgłosi. A więc przemilczeć? To znowu

tyle, co tolerować oszczerstwo. Czemuż nie miał nikogo,
któryby mu rady
udzielił! Bezwiednie Wagner przyszedł mu na myśl. Ten
zawsze i wszędzie
rozstrzygał w trudnych położeniach, ale w tym razie —
uznawał Turski — nie
Wagnera o radę pytaćby należało.
Długą chwilę rozmyślał. Pociąg już minął następną stację i
znowu pomykał, aż
August, zniecierpliwiony i na nic nie zdecydowany, spo-

strzegłszy przechodzącego konduktora, zaczepił go.
— Czy nie możesz mi pan powiedzieć, kto są ci panowie, tu
obok mnie siedzący?
— Nie znam ich wcale, ale już obydwaj wysiedli.
Tak ta drażliwa sprawa, sama przez się, usuniętą została.
Cokolwiek spokojniejszy, wkrótce wysiadł Turski z pociągu i
pocztą do Nadbuża
spieszył. Ale jakież było jego zdziwienie, gdy wszedłszy do
sieni pałacu,
spotkał się oko w oko z Zygmuntem, wyciągającym ku niemu
ramiona, jak gdyby się
przed tygodniem widzieli.
— Jak się masz, Auguście! — zawołał Lubicz — Chwała
Bogu, że już przyjechałeś.
Turski stał nieruchomy, osłupiały.
— No, porzućmy ceremonie wszelkie, — rzekł znowu
Zygmunt — nie pora na nie,
widzisz mnie w Nadbużu, bo jestem tu bardzo potrzebny. Czy
cię to razi?

Teraz już bez wahania rzucił się August w ramiona starego przyjaciela i rozplakał się, jak małe dziecko. Nie mówił nic, ani pół słowa, tylko łkał głośno.

— Bądź mężczyzną mój drogi, w życiu nie tylko przez samo szczęście stapać możemy. No, Guciu, uspokój się, nabierz sił i odwagi, aby znieść mężnie przykrości, jeżeli nie nieszczęście.

— O, dobrze mówisz, panie Zygmuncie --zawołał nareszcie August — bom ja bardzo, bardzo nieszczęśliwy. To mi tylko dodaje otuchy, że cię tu zastał.

— Chodźmy najprzód do pokoju — i Zygmunt, niby w roli gospodarza — gościa wprowadził. Ten, rzuciwszy okiem na płaszczyk, kapelusz i parasolkę, leżące w pobliżu — co to jest? — zawołał? — byłaby tu...?

— Tak Gruciu, moja siostra jest tutaj także, nieodstępna od wczoraj.

— Czy to być może? A więc pójdźmy ją przywitać, domyślam się, że jest w pokoju Irenki.

— Zgadłeś, córeczka twoja...

— Czy tylko zdrowa?

— Tak... to jest... wczoraj... zdaje się, że to będą ząbki, doktor powiedział...

— Jakto, więc chora? Wzywaliście lekarza? Panie Zygmuncie, na miłość boską,

powiedz mi prawdę, dziś jeszcze w wagonie miałem sen
dziwny, smutny... a, idźmyż
zaraz.

— Za chwilę, Guciu — i Zygmunt drogę zastąpił — tak prosto
z wiatru, z zimna, do
dziecka nie trzeba.

— Zapewne, masz słuszość, ale nie dziw się niecierpliwości
mojej; tyle
zmartwienia, o, bo me wiesz, panie Zygmuncie — i w
wagonie podsłuchana rozmowa
przyszła mu na myśl. To

samo mógł Lubicz powiedzieć, bo August jeszcze nie
wiedział, że tam, za ścianą,
Aniela płacze nad łóžeczkiem, w którym z Irenką już się
uporały konwulsje, a
przyszła — nieubłagana agonia.
Podczas najazdu Dymowicza, wszyscy potracili głowy. Widok
sądowego komornika,
świadków, a nawet ziemskiej straży, w jaką się zaopatrzył
nieubłagany
wierzyciel, odjął i Kaczyńskiemu przytomność. Ten więc opór
chciał stawiać,
zwoływać wiernych parobków, to znów prosił płakał, zaklinał,
Dymowicza po nogach
całował, aż w końcu, widząc bezsilność swoją, do stajni
pobiegł, wędzidło
zaledwie koniowi w pysk włożył i, jak stał, bez czapki, oklep,
rentre a terre,
do Topolan poleciał Zygmunt na tychmiast do Nadbuża
przybył, a kiedy Kaczyński

ze stacji podawał do Warszawy telegram, on burzę zażegnał,
płacąc od ręki

Dymowiczowi te pozycje, za które prawnik chciał i mógł
szykanować.

Działo się to przed dwoma dniami. W chwili najazdu, mała
Irenka, zostawiona bez

dozoru, usiłowała wydostać się z łóżeczka, a przechyliwszy
się na poręcz, tyłem

główki na posadzkę upadła. To wywołało silne zapalenie
mózgu, a lekarz wezwany

bezzwłocznie, z góry zapowiedział, że Bóg tylko dziecinę
uratować może.

W tej chwili Zygmunt przewidywał, jak strasznie ten grom
uderzy w Augusta, ale

radę nie było; można go na krótko opóźnić, nie podobna
usunąć.

Gdy weszli do pokoju Irenki, August zadrżał na widok
zasuniętych firanek i
zapłakanej Anieli, idącej teraz cichutko naprzeciw niemu.

Przy ząbkach podobne
ostrożności i lzy obcej przecież kobiety, nie miałyby miejsca.

— Boże mój! — zawołał biedny ojciec stłumionym głosem,
ściskając rękę Anieli —

co się tu stało? Czyż moje dziecko tak ciężko chore?

— Bóg jest nad nami, panie Auguście — zaszepotała w
odpowiedzi Aniela — On tylko

cudów dokazywać może.

— Płacz przerwał jej słowa.

Teraz już jasną była groza nieszczęścia dla biednego
człowieka. Słowa Anieli

prawie odbierały wszelką nadzieję.
August postąpił ku łóżeczku, Lubicz krok w krok szedł za
nim. Gdy ojciec rzucił
okiem na główkę Irenki, twarz wykrzywiła mu się okropną
niemą boleścią. Nie
dziwna. Dziecina leżała na wznak, nieruchomie ; szeroko
rozwarłe oczęta w słup,
tkwią w jednym punkcie uparcie, ale nie widzą. Dowód
wyraźny martwoty umysłu. Od
czasu do czasu drgnie lekko rączka, to jedna, to druga, ostatnie
ślady
konwulsji, co

dokonały już dzieła morderstwa i słabe tylko drgawki
zostawiły po sobie.
Gdzież taki ojciec, którego serce nie rozdarłoby się na dwoje
w tej chwili? To
też obecni teraz nad nim bardziej, niż nad konającą ubolewali
dzieciną. Dla niej
już aniołkowie szlak torują szeroko do nieba, het wonne
kwiaty rzucają wokoło,
aby tem uroczyściej białą jak lilja duszyczkę wprowadzić
przed Boga, a on ? On
niechaj zostanie, na boleść i rozpacz...
Nie śmiał August budzić dziecięcia w tym śnie
przedśmiertnym, ukląkł przed
łożeczkiem i ręce z bólu tak mocno załamał że się wśród ciszy
trzeszczenie kości
rozległo. Nie płakał. Łzy chować się zwykły w wielkich
nieszczęściach, bo znają

bezsilność swoją. Płacz w takiej rozpaczycy to mało, w niej dusza z żalu gore i pęka. Za ojca płakał Zygmunt, płakała Aniela, niańka i Kaczyński, który nadszedł w tej chwili.

— Trzeba wyprowadzić pana — szeptał rządca do Zygmunta — nie pomoże tu biedak, a zamęczy się.

— Chodź, Guciu — rzekł Lubicz, biorąc za ramię Augusta — pomówimy trochę. Wstań!

Nie ruszył się, nie odpowiedział, nie słuchał.

Aniela zauważyła, że oddech Irencie ustaje. Znów drgnęły rączeta. Aż wtem, martwy wzrok zmienia kierunek I spojrzało dziecko inaczej,

zdrowo, rozumnie. — Czyżby to cud zesłany, — pomyślała wraz, bo ona cudu pragnęła, wierzyła weń, możeby życie własne, za życie dziecińcy oddała.

— Tata mój, tata ! — rozległ się teraz słaby głosik Irenki.

A więc stał się cud. Toćże ona przytomna, nawet rączki ku ojcu wyciąga, a ten,

nieświadom siebie na poły, jak pijany tą chwilą, biedną głowę skwapliwie

przybliża i te rączki, szyjkę, główkę gorąco całuje.

O, piękna, błogosławiona śmierć dziecka, którego tchnienie ostatnie ulata w

serdecznych kochającego ojca uściskach !

Nie byłby nikt zdolny oderwać teraz Augusta. Zygmunt na smutną odwagę się zdobył.

— Guciu mój! Ona nie żyje — zawołał. Ale on i tego nie słyszał. Więc Zygmunt z Kaczyńskim siłą ojca unieśli, prowadząc na drugą stronę pałacu. Aniela tylko ze służbą została przy umarłej, której boski uśmiech opromienił teraz twarzyczkę. Za chwilę popędził konny posłaniec po lekarza. August zapadł w dziwny, niby kataleptyczny stan. Jak zawsze, znowu rodzeństwo spełniało piękne zadanie. Zygmunt na lekarza czekając, nie odstępował Augusta, Aniela, po długiej, z głębi

serca płynącej modlitwie za umarłych i żywych, zajęła się smutną czynnością około zimnych już, szczątków Irenki. W całym pałacu zapanowała teraz cisza grobowa, bo śmierć zawsze ma ten przywilej, a tem bardziej tu, gdzie dopuściła się grozą przejmującego bezprawia, porywając dziecinę, uśmiech domu rozkoszny, gasząc życie młodziuchne, jako jutrzenkę w samem świtaniu. Zygmunt był bardzo niespokojny o Augusta, który nieprzytomnie, z otwartymi oczyma, leżał już drugą godzinę. Na szczęście zjawił się doktor. Zaledwie nad ranem ztąd wyjechał, uprzedzając Lubicza, że dziecko nie dożyje południa, gdy więc rzucił okiem na ojca, którego zresztą znał blisko, nie potrzebował

dokonywać na nim badania. Przyczyna tego stanu była dlań
jasną. Puls tylko
z badał i rzekł:

— Wzruszenie wywołało tak silny rozstrój nerwowy, że się
nerwy zmęczyły i teraz
śpią.

— Jestże to sen w istocie? — zapytał Lubicz.

— Sen nie sen. Kochany panie. Ale byłem na to
przygotowany, i na wypadek wziąłem
z sobą lekarstwo. Tylko mam go za mało. Zaraz napiszę
receptę z którą do apteki
na wypadek posłać należy. — To rzekłszy, rzucił słów kilka
na papier i
Zygmuntowi go wręczył.

— Proszę to zaraz wysłać, a ja tymczasem z tego, co mam,
korzystać będę.

Zygmunt wyszedł, po drodze czytał pismo lekarza:

Rp.

Morphii mur.

O,

Aq. dest.

,

DS. Do wstrzykiwania

— Similia similibus gaudet, pomyślał.

* * *

Na to huśtał kołyskę, by w trumnie uśpili;
Na to jej woził lamę, żeby całun szyli

"Marja" Malczewskiego

Trzeciego dnia miał się odbyć pogrzeb Irenki. August pod opieką lekarza i Lubiczów, uspokojony bardzo, objawił wyraźne życzenie, aby nie spraszano sąsiadów. Rozgłos o rozpoczętych krokach sądowych, wreszcie plotki, w okolicy krążące o stosunku Kamilli z Wagnerem, to aż nazbyt usprawiedliwiało mizantropijne usposobienie Turskiego. O ile garnał się teraz do Lubiczów, ich ciepłego serca i życzliwej rady, o tyle nie chciał widzieć obcych, bał się ich. Wieleżbo wrażeń doznał w ostatnich dniach! Tak niedawno jeszcze zupełnie szczęśliwy, gwarem i życiem w stolicy otrząśnięty z majątkowych

kłopotów, dziś, wobec falangi strapień i hiobowych wieści, był jak ten niedźwiedź z przysłowia, gdy cały dąb, w puszczy burzą zwalony, zgruchocze mu kości. Katastrofa z Dymowiczem, to sprawa przykra, tem bardziej, że jest tylko zapowiedzią szeregu następnych — przykrzejszych. Plotki o żonie, wprawdzie kłamliwe, jednak bardzo bolesne. Jak je usunąć? jak je bodaj ukrócić? A wreszcie, czyż one nie zapuszczają jadu podejrzeń w serce męża, nawet zupełnie

ślepego, jak się wyrażono w wagonie? Z kolei, obecność
Lubiczów w Nadbużu, nie
mogła nie upokorzyć Augusta. Był jej rad; słaby, a zawsze
niesamodzielny,
skwapliwie w niej dopatrywał deski zbawienia dla siebie, czuł
jednak, ile go to
poniża, jeżeli nie w oczach samych Lubiczów, to w oczach
ludzi, Kamilli,
Wagnera. Wszystko to jeszcze nie stanowiło nieszczęścia.
Lecz śmierć Irenki, tak
nagła, niespodziewana, to już zaiste cierniowa korona
zaszłych wypadków.
Lekarz był przyjacielem domu, świadomym i nie obojętnym
na okoliczności, w
jakich znajdował się syn starych Turskich. Tacy najłatwiej
poznają stan swoich
pacjentów, widzą niebezpieczeństwo, które im grozi. Oto, dla
czego lekarz
zalecił wstrzykiwanie morfiny, tak długo, dopóki to
niebezpieczeństwo nie minie.
Przyznać trzeba, że ten narkotyk zbawiennie na Turskiego
podziałał. Nowe
wrażenia,

psychicznej czy fizycznej natury, zawsze osłabiają
dawniejsze. A gdzie na nowem
wrażeniu zależy, tam mistrzem jest morfina. Pozornie nie
czuje się pierwszych
jej wpływów. Ten gość stanowi tak cenną, acz niebezpieczną
dla nerwów zabawkę,

że one tylko same zdają się absorbować jego pierwsze wizyty,
niepodzielnie z
czuciem i wiedzą naszą. Podział uciechy przychodzi później,
kiedy się gość już
na domowego zamieni, kiedy się z nim nerwy oswoją.
Pojmował to wszystko Lubicz, a jednak nie mógł się dość
nadziwić spokojowi
Augusta. W dzień pogrzebu, zrana, długą chwilę rozmawiali z
sobą. Zygmunt unikał
kwestji drażliwych, nie wspominając o interesach, do czego
później z
konieczności przyjść miało. O Kamilli, Wagnerze, także nie
mówiono wcale. W
swoim czasie tylko radzono, czy wiadomość o śmierci do
Warszawy przesłać, lub ją
do osobistego przyjazdu Augusta zataić. Stało na tem
ostatniem; treścią
rozmowy była jedynie śmierć Irenki.
— Kosztowne jest szczęście — mówił August ze smutkiem.
— Po dniu jasnym,
słonecznym, czarna noc nastąpić musi. Byłaby radość
wszelka złem, jeżeli po
niej czeka nas boleść i rozpacz ? Bo straszny to cios stracić
dziecko kochane,
jedyne. Bolało mnie serce po zgonie rodziców, strasznie
bolało, ale powoli,
powoli ból ten łagodniał, zmniejszał się z dnia na dzień, w
końcu

minał, jak mijają sporadyczne choroby. Rodzice umierać
wszak muszą, taki
nieubłagany porządek; ale dziecina, mój Boże, jak konwalijka
pod krzakiem
paproci, tak ona przy sercu mojem, za ledwie zakwitła, a mróz
ją zwarzył i zabił.

Umarła! Jak straszne to słowo ! Jak mrozi wszelką do życia
ochotę! O, taka rana
nigdy krwawic nie przestanie, Zygmuncie.

Gdy ten miał się na odpowiedź zdobyć, weszła Aniela,
zapraszając panów do
ostatniego aktu smutnej uroczystości.

— Idźcie państwo — rzekł August — ja tam przyjdę za chwilę
— a gdy sam został,
rękę powyżej łokcia obnażył i igłą skórę przebiwszy, dozę
morfiny zastrzyknął.

Do pokoju Irenki wszedł spokojny, rzeczby można obojętny.
Stanął i wpatrzył się w
twarzyczkę zmarłej. Jakże gwałtownie śmierć zabiera się do
swojej roboty !

Zamiast malinowych rumieńców, bladość barwy woskowej,
oczęta niedawno wesołe,
żywe jak iskierki, teraz zawarte martwą powieką; rysy
wydłużone postarzałe,
jak gdyby o lat dziesięć starszej osoby.

Ktoś z obecnych ujął wieko trumienki.

— Dajcie — zawołał August z energią, — to do mnie należy.

— W oczach miał blask
silny, niezwykły.

Teraz pochylił się do ciała, krótki pocałunek złożył na czole, a
ująwszy wieko,
już miał tru-

mienkę zamykać, lecz niby coś sobie przypomniał i raz jeszcze pocałował córeczkę.

— To ci się od matki należy — wyszeptał, potem trumnę zamknął i klucz do kieszeni schował.

Gdy ktoś z obecnych znów się przybliżył — sam wyniosę — stanowczym rzekł tonem, ciężar na ramieniu złożył i pewnym krokiem ku drzwiom podążył.

Czemuż się trudzi? Czyżby mu służby zabrakło? Skąpiec nie wierzy nikomu. Skarb swój zawsze sam przenosi.

A to wynoszenie rękami ojca, nie podobało się jakiejś starej kobiecie.

— To niedobrze — mruzczała — powiadają, że zaraz nieszczęście wchodzi drugimi drzwiami.

* * *

Panna Lubiczówna po pogrzebie do Topolan wróciła.

Zygmunt dotrzymał miejsca

Augustowi, a nazajutrz zasiadł z nim przy zamkniętych drzwiach ażeby się porozumieć w interesach.

— Wkrótce po wyjeździe waszym do Warszawy — mówił — słysząc, że tu się u ciebie źle dzieje, pojechałem do Lublina w celu zasięgnięcia rady adwokata Kalińskiego.

Wiesz, jak jest mnie i tobie życzliwy. Nie poczytujże
Kaczyńskiemu za
niedyskrecję, że mi dostarczył

ścisłych danych i cyfr, odnośnie do twych zobowiązań
prywatnych. Chcąc stan
rzeczy Kalińskiemu przedstawić, musiałem się z tem obeznać.
— Dowód twojej wielkiej dobroci, panie Zygmuncie, na którą,
sam wiesz najlepiej,
nie zasłużyłem...

— Zostawmy to. Rzeczy poszły naturalnym biegiem:
młodość, niedoświadczenie,
najczęściej błędzą. Nie potępiałem cię nigdy, żałowałem
raczej.

— Jak wy jesteście poczciwi oboje!

— Otóż, pragnę ci zakomunikować opinię Kalińskiego o tych
interesach. Nadbuże
uratować można i uratujemy je...

— Sprzedają lasu?

— Na teraz nie. Zbadałem tę sprawę. Chłopi są obalamuceni
podszeptami złych
ludzi, o których tak łatwo i dziś nie doszedłbyś z nimi do ładu.

— Jakież jest inny ratunek? Może Jodłów?

— To rzeczy odległe, trudne i skomplikowane.

— A więc?

— Subhastacja Nadbuża i sprzedaż przez licytację odbyć się
muszą.

— Nie rozumiem, wszakże o ratunku słyszałem?

— Właśnie. To jedyna droga; inaczej nie uporałbyś się nigdy z
twymi prywatnymi
długami,

które jednak wraz z sumą Dymowicza, wartość Nadbuża przynoszą. Posłuchaj, nie mam na myśli ani szczególnego dobrodziejstwa, ani też tem mniej darowizny, że jednak dla braku środków sam z trudności nie wybrniesz, a sprzedaż lasu tak szybka, zwłaszcza, wobec zajęcia sądowego jest niewykonalną, przeto ja, a zarówno i moja siostra, postanowiliśmy wspólnymi siłami udzielić ci pożyczki.

— To być nie może — przerwał August.

— To być musi, Guciu, pozwól mi skończyć. Nie sądz, że mamy zamiar ryzykować tak znaczny kapitał; bynajmniej, my go zawsze w ręku mieć będziemy, wraz z piątym od niego procentem. Na licytacji kupimy Nadbuże, podstawiając zaufaną osobę, którą znaleźć nie trudno. Z góry zastrzegam, że nie mówię tu o działaniu na szkodę twych wierzycieli, przeciwnie, zapłacimy ich wszystkich powoli, wytrącając im tylko lichwiarską broń z ręki. Kapitał mój i mojej siostry, zostanie zabezpieczony w miejscu spłaconego Dymowicza, a potem, kiedyś, nie nagłą, a więc korzystniejszą sprzedażą lasu, łatwiej pokryć zdołamy naszą sumę i innych prywatnych wierzycieli.

Czy ja wart jestem podobnej ofiary z waszej strony?

Sam widzisz, że nie ma tu żadnej ofiary, trochę trudu, który
ponieść przecie
warto, ażeby

uratować dla ciebie fortunę, dziś wymykającą się w niegodne
ręce Dymowicza. No,

Guciu, cóż myślisz o takim projekcie?

— Panie Zygmuncie — rzekł po chwili namysłu August —
mnie nie wolno mieć głosu w

mojej własnej sprawie. Zdałem już egzamin niedołęztwa,
wynikłego z

niedoświadczenia. jak sam powiedziałaś. Gdybym był sam,
gdybym nie miał

obowiązków żadnych, wówczas nieprzyjąłbym waszej
pomocy, szukałbym jakichkolwiek

innych sposobów, boć nie godzi mi się obarczać was memi
sprawami, was, którzy...

Zamilkł Turski i oczy rękami zasłonił.

— Stare rachunki nasze dawno załatwione, zapomniane —
mówił Lubicz, obejmując

ramieniem Augusta — zapewniam cię, ani ja, ani Aniela, nie
mieliśmy żalu do

ciebie. Uniosła cię miłość, a ona wiele tłumaczy.

Wstał teraz Turski i rękę do Lubicza wyciągnął.

— Dziękuję ci, żeś mnie zrozumiał. Miłość, o tak, panie
Zygmuncie, tylko wielka

miłość, którą żywiłem i żywię dotychczas dla mojej Kamilli,
sprawiła, żeś cię

tak ciężko obraził.

— Nie mówmy o tem. Wszystko to wzrusza cię, a tobie
spokoju potrzeba.

— Jestem przecie spokojny. Lekarstwo, które mi lekarz zapisał, cudowne. Każde jego użycie, rozwidnia myśl moją, koi ból w sercu,

dziwnej, niepojętej otuchy dodaje. Wielką jest nauka, mająca podobne środki na swoje usługi.

— Nie trzeba jednak nadużywać ich. Morfina pobudza nerwy na razie, ale je z czasem zabija. Jeszcze raz, jeszcze dwa, potem ją musisz zarzucić.

— A więc wracam do mojej miłości panie Zygmuncie. Czy wierzysz, że chcą mi ją wydrzeć?

— Jakto, dla czego ?

— Bo mi jej może zazdroszczą. Zli ludzie przecież tak lubią zbrzydzać, co piękne, bezcześcić co święte, unicestwiać wielkie.

— Nie rozumiem cię, Augustcie.

— Wszak i pan może słyszałeś ? W okolicy opowiadają, że moja żona... a, wstręt bierze wymówić... że mi jest niewierną. Powiedz, zaklinam cię, czy i ciebie doszła ta potwarz?

Turski patrzył bystro w oczy Zygmunta. Ten nie chciał kłamać. Słowa Kaczyńskiego przyszły mu na pamięć.

— Tak jest, mówiono mi o tem.

— Kto mówił? Na Boga, powiedz, kto śmiał stworzyć bajkę równie potworną? Ja wiedzieć to muszę, dojdę źródła i potwarcę ukarzę.

— Pojmuję, Guciu, gniew i oburzenie twoje, chciej jednak zastanowić się, że to gniew daremny, bezsilny. Kto mówił? Chcesz wiedzieć? A więc ci powiem, że mówią wszyscy, a świata

ust nikt zamknąć nie zdoła! Dochodzić prawdy, rozgłaszać rzecz, znaczyłoby tyle, co się do winy przyznawać. Qui s'excuse, s'accuse, znasz dobrze przysłowie.

— Mamże więc pozwolić kłaść bezkarnie dobrą sławę uczciwej kobiety, szarpać niegodnie mój honor, patrzeć obojętnie, jak świat nizki i podły, depce po moich najpiękniejszych uczuciach? Wolnoż to człowiekowi? wolnoż mężowi? — unosił się

August.

Może nie pora była nasuwać Turskiemu podejrzenia, Lubicz jednak, ufny w pomoc morfiny, postanowił głębiej dotknąć tej sprawy, niby z daleka pokazać stromą, niebezpieczną drogę? którą przebywać mu przyjdzie, wcześniej lub później.

— Nie ze światem trzeba ci, Gruciu, wojować — mówił spokojnie — zły ten lekarz, który nie godzi w samą przyczynę choroby...

— Jaktó, pan sądziłbyś...? — przerwał August.

— Ja sądzę, mój Guciu, że nic, nawet plotka, nie zrodzi się bez dania do tego mniej lub więcej słusznych pozorów. Znasz zapewne niejedną żonę, której nigdy

nie wzięto za przedmiot podobnych opowiadań, mimo, że
patrzyli na nią ludzie
dobrzy i źli, zacni i nikczemni. Bo tam nie było pozorów.
Oszczerstwo jednego
człowieka, jest zawsze tylko oszczerstwem; jako ta-

kie, ani naszego gniewu, ani prawie wymiaru sprawiedliwości
nie warte; ale
opinia, ta na innych gruntuje się podstawach, z nią też inaczej
liczyć się
trzeba.

— Z tego wnosić powinienem, panie Zygmuncie, że sam
może dajesz wiarę tej
opinii, jak ją nazywasz?

Milczał Zygmunt przez chwilę.

— Wiesz, Guciu, że lekkomyślnie ludzi nie sądzę. W
Nadbużu jestem po raz
pierwszy, od czasu kiedy się ożeniłeś, mogę więc tylko
wnioskować nie z
obserwacji, a raczej z wieści krążących, którym wreszcie
oboje z siostrą
podajemy ucho zawsze niechętnie. Nie poruszyłbym tej
sprawy, bardzo drażliwej,
sam wszakże ją wszcząłeś. Tak częste, bezustanne
przebywanie w domu waszym p.
Wagnera, ileż razy pod dłuższą nieobecność twoją, całe
wieczory spędzane we
dwoje, kiedy ty w tej lub tamtej stronie ujadasz się z
wierzycielami, te długie
i odległe konne przejażdżki, czyż to nie wystarcza dla złych
języków?

— Mogłem-że pozbawić żonę jedyne go towarzystwa,
zamknąć ją i skazać na samotność
i nudy?

— Kobieta, mój drogi, w domu nie powinna się nudzić;
siostrze mojej zawsze brak
czasu, mimo, że nie kręci się bezmyślnie. Cóż mówić o matce.

— Wychowanie Kamilli nie nadaje się do wielu zajęć.

— A więc mąż ją ku nim naprowadzić powinien, a żona
kochająca na wszystko
naprowadzać się pozwala. Pojmuję rozrywkę po pracy, nie
uznaje wszakże życia,
zamienionego w bezustanną rozrywkę, która w końcu cczą i
nudną się staje. To
ludzi razi. Czy wiesz, kto tu jest pierwszym oskarżycielem?

— Któż taki ? — zerwał się August.

— Oto nadbużańscy chłopci, oto twoi parobcy, cała służba
domowa.

— Niepodobna.

— Zawsze się od tego zaczyna, mój Guciu; lud ten jest
ciemny, ale moralny; jego
etyka nie na filozofii, a raczej na religji oparta, nie niższa od
naszej.

— Co począć, panie Zygmun cie? — zawołał teraz Turski,
nigdy sam sobie radzić nie
zwykły.

— Przedewszystkiem zwrócić rozsądnie uwagę żony, ostudzić
stosunek z p.

Wagnerem, jeżeli nie pomówić z nim otwarcie, a z czasem,
powoli, i ludzie
szemrać przestaną, gdy im pozorów zabraknie.

Chwilę jeszcze obrabiano ten temat, aż w końcu August,
uspokojony ciepłem,
rozumnym, słowem Zygmunta, oświadczył temuż gotowość
wprowadzenia rdzennych
zmian w ustroju swego

domu i w stosunku z pięknym sąsiadem z Tężyna.
— O postanowieniu naszym co do Nadbuża — mówił znów
Lubicz — nie wspominaj
nikomu. Dymowicz jest groźnym nieprzyjacielem, a więc tej
taktyki znać nie
powinien; któż zaręczy, że w ten lub inny sposób, nie będzie
nam bruździł?

— Naturalnie.

— Jest do życzenia, ażeby licytacja odbyła się jak najprędzej,
a Dymowicz,
odkrywszy plany, może umyślnie działać na zwłokę.
Niezbadane są sztuczki
podobnych ludzi.

— A więc to między nami zostanie.

VII.

Rzadko wprawdzie stosowaną w praktyce, niemniej znaną jest
zasada ludzi, którzy
uwodzenie kobiet zaliczają do rzędu sportów: Gdy ją gonisz,
ucieka, uciekaj więc
sam a wnet gonić cię będzie.
Jest-li to sofizmat, czy axiomat, o to owych doświadczonych
sportmanów zapytać

należy.

Hrabia Juliusz Podborski, był niezawodnie kompetentnym w tym względzie. Piękny, młody mężczyzna, wytworny na wszystkie sposoby, ozdoba salonów, dusza męskich zebrań, cieszył się powszechnym uznaniem, że żadna kobieta oprzeć mu się nie zdoła. On to właśnie rządził się powyższą zasadą. Gdy poznał kobietę, godną jego uwagi, umyślnie lekceważył, niby zaniedbywał ją, tem więcej, im bardziej wpadła mu w oko. Twierdził, że nie pamięta wypadku, ażeby go ten system nie zaprowadził do celu. I wówczas istotnie, wszystkie te panie, późniejsze ofiary hra-

biego wyczekiwały chwili, ażeby mu skwapliwie okazać swą łaskę, a lekką wymówkę za ignorowanie uczynić. Forma takich wymówek stereotypowa: vous etes pensif, cher comte, on dirait, vous n'y etes pas. Albo : karty pana tyle zajmują, że nie widzimy go w salonie; wreszcie najbanalniejsza: wszak prawda, że pani X. jest zachwycającą?

Ile razy kobieta pyta mężczyzny, co myśli o drugiej kobiecie, zawsze to dowodzi, że sama rada komplement usłyszeć. Zaraz w początkach pobytu Turskich w Warszawie, Podborski zauważył Kamillę.

Nawet tak zepsutego smaku donżuan, lew głośnej w mieście
sławy, uznał
niepospolitą piękność i wielki powab w tej parafiance, jak się
wyraził. To też
przedstawiony pani i małżonkowi, chętnie wszedł z niemi w
znajomość, a już
pierwsze słowa Kamilli wywarły na nim bynajmniej nie
parafianki wrażenie.
Zrozumiał odrazu, na jakim polu działać mu przyjdzie. Im
grubszy zwierz, tem
ostrożniej trzeba na niego czatować : sława i piękne futerko,
trudy opłacą.
W towarzystwie na raucie, ograniczył się do kilku słów o
pogodzie i deszczu.
Podczas krótko trwającej wizyty u Turskich, wspomniał o
paru pięknościach,
bawiących współcześnie w Warszawie, unosząc się nad
oczami jednej, a figurą
drugiej, żadnej jednak nie oddał pierw-

szeństwa. Trzeci raz, na koncercie, poprzestał na ukłonie, a na
zabawie z
tańcami u państwa Z, posunął się dalej : flirtował na prawo i
lewo, jak z rogu
obfitości, czarujące słówka damom rzucał do koła, a do
Kamilli nie zbliżał się,
zachowując tylko ścisłą formę grzeczności. Jednak, mając ją
zawsze na oku,
widział, że system z dnia na dzień prowadzi go coraz dalej do
celu. Augustowa

nie mogła utaić niezadowolenia, jakie wywoływało w niej zachowanie się hrabiego.

Wszakże przywykła królować nad każdym mężczyzną. Tu pierwszy raz doznała zawodu, nie wiedząc ślepotą-li, czy brakiem smaku, ma go sobie tłómaczyć. Zmysłem arcy-subtelnym, odgadywał hrabia to stadium kobiecej słabości, i pierwszy szturm przypuścić zamierzał. Nie wątpił, że imponował Kamilli, i nie mylił się.

Jeszcze na kilka dni przed wyjazdem Turskiego z Warszawy, hrabia wysiadał z karety na Mazowieckiej, w godzinie, jak na południową wizytę, cokolwiek spóźnionej.

— Są państwo? — pytał lokaja.

— Pani sama w domu. Pan przed chwilą wyszedł.

— Zamelduj mnie — i kartę podał.

— Pani prosi — rzekł lokaj, otwierając drzwi salonu.

— Rzadki i dla tego mało spodziewany gość z pana — rzekła Turska i krzesło wskazała.

— Mamże to sobie tłómaczyć, że przybywam nie w porę?

— Pod nieobecność męża, nie byłabym pana przyjęła.

— All right — pomyślał hrabia Juliusz.— Idziemy ściśle podług programu. Odpinał

lewą rękawiczkę, postawiwszy na posadzce kapelusz.

— Oczom swoim nie wierzę — zawołała, Augustowa niby zdziwiona — zdejmujesz pan rękawiczkę ?

Wzrokiem Podborski okazał, że nie rozumie pytania.

— Naturalnie, sądziłam, że znalazłeś, hrabio, tylko pięć minut dla mnie, z

których dwie już upłynęło. Vous, qui êtes telletnent surcharge...

— Jeżeli to wymówka, to niesprawiedliwa; towarzystwo pani stawiałbym zawsze wyżej nad każde inne.

— Miałam jednak niejedną sposobność przekonania się, że każde inne stawiałeś pan dotychczas wyżej nad moje.

— Niezupełnie moja w tem wina. Bywają fortece...

— A, chciałbyś pan mnie zdobywać?

— Gdybym tylko miał widoki zdobycia...

— C'est beaucoup dire, pan jesteś śmiały.

— Tak mówią o mnie. Dwa przysłowia, wprost przeciwnej treści, istnieją o śmiałych, jedno z nich łacińskie...

— Wiem o obydwóch, ale jako Polak, uznajesz pan nasze zapewne?

— Przeciwnie, pani, uwielbiam starożytną rycerskość, a z nią i romańskie idee.

— I stosujesz je w życiu?

— Zawsze.

— Czy równie zawsze bez szwanku?

— Niezawodnie; biegły żołnierz nie rozpoczyna potrzeby, jak ją nazywali przodkowie nasi, nie będąc pewnym zwycięstwa.

— Historia twierdzi częstokroć inaczej, najwięksi przegrywali sprawy.

— O ile ich oślepiło powodzenie, a ztąd trawiła żądza sławy, gorączka; który jednak miał nie sławę, ale pożytek na celu, działał zimno, z. rozważą...

— Brawo, panie hrabio, oto szczyt pozytywizmu...

— Który też dzisiaj, z realizmem pod rękę, oświeca drogi nasze, jak księżyc, kiedy się zbliża do pełni.

— Ale a propos fortecy ?

— Tak pani, nie cofam wyrażenia. Pomijając jej naturalne warunki obronne, w osobie p. Turskiego...

— To porównanie przypomina mi tendencję francuzkiego pisarza nie zawsze mylną: małżeństwo — twierdzi on — jest obleżoną fortecą.

Oblegający usiłują wejść do niej, obleżeni pragną się z niej wydostać.

— A... pani? — zapytał Juliusz, patrząc z pod oka. — byłażbyś skłonna wywiesić białą chorągiew?

— Nie oblegano mnie, hrabio. A więc mówiłeś, że pomijając?

— C'est cela. Wszakże otaczasz się palisadą, w drugiej osobie nieodstępного

sąsiada. W istocie piękny mężczyzna i... très comme il faut.

— Ah, sądziłam, że coś groźniejszego usłyszę. To tylko pozory. Nie liczę się serjo z p. Wagnerem.

— Czyż może nie liczyć się kobieta tej piękności...

— Panie! — Kamilla pochyliła głowę.

— Z uwielbiającym ją widocznie takim jak pan Wagner
człowiekiem?

— Bywają uwielbienia, które nas nudzą tylko.

— A więc lepiej à tout jamais uwolnić się od nich.

— Na wsi grywamy w bezika. Nie byłoby partji kiedy
proboszcz na nieszpory
odchodzi.

Bezładna ta i bez treści na pozór rozmowa, zdawała się
upoważniać hrabiego do
kroków zaczepnych. W dalszej też wzajemnej szermierce, dał
jasno do zrozumienia,
że nie jest zwolennikiem idylli, że życie pojmuje realnie, a
trubadur

i serenady przy blasku księżyca, nudzą go nawet na scenie.

Zachwycona podobnem

wyznaniem wiary Kamilla, w obawie zrażenia sobie adoratora,
który "nawykł się

spieszyć", w możliwie oględnych słowach dała mu poznać, że
jeszcze w panińskich

czasach, nie miała pociągu do niemieckiego języka — i
platonizmu.

Nadejście Wagnera, przerwało rozmowę, trwającą już długą
chwilę.

Ludzie, a zwłaszcza płci różnej, mający do siebie interes,
którego treści nie

podobna jasno, jak na dłoni wyłożyć, tracą wiele czasu na
krążenie dokoła, zanim

się w zamienionym punkcie spotkają. Gdy pierwsze lody raz
przełamane, już

następne porozumienie bywa treściwsze; przy trzecim, zależnie od temperamentu, najdalej przy czwartym spotkaniu, przestaje być do obwijania potrzebną bawełna, albowiem, przystępuje się odrazu — in medias res. Taki porządek układał w głowie hrabia, żegnając panią i Wagnera, który zwietrzył w nim wilka, na teraz odpędzonego od owczarni. Szło tylko o to, czy i kiedy powróci.

— Cóż znaczy ta wizyta o tak spóźnionej porze? — pytał Wagner Kamilli, gdy sami zostali.

— A, kuratela panie Wagner, jak widzę? — odrzekła z odcieniem ironii.

— Albo pan Podborski za późno składa wizyty, albo je nieetykietalnie przeciąga.

— Skończył wizytę w chwili, kiedy pan zaczynasz, a wszakże wszyscy mają równe prawa w salonie.

— To dowodzi, że i ja w niewłaściwej porze przychodzę, że ci wreszcie, którzy cię widzą po raz drugi, czy trzeci zaledwie, już zdobyli przywileje te same.

— A, tłómacz to sobie, jak chcesz, a jeśli mnie teroryzować zamierzasz, to wierzaj mi, trud twój daremny, co najmniej, o wiele zawczesny.

— Sądziłem, że ten, który cię kocha, ma pewne prawo interesować się otoczeniem

twojem, a pan Podborski...

— Jakież zarzuty?

— Ma ustaloną opinię pod względem lekceważenia kobiet.

— Nie zauważyłam tego. Tem bardziej pragnę go poznać.

Lubię takich, bo i ja

lekceważyć potrafię.

— Czy to groźba przeciw mnie?

— Być może. Zależy od ciebie samego.

— Jak widzę, Warszawa nie najlepiej usposabia panią. Ta

odrobina łaski, którą

sobie przez lata całe wywalczyć zdołałem, która mi się

cokolwiek może należy...

— O?!

— To wszystko tu, jak pogoda marcowa...

Kamilla usłyszała głos męża za drzwiami. Pora obiadowa nadeszła.

— Nie bądź banalnym — ciszej rzekła do Wagnera. — Sceny

zazdrości co najmniej

nudne, tem bardziej, jeśli się do nich nie ma jeszcze prawa.

Później może...

— Będę więc czekał — rzekł Wagner, kiedy August do salonu wchodził.

* * *

Podborski nie zasypiał sprawy. Partja, którą postanowił

rozegrać, obiecywała być

interesująca wobec stawki, tak bardzo ponętnej. Po owej

wizycie, nastąpiła druga

i trzecia, nie licząc paru spotkań w towarzystwach, o co w Warszawie nie trudno.

Teraz już hrabia o powodzeniu nie wątpił, czekając tylko na sposobność, którą —

był pewnym — Kamilla sama nastreczy. I tak się stało. W kilka dni, po nagłym

wyjeździe Turskiego z Warszawy, uprzedziła Wagnera, że cały dzień przepędzi w

mieście za sprawami toalety, a kiedy tenże objawił wyraźne niezadowolenie z

powodu odprawy, w chwili tak na sam-na-sam dogodnej,

zaprosiła go na wieczorną

herbatę.

W ciągu dnia zjawił się hrabia. Tym razem była obecna Laura, nie pożądana na

pozór. Tak sądził przynajmniej Podborski. Mówiono o tem i owem, aż wreszcie

Laura siadła do fortepianu

— Jeżeli chcesz mi sprawić ucztę prawdziwą — rzekła

Kamilla — zaśpiewaj "Ona się

śmiała" Troszła. Przepadam za tem.

Skrzywił się nieznacznie hrabia. Nie jemu zachwycać się śpiewem dyletantki, w

salonie pięknej kobiety, w nieobecności jej męża.

Śpiewałabym chętnie, moja droga — odparła Laura — ale nie umiem akompaniamentu

na pamięć. Jest bardzo trudny.

— Jakaż szkoda — z dobrze udanym żalem mówiła Kamilla.

— A tak się na to

cieszyłam.

— Nic prostszego, jak temu zaradzić. Zaproponuj twemu gościowi, aby nam towarzyszył, i przejedźmy się do mnie. Mój fortepian nie gorszy.

— Jestem na rozkazy pań — wtrącił hrabia.

— Masz zupełnie nowe i niezłe pomysły — dodała Kamilla

— J'y suis volontiers.

— Czyżbym zgadywał ? — myślał teraz Podborski.

Nie zadługo potem, te same trzy osoby rozmawiały w wytwornym saloniku Laury.

— Jakkolwiek nie pora po temu — mówiła pani domu — jednak proponuję państwu kieliszek Roederera. Improwizacja naszej wycieczki, usprawiedliwia tę propozycję, wszak prawda?

— A więc bądźmi oryginalni — rzekła Kamilla, uderzając akord i przechodząc zeń, niby od niechcienia, w fantazyjną ruladę.

— Co do mnie — odezwał się zachwycony otoczeniem i chwilą Podborski — gotów jestem pić nawet atrament, gdyby to paniom sprawić miało przyjemność.

— A więc niech żyje piękna harmonia! — zawołała Laura i wybiegła dla dania rozkazów.

Wpatrzony hrabia w uroczą postać Kamilli, z wdziękiem przebiegającej białemi rączkami po klawiaturze, nie dostrzegł, że Laura wychodząc, porwała z biureczka kopertę i pióro, które umoczyła w kałamarzu.

Prześliczny był ten apartamencik Laury. Człowiek wybredny a
dobrego smaku,
mógłby tu nie jedno podziwiać. Sybaryta widzi mebelki mięko
usłane, otomany na
wschodni sposób, zdające się uprzejmie strudzonego do siebie
zapraszać. Muzyk
słyszy znakomity instrument, rzeźbiarz, malarz i każdy inny
lubownik sztuki, gdy
okiem rzuci, arcydzieła dopatrzy. Ciężkie u okien kotary,
regulują światło do
owych półcieni, tak pożądanych u ludzi, których jedyną pracą
jest próżnowanie.
Nawet powietrze zaprawiono tu dziwnym balsamem, co niby
narkotykiem nerwy podnieca,
skłania do marzeń, wyznań, uniesień miłosnych.

Hrabia był ciekawy, na czym się wycieczka skończy. Zbyt
wytrawny, nic mógł nie
dostrzedz dwuznaczności tego przybytku i jego bogini, o
sztucznych zębach i
podobnych kolorach. Nie dziwił się jednak. Tyle już widział w
swem niedługim
życiu.

W mieszkaniu Laury daremnie szukałbyś ciotki staruszki, o
której w swoim czasie
Turskiemu mówiono. Był to mit tylko, zarówno jak i ów
spadek półmilionowy, przez
Laure oczekiwany. Mieszkała sama, z zaufaną subretką. W
pewnej porze dnia, nie
codziennie, przed bramą domu zatrzymywała się kareta o
oknach szczelnie

zasłoniętych firankami, zapewne od słońca. Ostrożnie, powoli,
opierając się na
lasce, wysiadał z niej pan, na pozór w sile wieku mężczyzna, a
starzec dla tych
co mu się zbliżka przyjrżeli. Wstępował cicho i a schody,
drzwi kluczykiem
werthejmowskim otwierał, do dwóch godzin w mieszkaniu
zostawał, po czym, wracał
tym samym porządkiem. Stróż domu, gdyby go zapytano,
wsuwając w rękę monetę,
powiedziałyby, że ten bogaty pan przyjeżdża tu od kilku lat.
Czy i Kamilla o nim wiedziała? To zgadnąć trudno.
— Na cześć życia i miłości! — rzekła Laura podnosząc czarę
złotawego płynu,
pryskającego właśnie iskrami gazu, niby życiem w kwiecie.

— Ależ to jedyna kobietka: — Juliusz pomyślał.
Spełniono toast do dna, jak sandomierskie "kochajmy się".
— A teraz śpiewaj, Lauro — mówiła Kamilla, zasiadając się
tak głęboko na
otomanie, że zgrabne pantofelki ukazały pełny swój wdzięk
oczom hrabiego. Tenże
uprzejmym zaproszony gestem, siadł przy niej bliźutko.
W istocie pięknym kontr - altem zanuciła Laura:
"Chował się chłopiec, chował z dziewczyną,
Po jednej łące razem płasali"
Pieśnią bez słów wtórowano jej na otomanie. Jakże urocze
motto w czarnem,
błyszczącym oku Kamilli! Misterny akompaniament w jej
cieplej rączce, którą
całować i pieścić pozwala hrabiemu.

W chwili, kiedy dziewczyna "na trumnę Janka garść ziemi już posypała", gdy
nakoniec obłąkana "rankiem się śmiała, wieczór płakała",
weszła subretka z
listem w ręku.

— To prawdziwa fatalność — rzekła Laura, rzuciwszy okiem na papier.

— O' est ce qu' il y a? — zapytała podnosząc się Kamilla.

— Ah wiesz, Żaneta, moja droga Żaneta zasłała.

— O, biedna.

— Ale nie krepujcie się państwo bynajmniej. Pojadę do niej. a za pół godziny wrócę. Przypuszczam, że tam niema nic złego. Żaneta lubi się pieścić.

Wstał teraz Juliusz i niby szukał kapelusza. Tak wypadło.

— Zostawiam hrabiemu Kamillę pod jego wyłączną opieką. Proszę ją bawić.

— Zachwyca mnie ten obowiązek tak słodki, nie wiem wszakże, czy pani..? — i zwrócił się do Kamilli...

— Jeżeli wrócisz Lauro za pół godziny...

— Niezawodnie, sauf, cotmmede raison, gdyby Żaneta była istotnie bardzo chora.

Jeżeli za pół godziny nie przyjadę, to znaczy..

— A więc spiesz się moja droga.

— Za wyzdrowienie Żanety! — zawołała Laura, a gdy znów wychylono kieliszki — à tout à l'heure — dodała, przesyłając ręką całusa, i za kotarą znikła.

— Że ta nie wróci, to pewne — wnioskował teraz Juliusz.

.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....

— Daj mi słowo, że przyjedziesz do Nadbuża — mówiła Augustowa do Podborskiego, trzymając ręce na jego ramionach....

— Ależ najchętniej, pojmujesz jednak, że mnie twój mąż zaprosić powinien.

— To najłatwiejsze, tylko musisz mnie uprzedzić o twoim przyjeździe.

— Czyż korespondencja bezpieczna ?

— Przyszlesz mi telegram w imieniu na przykład Laury, treści, treści... n'

importe, ułożymy to.

— Doskonale.

— A ja, wiedząc kilku dniami wcześniej, tak rzeczy urzędę, że mój pan małżonek

w tym samym czasie będzie załatwiał swoje sprawy w Lublinie.

— kwietny projekt. Ale napij się wina, to ci dobrze zrobi — przyczem Juliusz

nachylał własny kieliszek do ust Kamilli, która napój sączyła zgorączkowanymi wargami.

Druga już butelka, zostawiona na tacy przez przezorną Laure, ku końcowi się

miała.

— O, gdybyś nie przyjechał Juliuszu, znienawidziłabym cię.

— Przyjadę.

— Mówią o tobie, żeś niestały, że tylko przez ciekawość
bałamucisz kobiety. Czy
to prawda?

— A wiesz kto to mówi ? Oto te, które mi się narzuciły same,
a do których nie
było po co powracać. Tylko arcydzieła należy odczytywać

powtórnie, studjować wreszcie. Ty jesteś arcydziełem
Kamillo.

— Więc studjuj mnie, mój drogi. Ah Juliuszu, jak piękne jest
życie, jak piękną
miłość, a ja nie znałam jej dotychczas.

— A teraz? - zapytał hrabia, patrząc jej w oczy.

— Jakichże chcesz jeszcze dowodów ? Jam prawie szalona,
drzę na myśl samą, by
ciebie nie stracić — i w uniesieniu namiętnem, rzuciła się
znowu w jego objęcia.

— Bardzo spóźniona pora — mówił po chwili Podborski,
patrząc na zegarek. Nie o
mnie, ale o ciebie mi idzie Kamillo.

— Tak, czas wielki wracać do domu — odparła, podnosząc
się i zręcznie ręką
układając włosy. Na dywanie, pod otomaną leżała koperta.
Podniósł ją hrabia. —

To twój list zapewne — rzekł i podał Kamilli.

— A, list od mojej matki, wręczono mi go w chwili wyjazdu z
domu. Nie miałam

czasu przeczytać, pozwól że przejrzę. — To mówiąc rozdarła kopertę i wyjęła papier, z którego wypadła fotografia. Podniósł ją Juliusz, a rzuciwszy okiem — jakież prześliczne dziecko! — zawołał.
— To moja córeczka — objaśniła Kamilla, spojrzawszy hrabiemu przez ramię.
— Do ciebie podobna. Te same oczy cudowne.

— Ale dla czegoż mi ją matka przysyła? — i pismo przebiegała wzrokiem.
Juliusz zapalając cygaro, nie patrzył na Kamillę. Gdy się odwrócił, — co to jest? co ci się stało? zawołał, a zanim podejść zdążył, ona, jak gdyby chciała raz i drugi chwycić powietrze płucami, potem konwulsyjnie rękę przycisnęła do serca, zatoczyła się i padła na dywan.
— Masz tragedję w komedji, tego nie lubię— szepnął Juliusz do siebie, a nie znajdując innego środka pod ręką, z kieliszkiem Roederera, na ratunek zemdlonej kochanki pospieszył.
Pani Zahorska, otrzymawszy wiadomość przez Lublin, przysyłała córce słowa pociechy po stracie Irenki, wraz z prośbą, aby z fotografii wnuczki, helio-miniaturę dla babki zrobiono.

VIII.

Niezapomniał Wagner o herbacie u Augu-stowy; przeciwnie, stawił się o właściwej porze na Mazowieckiej, licząc, że dzień ten będzie może stanowił erę, w przeciągającej się historii jego romansu z Kamillą. Była ona w jego mniemaniu narwana, jak nazywają powszechnie podobne usposobienia, w ciągu każdej godziny zmieniała humor, nie mniej jednak stosunek ten nabrał przez czas tyle i tak dawnej zażyłości, a poufałej formy, że Wagner miał wszelkie prawo nie wątpić o urzeczywistnieniu swych wytrwałych zachodów. Zimny, jak on, a rachunkiem tylko rządzący się człowiek, dawno byłby wszystkiego zaniechał, gdyby nie podkład materialnej natury, na wspólnie z Dymowiczem oparty. Ta spółka była dlań głównym czynnikiem zżycia się z Augustem, którego piękna żona stanowić miała

w czystym zysku przychodzącą zabawkę, niby obrywek przy interesie.

Nieobecność Kamilli zadziwiła Ireneusza. Rozmyślając, gdzie może się o tej porze znajdować, przerzucał kartki książki, znalezionej w salonie. Po długiej chwili wezwał i rozpytywał lokaja. Od niego dowiedział się że w ciągu dnia był z wizytą

hrabia Podborski i że równocześnie z jego odejściem, pani z panią Laurą wyjechały z domu; same czy razem z hrabią, lokaj nie mógł objaśnić.

Nasuwających się podejrzeń nie chciał brać Wagner na serjo. Nie cnota Kamilli w jego oczach tłumaczyć ją miała, przypuszczał raczej, z siebie przykład biorąc, że hrabiemu również na tryumfy długo oczekiwać przyjdzie. Zadzwoniono.

— Powraca — rzekł Wagner do siebie, po chwili jednak głos męski za drzwiami usłyszał, poczem, niespodziewany, bo bez uprzedzenia, zjawił się August.

— A nie myślałem, że tak szybko powrócisz — mówił Wagner do Augusta, który go witał chłodno.

— Niestety, i ja wielu rzeczy nie spodziewałem się — odparł tenże, a jednak...

— Coż się stało? Czyżby ci tak źle poszło i adwokatem?

— To sprawa mniejszej wagi. A gdzie Kamilla?

Nie umiał Wagner objaśnić. Dziwiły go słowa i zachowaniu się Augusta.

— Może to lepiej, że nie spotykam jej na wstępie. Ty nic wiesz że Irenka nie żyje.

Nastąpiły wykrzykniki, ubolewania pytania i odpowiedzi Wagner, jak każdy w tym razie, a on tak zimny tem bardziej, nie na wiele słów zdobył się, wprost nie

umiał ich treści dostroić do chwili. Słuchał też, a August opowiadał szczegóły.

— Co powiem żonie? — mówił -- jak ją do tego ciosu przygotować zdołam?

Zawiadamiać nie miałem odwagi, ale dłużej taić niepodobna. Daremnie czekał rady przyjaciela. Ten jej nie znajdował.

— Jak sądzisz — pytał Turski na zegarek patrząc gdzie Kamilla być może?

Jedenasta minęła.

— Trudno zgadnąć. Prosiła mnie na herbatę i dla tego zastałeś mnie tutaj.

Służący mówił mi, że z Laurą wyjechały razem.

— Czyżby u niej została?

— Zapewne o mnie zapomnieć mogła. Wrócono do dawnych rzeczy, do choroby dziecka, spraw nadbużańskich. Nie mógł Turski zamilczeć o spotkaniu się z Lubiczem, jak również i o zapłaceniu Dymowiczowi kwot pe-

wnych, nie wspomniał jednak o dalszych planach, jak to Zygmuntowi przyrzekł.

Myśl zaprzątnięta czem innym, nie pozwoliła mu zauważyć wrażenia, jakie

wiadomość o współdziałaniu Lubicza na Wagnerze wywarła.

Ten wszakże nie uznawał

chwili za właściwą do poruszania tej kwestji, tem bardziej, że August, od czasu

do czasu dobywając zegarka, niepokoił się coraz więcej.

— Jutro — mówił wreszcie — pragnąłbym z tobą obszernie pomówić.

Jakkolwiek niezwykle było zachowanie Turskiego z Wagnerem, przymusem czy chłodem nacechowane, tenże brał je na karb smutku, tak łatwo usprawiedliwionego u ojca po stracie dziecka.

— Nie pojmuję tego - rzekł znowu August — już po północy.

— Przypuszczając tylko można, że twoja żona dała się Laurze nakłonić i u niej na noc została. Nie słyszałem o żadnym projekcie, o jakiejś wizycie lub zebraniu.

Na które zresztą nie udałaby się bezemnie. Obawiam się jakiegoś nadzwyczajnego

wypadku, wszakże obiecywała ci być w domu wieczorem?

— Tak jest. Mnie samego to dziwi.

— Wiesz Ireneuszu, co uczynić zamierzam? Ty będziesz tak dobry zatrzymać się tu pół go-

dziny, na wypadek mego skrzyżowania się z Kamillą, ja zaś pójdę do Laury i dowiem się prawdy.

— Czy znasz jej adres?

— Służący wie, odwożono ją parę razy do domu. To gdzieś ztąd niedaleko.

Wkrótce potem Turskiego stróż kamieniczny objaśniał.

— Mieszka na pierwszym piętrze — mówił, nie zadziwiony pytaniem o tak późnej porze, albowiem służąca Laury przed chwilą wróciła z miasta, uprzedzając, że lekarz zaraz nadejdzie. — Ale niech wielmożny pan doktor pójdzie drugimi

schodami, ja poświęcę, służąca tam czeka.

Roztargniony August nie zauważył dodanego mu tytułu. Kazał się zaprowadzić.

— Czy pani jest w domu ? — zapytał subretki, siedzącej przy lampie.

— Niema, proszę pana, tylko jest ta pani z Mazowieckiej i ten...

— Więc jest tutaj? — ostatnich słów nie słuchając, zawołał August i we drzwi pospieszył.

Służąca prowadziła mniemanego lekarza.

Przeszli oboje korytarzyk. W sypialni Laury, tłumił kroki Turskiego mięki kobierzec.

Uspokój się Kamillo, dla czego płaczesz, ja, Juliusz, jestem przy tobie! — Takie słowa

wśród urywanych, spazmatycznych łkań, doleciały uszu Augusta.

Pod samemi drzwiami salonu, stanął jak wryty. Sądził że śni, to znów że zmysły

stracił. A więc badał sam siebie, tarł czoło, a uchem chwycił wyrazy z po za

kotary. Dziewczyna z lampą w ręku, przyglądała się pseudolekarzowi i jego dziwnej auskultacji przez podsłuchanie.

— Wyjdź ztąd Juliuszu, zlituj się nademną — mówiła teraz kobieta głosem Kamilii, z którym mieszały się czułe słowa mężczyzny.

Turski stał ciągle. Drżały pod nim kolana, kroplisty pot wystąpił na czoło.

Subretka nie rozumiała położenia.

— Czyż mogę cię tak zostawić? Niech doktor przynajmniej nadejdzie.

— Nie chcę doktora, nie chcę nikogo! — krzyknięto już bez płaczu i łkania —

wyjdź ztąd, bo wstręt wzbudzasz we mnie !

Skokiem tygrysa, do otomany, na której leżała Kamilla, rzucił się mąż.

Nie słyszał jej krzyku, nie widział omdlenia. Jak piorun wprzód rozdziera, zanim

gromem głuszy, tak on na hrabiego uderzył. Ten też nie zdążył jeszcze zdać sobie

sprawy z napadu, czuł tylko, że się na niego jakaś siła wali, oddech tamuje,

piersi mu dławi. Instynktownie chciał ją odeprzeć, ale silne ręce, niby

kleszcze,

parły go przed siebie, gniotąc w piekielnym uścisku. Nie w porę, na ich drodze

znalazł się słup kararyjski z popiersiem Wenery. Rozległ się głuchy łoskot.

Runęły marmury.

We drzwiach od sypialni stanął wezwany lekarz, za nim ta sama służąca, oniemiała

ze strachu.

Turski oprzytomniał. Bez tchu, z włosom w nieładzie, rzucił okiem dokoła. Tu

puste butelki, niedopite jeszcze kieliszki jeden stłuczony, na
posadzce nóty
zdeptane woń wina w powietrzu, a tam, na otomanie, żona,
skarb cenny, jego Bóg
drugi, przedmiot uwielbień i niewysłowionej miłości, leży
nieprzytomna,
rozebrana na poły. Guziczki stanika porwane — ręką
kochanka!

Dzikim wzrokiem August zatoczył, ale Podborski już zniknął z
salonu. Został tylko
jego kapelusz.

Lekarz badał omdlałą.

— Nadmiar uniesień, wrażeń i wina — mówił do siebie.

* * *

— Bardzo mi będzie miło mieć cię w Jodłowie — mówiła do
córkę pani Zaborska,
telegraficznie wezwana przez nią do Warszawy po zaszłych
wypadkach. — Nie sądzę
jednak, żeby między wami do rozejścia przyjść miało.

— I ja nie przypuszczam — odparła Kamilla - na razie jednak
powinam wyjechać.

Przecież nie mogę zostać tu, u Laury, ani też pierwszego
kroku czynić do niego.

— Możeby przeczekać. Jestem pewna, że się przeprosi.

— Wyjazd mój może go tylko prędzej nakłonić ku temu.

— Mojem zdaniem, wszelkie heroiczne kroki bywają zawsze
ryzykowne w małżeństwie.

C'est le premier cas qui coute, a gdy raz zejdziesz mu z oczów,
kto wie, co stać
się może.

— Niech się mama nie boi. Zbyt pewną jestem swego. On za
mną szaleje.

— Należy dobrze rozważyć. A byłoby bardzo smutne i
niekorzystne dla ciebie,
gdyby się zaciął. Nie macie dzieci, jakież wyrodziłby się
majątkowy stosunek?

— Ah, o tem nie myślałam wcale.

— To najważniejsze, Kamillo.

— Być może, ale w tej chwili, po doznanych wrażeniach...

— Trzeba ochłonać. Nic się na świecie nowego nie dzieje. Ileż
matek traciło

dzieci, ileż żon zdradzało mężów, a jednak oswajano się z tem
powoli. To rzeczy

tak zwyczajne, chłodniej brać je trzeba.

— Wmawiam w siebie to samo zapomnieć pragnę, a przecież
dziwnego wrażenia
zatrzeć

nie mogę. Wiadomość o Irencie umiałabym znieść stoicznie,
mniej jeszcze robiłabym

sobie z tej całej historii z Juliuszem i spotkania z Augustem,
ale zejście się

razem faktów, ten list, przeczytany w podobnej chwili,
fotograf ja, którą mi

Juliusz pokazał, jak gdyby chciał mi urągać, ah mamó, nie
można się dziwić, że

to wszystko na mnie przygnębiające, wielkie wrażenie
wywarło.

— Zwyczajny zbieg okoliczności.

— Wie mama najlepiej, że nie uczuciowa, że w wielu wypadkach odrzucam skrupuły, o ile tylko świat je odrzucać pozwala; wzorowałam się na mamie i przyznaję, że takim kobietom jest najwygodniej, ale dziś widzę, że ta żąda wyzwolenia się z kobiecości, przynosi nam tylko sztuczną pewność siebie, niezdolną oprzeć się sile wyższej, co jakoby przestrzegała zuchwalstwo : Jesteś jedynie słabą kobietą.

— Nie poznaję cię Kamillo. Poddajesz się jakimś urojeniom, fantazji; doprawdy lękam się o ciebie. Ale to chorobliwe, przejdzie niebawem. Zapewne, może masz słuszość, w Jodłowie za pomnisz, rozerwiesz się, mam teraz nowe, bardzo miłe sąsiedztwa.

— Nie chcę ludzi, nie chcę nikogo.

— Do czasu, do czasu, moja droga. Niech tylko twój mąż udobrucha się, a wszystko powróci do dawnego trybu.

— Co świat powie?

— Wszak nikt nie wie o niczem. Laura, to grób. Znasz ją, Podborski, jak mówisz, dżentelman, a Augusta dyskrecji można być pewnym zupełnie, własny w tem mieć będzie interes.

— A jeżeli on istotnie myśli o rozejściu ? — objawiła teraz
zwątpienie Kamilla.

— Czyżbyś jednak to przypuszczała? — patrząc bystro, rzekła
pani Zahorska. Teraz
matka z córką zamieniły role.

— Ale ani słyszeć o tem nie chcę. Wreszcie, ja to biorę na
siebie. Pewna jestem,
że wszystko pójdzie dobrze. Wiesz, że Turski, dziś, nawet po
latach, kocha cię
aż do przesady. Sama to mówiłaś przed chwilą.

Nieprzyjemność, jaka go spotkała,
drażni go, boli, nie przeczę, ale zaręczam, nie osłabia uczucia
Zastanów się

tylko, odwróć stosunek : przypuśćmy, że ty sama, notez bien,
kochając mężczyznę,

schodzisz go na flagrant delit. Czyż taki fakt nie pobudzi w
tobie jeszcze

silniejszej zazdrości?

— Ja? znienawidziłabym go i raz na zawsze zaparła się.

— Wierzę w drugie, zaprzeczam pierwszemu.

— A więc?

— Pozwól tylko, to, co opowiadają, że w danym razie gorąca
miłość zamienia się w

tem zawziętszą nienawiść, ce ne sout, que des

causeries ma chère. Czcze słowa. Przeciwnie, ta ostentacyjna,
nienawiść jest

właśnie wyraźnym dowodem uczucia, któremu rozum, czy
jeśli chcesz ambicja

nakazuje tylko pod jej płaszczem ukrywać się. Że ty miałabyś
taką ambicję, w to

wierzę, ale on, Turski, inamin synek w najściślejszem
znaczenia tego wyrazu, o
moja córko, dziwię się, że nawet coś podobnego przypuszczać
możesz, czyżbyś go
jeszcze nie znała? Przyjdzie chwila i to nie długo, kiedy do
nóg twych padnie.

J'en suis persuadée.

— Przyznaję mamie niemałą słusność w tem zapatrywaniu,
nie powiem, aby ono
wiele różnić się miało od mego, a jednak, zadziwia mnie
zachowanie się Augusta.

Sądziłam, że wezwie mnie do siebie..

— Jeszcze się nie oswoił z wrażeniem. Trzeba być
sprawiedliwą. Jakikolwiek jest
twój mąż, podobna scena, którą sobie uplastyczniam w myśli,
musiała być przykrą
dla niego. Bądź co bądź, mężczyźni którzy kobietę kochają,
chcieliby ją mieć
nietykalną w ogóle, a żonę w szczególności. Taki wypadek dla
nich zawsze
niemiły. Wreszcie, niektórzy jeszcze i z sakramentem się
liczą. Ale jakie
przewidujesz następstwa z Podborskim?

— O to już jestem spokojna. Stałoby się dotychczas, coby się
stać miało, a w
najgorszym

razie, mniej to mnie interesuje. Pojedynki tak rzadko śmiercią
się kończą.

— Cóż Wagner?

— Słyszę, że nagle wyjechał. Obawiam się, czy się nie domyślił, on tak podejrzewał Juliusza.

— Jakże więc postanawiasz? Pojutrze mam gości u siebie, improwizowane polowanie, potem zapewne trochę baccarata, spodziewam się kilkunastu osób, a mnie tak się rozrywka należy, tyle kłopotów z tym Jodłowem, wieczny brak gotówki, tu znów twoje nieporozumienia ; a, jakże uciążliwe jest to życie nasze!

— Jeżeli do wieczora August nie odezwie się, jestem zdecydowaną jutro wyjechać.

Pour tout de bon, czy tylko na jakiś czas, to już od niego zależeć będzie

— A więc dobrze.

— Każę przez lokaja wspomnieć mu o tom, zobaczymy, jak przyjmie wiadomość.

— Alors demain, c'est entendu. Teraz cię pożegnam, bo mam jeszcze pilne sprawy do załatwienia. Apropoz, kazałam wysłać Georges Goulet, ale wy tu pijacie teraz

Piper sec., co mówisz o tej marce ?

— Ah, moja mamó, wstrząsam się na samą myśl szampańskiego. Laurze tego wina nigdy nie wybaczę.

Na te słowa ona sama do salonu weszła.

— Zapewniam cię, moja droga — rzekła ze śmiechem — że przed Roedererem już byłaś upojona magnetycznym wzrokiem hrabiego. Jakież to oczy prześliczne!

— Przestań Lauro, proszę cię — zawołała Augustowa i
siadając na pamiętnej
otomanie, westchnęła głęboko.

— Tout va bien, qui fini hien — wtrąciła matka zawiązując w
lustrze wstążki
kapelusza.

* * *

Turski od trzech dni nie wychodził z pokoju. Pomiedzy
wyjazdem do Nadbuża. a
chwilą obecną, postarzał o lat dziesiątek. Nie dziwna. Klęski
podobne zwałyby
z nóg każdego, a tem łatwiej człowieka, co jak on, nie umiał
nigdy czoła
przeciwnościom postawić. Zawsze, w mało nawet znaczących
wypadkach, szukał
pomocy i rady u drugich, jak gdyby nie potrafił lub nie chciał
na własną działać
odpowiedzialność. Dziś stracił wolę do reszty. W pierwszej
chwili po katastrofie
w mieszkaniu Laury, przyszedł mu na myśl Podborski z
którym należało ciężki
rachunek załatwić. Nie wiedział wszakże, jak zacząć, kogo do
współdziałania
zawezwać. Naturalnie, Wagner przyszedł mu na myśl. Tego
jednak trzebaby
wtajemniczyć w sprawę tak bar-

dzo drażliwą. Nie, na to zgodzić się nie mógł, nawet go nie
dopuścił do siebie,

ażeby ciekawych zapytań uniknąć. Kiedy nazajutrz znowu się do pierwszego projektu rakiłaniał. powiedziano mu, że Wagner na wieś wyjechał. A więc zamierzał sprowadzić Lubicza. Tu te same trudności. Wspomniał na rozmowę w Nadbużu, owego dnia po przyjeździe z Paryża. Mógłże dziś spowiadać się przed nim i uderzyć w piersi? Jakiegokolwiek jest to nieszczęście — myślał — niech ono zostanie moją niepodzielną własnością. Niechże mi nie urąga nikt trzeci. — Tak schodził dzień po dniu, i August wszelkich rachunków z Podborskim zaniechał. Pragnął unikać rozgłosu, potęgowania skandalu. Raz się tej myśli pozbywszy, znowu bolał nad sobą. Przychodziło mu samobójstwo do głowy, już więc do Kamilli i Lubiczów listy rozpisał, już w lustrze rewolwerem mierzył do skroni, regulując lufki kierunek, potem na to godzinę wyznaczył, ale mu w ostatniej chwili zabrakło odwagi. Postanowił za granicę, do Afryki, Ameryki uciekać. Ta myśl zajmowała go najdłużej, ale powoli, powoli, gdy się zastanawiał, że możeby już nigdy nie zobaczył Kamilli, znowu zamiaru zaniechał. A kochał ją w tej chwili silniej, niż kiedykolwiek. Gdybyż mógł ją do piersi przycisnąć, spojrzeć w te oczy precudne... Ale nie! On jej już widzieć nie będzie, miłość

z serca wydrze, wypleni, żonę za wiarołomstwo-dożgonną pogardą ukarze.

I szarpał pierś zbolaną to płakał naprzemian, cichutko, rzewnie, jak płacze ze strachu i bólu-, ukarane dziecko.

Nie miał żadnego towarzystwa. Prócz lokaja, nie widywał nikogo. W koterji znajomych, rozeszła się wieść o śmierci córeczki Turskich, nie jeden więc pośpieszył z kondolencyjną wizytą, w przedpokoju jednak odpowiadano mu, że państwo wyjechali na wieś.

Podborski, jak przystało na dżetelmana, trzy dni oczekiwał skutków zajścia z

Augustem, po czym, zapewne dla oszczędzenia sobie kłopotów, spokojnie w nowym kapeluszu do Paryża wyjechał.

Przed wieczorem, w dniu narady Kamilli z matką, lokaj, kręcąc się około pana, powiedział od niechcenia, że starsza pani nazajutrz wyjeżdża i młodszą podobno z sobą zabiera.

Obojętnie Turski tę wiadomość przyjął, jednak, po wyjściu służącego, dozę morfiny za strzyknął, a całą noc oka nie zmrużył.

Następnego dnia, na dworcu Terespolskiej kolei, lokowały się w wagonie pierwszej klasy pani Zahorska z Kamillą. Odezwał się drugi dzwonek, konduktor kontrolował bilety, gdy przed dworzec zatoczyła się o spienionych koniach dorożka. Wysiadł z

nich August, sale pa-

szerskie przejrzał, a w niej nie zastawszy nikogo, na peron gorączkowo pospieszył.

— Mamo, mój mąż! — zawołała w wagonie Kamiila.

— Jak przewidywałam — była odpowiedź. Turski od okna do okna przebiegał, a że te panie chować się przed nim nie chciały, więc je łatwo odnalazł.

Krótką, raczej mimiczną sceną rozegrała się w wagonie. Gdy rozległ się trzeci

dzwonek, Kamiila z mężem stała jeszcze chwilę u wyjścia, pociąg ruszył, a pani

Zahorska w otwartym oknie zegnała córkę i zięcia słowami: Dieu vous garde..

Tego samego dnia, państwo Augustowie Turscy Nadwiślańską koleją, wieczornym pociągiem do Nadbuża wracali.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ

CZĘŚĆ TRZECIA.

I.

— Wobec zbliżającego się rozwiązania spraw nadbużańskich
— mówił Wagner do
Dymowicza, który, jak zawsze, rozstrzelił wzrok w dwóch
przeciwnych kierunkach
swej pracowni — pragnąłbym rzecz między nami jasno
postawić i porozumieć się
ostatecznie.

— Wszak niema tam nic ciemnego — zarzucił prawnik -
współka jest spółką, a jej
warunki określone ściśle.

— Nie mówię o treści naszej umowy — tłumaczył się
pierwszy — przypuszczam tylko,
że mecenas zgodzisz się na inną formę, w jakiej moglibyśmy
podzielić się
zyskami.

— ?

— Sądzę, że panu nic nie zależy na właściwym posiadaniu
Nadbuża?

— Dla czego ?

— Byłoby to bardzo uciążliwe, przy tylu innych pańskich
zajęciach.

— Zapewne, alem ja do pracy i kłopotów przywykły. Samo
nic nie przychodzi, a
rozumiem przecież zbyt dobrze, że zyski, jakie osiągnęliśmy
na nabyciu długów
jodłowskich, są małoznaczne w porównaniu z tem. co dopiero
z Nadbuża będziemy
mogli wyciągnąć. Mam tu głównie lasy na myśli.
Ostatnie słowa zarysowały niezadowolenie na twarzy
Wagnera, który łudził się

dotychczas, że Dymowicz, nie znając tak jak on, wartości nadbużańskich lasów, o wyzyskiwaniu tychże myśleć nie będzie, że raczej chętnie poprzestanie na ryczałtowem odstępem, zostawiając lwią część zarobku zręczniejszemu wspólnikowi. Ale w tym razie przerachował się Wagner, albowiem pan mecenas w swoim czasie wysyłał cichaczem do Nadbuża zdolnych brakarzy, którzy też dokładnie ocenili drzewostan. O takich wycieczkach nie wiedziała nawet miejscowa straż leśna — Zapewne, zapewne — badając z kolei prawe i lewe oko prawnika, rzekł Wagner — tylko, że do tych lasów nie prędko dostać się można. — Przeciwnie — wtrącił mecenas — Termin licytacji Nadbuża naznaczony wszakże za cztery miesiące. — Prawda, ale kupić Nadbuże, a usunąć służebności i rozpocząć sprzedaż lasu, to jedno od drugiego bardzo odległe.

— Ha, będziemy czekali, tem łatwiej, że się czekanie opłaci. Wreszcie, ten żydek, któremu wówczas, w celu niedopuszczenia układów, kazałeś pan obałumucić chłopów, co było zresztą nader przezorne, zapewniał mnie, że zarówno może ich w każdej chwili nakłonić.

— To bardzo względne panie Dymowicz. Psuć zawsze łatwiej, aniżeli naprawiać.

Ale, pomijając służebności, ponieważ wiem dobrze, że nie na majątku, a raczej na zyskach panu zależy, powiedz mi, proszę, ile żądałbyś odstępnego, gdybym ja nabył Nadbuże?

— Podobne pytanie sam miałem zamiar w tych czasach uczynić łaskawcy — bez namysłu odparł Dymowicz — co do mnie bowiem, żądałbym tyle właśnie, ile pan sam na tej operacji zysków obliczasz. Wszak to sprawiedliwe. Jak dwa buldogi, gdy się wzajem ciętymi szczękami uchwycą, tak teraz spoglądali na siebie wspólnicy. Wagner nie był przygotowany na podobne sparowanie prawnika, który użył tu manewru, jaki stosował u drugorzędnych wekslarzy: chcąc ruble sprzedać, zaczynał od tego, że je nabyć pragnie.

— Nie możesz pan zaprzeczyć — mówił po chwili Wagner — że moje warunki jako rolnika i obywatela, bardziej się do nabycia Nadbuża nadają. Wreszcie, może mi się pewne moralne pierwszeństwo należy.

— A to z tytułu?

— Sam stworzyłem interes, a już po zawarciu naszej umowy, ponosić musiałem nie mało trudów, a nawet i ryzyka. Dla podtrzymania stosunków i zażyłości,

pożyczałem od czasu do czasu drobne sumki Turskiemu, których prawdopodobnie nie odbiorę.

— Takie układy z własnej ochoty, mnie nie obowiązują zarówno jak i z zażyłości pańskiej z sąsiadem i z sąsiadką, żadnych nie osiągnę korzyści. Podobnych pozycji nie biorę w rachunek.

— Jakto, czyż dla mojej przyjemności niedawno dostarczyłem funduszu, za który

Turcy bawili się w Warszawie wówczas, kiedy pan swobodnie mogłeś plądrować po ich pałacu?

— Był to pomysł pański, łaskawco, i pomysł chybiony.

Właśnie ta nieobecność

dłużnika spowodowała niekorzystne dla nas wmieszanie się

Lubicza, który w innym

razie nie przybyłby do Nadbuża, zarówno, jak od czterech lat tego nie czynił. A

ten pan Lubicz bruździć nam może i nadal.

Moją rzeczą temu zaradzić. Wreszcie mam jeszcze inne powody, dla których

pragnąłbym utrzymać się przy majątku, a pana spłacić.

— Słucham.

— Rzecz prosta, cała ta manipulacja wkrótce przestanie być tajemnicą.

— Naturalnie.

— A wtedy szlachta okoliczna potępiłaby mnie. Mecenas, jak mi sam powiedziałeś, nie liczysz się z opinią, ale ja...

— O?!

— Ja liczyć się muszę, więc raz spadając, powinienem spaść z dobrego konia.

— Nic a nie nie rozumiem.

— A sądzę wreszcie, że jako właścicielowi Nadbuża i Teżyna, dziś lub jutro, cała

gubernia mi wybaczy, kiedy niezawodnie odsunie się od spekulanta, który na

współkę z panem Dymowiczem, eksploatować będzie majątek po zbankrutowanym

przyjacielu. Jedno a drugie zupełnie inaczej wygląda.

— Słowem, widzę, że łaskawca żądasz, aby pan Dymowicz czynił ustępstwa dla

twojej ambicji. Otóż zdaje mi się, że kto podobne operacje z całym rozmysłem

przeprowadza, ten powinien przede wszystkim ambicję w domu zostawić, aby mu nie

zawadzała, jak elegancki parasol podczas śnieżycy lub burzy.

— To rzecz mego przekonania.

— Słusznie. Ja zostanę przy mojem.

— A zatem?

— Będziemy nadal współnikami.

— A jeżeli ja dobrze zapłacę?

— Na przykład

— Oznacz pan cyfrę.

— Jak mówiłem, ona od pana samego zależy.

— Wszak sprzedający zwykłą cenę na swój towar stanowić.

— O ile go ma do sprzedania; w innym razie, niechaj ten, kto potrzebuje towaru,

pierwszy z propozycją wystąpi.

Zastanowił się Wagner, snąc obliczając krok, jaki miał w tej chwili postawić.

Położenie było nie łatwe, bo obosieczne.

— Jeżelibym panu dał piętnaście tysięcy? — rzekł po namyśle, patrząc na mecenasa z pod oka.

— Nie wziąłbym — odparł tenże zimno — a nie wziąłbym dla tego, bo sam gotów

jestem dać panu dwadzieścia. Różnica jest tak znaczna, że powinienbyś, panie

Wagner, podać mi już rękę, o tyle naturalnie, o ile twoje obliczenie było skrupulatne i uczciwe.

Chciał Wagner podnieść teraz cyfrę, ale spostrzegł się w porę, że licytacja z

kutym prawnikiem nie prowadziłyby do celu. Wstał i mówił w duchu swej roli:

— Powiedziałem już, że nie tylko zysk materialny, ale i wzgląd moralny mam na uwadze. Mnie pan na dwadzieścia tysięcy nie weźmiesz.

— Ani łaskawca mnie na twoją moralność. Najwłaściwiej postąpimy, zostając przy pierwotnej umowie.

Wagner przygryzł pięknego wąsa.

— Widzę — mówił z niecierpliwością w głosie — że z mecenasem rzecz nie łatwa, że mnie ostrzegano nie bez podstawy, kto pan jesteś, a każdy jednak przyznałby mi pierwszeństwo przed nim w posiadaniu Nadbuża?

— Możemy zwołać obywatelski sąd polubowny, sąd honorowy. Ja chcę być zupełnie czystym względem łaskawcy, — I patrzył Dymowicz lewym okiem z niezmierną słodyczą w Wagnera, a prawem w kałamarnicę z ironią i złością. — Pan drwisz sobie ze mnie — współnik wstając zawołał — i z tego właśnie wnoszę, że nie masz czystych zamiarów na przyszłość. To jest nieuczciwie. Kiedy ja stawiam świetną i wygodną dla niego propozycję, występujesz z sądem honorowym w sprawie...

— Która nie jest honorową, przyznaję. Ale, mówiąc na zimno, czego pan właściwie żądasz odemnie?

— Żądam ustępstw, i to tylko moralnych, ho one mi się słusznie należą. Nie wchodziłbym w ten interes, gdybym przypuszczał, że nie zostanę właścicielem Nadbuża.

— A z kądkę pan wiesz, że ja nie miałem tych samych intencji?

— Pan szukałeś tylko zarobku.

— A łaskawca honoru?

— Sądzę, że tak nie dojdziemy do końca, a więc uprzedzić pana muszę, że chociaż chytry i zręczny, nie trafiłeś jednak na głupszego. Radzę opuścić coś z twej pewności siebie.

— Nawzajem, nawzajem, łaskawco.

— Panie Dymowicz! — marszcząc brwi. i podnosząc głos,
zawołał w uniesieniu młody
spekulant — ja cię ostrzegam...

— Ciszej łaskawy panie, we własnym interesie; tam są klienci
i dependenci za
drzwiami.

— Ja cię ostrzegam — ciągnął spokojniej li pierwszy — że
jeśli mi będziesz
stawiał trudności, to nie licz na układy z chłopami. Z tem
sobie łatwo poradzę.

Uprzejmym ruchem ręki wskazał krzesło mecenas Zdawał się
być pokonanym. Mówił
teraz cicho, głosem słodkim, prawie szeptem, po-
dobnie jak
mówi wśród nocy
spokojnej przy; blasku księżycy, w cieniu drzew starych, do
kochanki kochanek.

— Zaczny panie Wagner, przypominasz sobie, że wówczas,
kiedyśmy się po raz
pierwszy spotkali, ostrzegłem cię: o Dymowiczu mówią w
Lublinie, że to wielki
złodziej. A czy pan wiesz, dla czego mnie mają za takiego?
Kiedyś, przed laty,
gdym był w pańskim wieku, nie brakło mi ambicji i wstydu.
Chciałem pracować
rzetelnie. Nie miałem szczęścia. Gdy przyszły obowiązki,
żona i dzieci, gdy
wszyscy jeść chcieli,

a nie było z czego, gdym się opatrzył, że drogi uczciwe do
głodowej śmierci moją

rodzinę prowadzą, czepiłem się środków jakie spotykałem po
śmietnikach
społecznych, w brudnej szynkowni, bodaj w błocie rynsztoka.
Wstręt mnie brał z
początku, ale powoli do nich przywykłem. A przywyknąć było
tem łatwiej, że błogo
jest ojcu patrzeć na rumiane i nie głodne dzieci, na zdrową i
wesołą żonę, która
z płaczem wołała niedawno: mężu, moja pierś wyschła, nie
mam już ani kropli
pokarmu dla małego dziecięcia... Mąż wówczas wył z bólu i
włosy darł z głowy.
Zostałem więc złym człowiekiem, zostałem złodziejem, dla
mojej żony i dzieci
sześciorga. A z takiej drogi — wiadomo — zawracać nie
łatwo. Dziś posiadam kawał
majątku, a jeżeli pragnę go jeszcze powiększyć, to tylko dla
tego. aby każde z
moich dzieci miało kiedyś dosyć pieniędzy na okupienie
zarzutu hańby, z jakim
nierzadko w życiu się spotka : ojciec był łotrem, złodziejem.
Oto cel mój jasno
wytknięty.

— Ale cóż mnie to interesuje? — zapytał Wagner.

— Pozwól skończyć. Ja z panem grałem od początku w
odkryte karty, nie wstydziłem
się przyjąć roli, jaką na mnie w fałszywym poczuciu ambicji i
honoru włożyłeś.

Nie szło mi wprawdzie o osłonięcie pana przed opinią
publiczną,

bo to było mi obojętnem, miałem tylko własnej rodziny dobro na celu.

— Czyż działałam na jej szkodę?

— Działasz, bo grozisz. A wiesz, jaka między nami różnica?

Złodzieje względem

siebie bywają zawsze uczciwi, łupem kradzionym dzielą się sumienni a pan jak

chcesz ze mną postąpić?

— Panie Dymowicz, proszę liczyć się ze słowami!

— Ciszej łaskawco — syczał teraz prawnik — ludzie,

powtarzam, słyszeć mogą za

drzwiami, a pan wszakże jesteś drażliwy. Nie dla dzieci i żony, nie dla

obowiązków, których nie znasz, a raczej dla epikurejskich celów i przez wrodzoną

ci chciwość, pragniesz się dorobić niegodziwym sposobem fortuny, wychodząc przy

tem bez szwanku na opinii obywatela. I tego ci mało, bo nawet mnie, współnika

rabunku, chcesz zρέcznie skwitować byle czem, pod groźbą nie-. dopuszczenia

zamiany służebności i sprzedaży lasów. Mówisz o trudach twoich i udzielanych

pożyczkach Turskiemu, o rzekomych ofiarach? To śmieszne panie Wagner! Kiedy ja

ślepnę i garbacieję w takiej oto norze, kiedy sam wszystko przy tem biurku

załatwiam, pan bawisz piękną żonę twego przyjaciela i sąsiada, któremu, jak

opowiadają, każesz honorem i sławą

płacić sobie lichwę od drobnych pożyczek.

— Fałsz! — zawołał Wagner.

— Nie fałsz, łaskawy panie. Jakież cel miałeś żądać telegraficznie z Warszawy, abym formalności możliwie przedłużał? Czyżbyś wówczas zamierzał, wyprawivszy do

Nadbuża pana Turskiego, rekolekcje z jego żoną odprawiać?

— To są pozory, wreszcie... nie przeczę... byłem może gotów korzystać z

następczącej się sposobności, tak dobrze, jak byłby to samo każdy inny

uczynił, ale jednak do tego nie przyszło.

— Tem gorzej dla pana i dla niej — mówił z cynicznym uśmiechem Dymowicz — skoro

was ludzie palcami wytykają, a wy nie mieliście nawet żadnego pożytku, o ile to

pożytkiem zwać można.

— Pozwólże panie mecenasie, że to wszystko nie ma związku z Nadbużem.

— To też nie byłbym tej strony dotykał, bo inne mam sprawy na głowie, ale jeżeli

pan, w takich jak twoje warunkach, pozwoliłeś sobie stawiać mi zarzuty, a

jednocześnie grozisz sparaliżowaniem interesu w celu pozbycia się niewygodnego

i, co lepsze, kompromitującego cię współnika, to daruj, ale zamilczeć nie

mogłem. Inna rzecz, nie pokazywać po sobie ambicji, której człowiek, jak ja,

pokazywać nie powinien, a inna nie mieć jej wcale. Względem ciebie

mój panie, wolno mi chyba mieć moją ambicję.
Spostrzegł się nareszcie Wagner, że jego wspólnik nie tylko
jako prawnik, ale i
jako człowiek każe liczyć się z sobą. Wycieczka chybiła, a
nawet sprowadziła
zupełną porażkę. To jednak nie bolało spekulanta, więc też nie
myślał o
rehabilitacji, a raczej o ocaleniu interesu.
— Zaprzestańmy wymówek — mówił teraz układnie —
pragnę tak te sprawy ułożyć,
ażebyśmy wzajemnie z siebie byli zadowoleni, a mam
nadzieję że pan sam
znajdziesz punkt wyjścia...
— Mój czas drogi, — przerwał Dymowicz — więc rzecz
krótko rozstrzygnę. Ażeby
nabrać zaufania do człowieka, potrzeba wielu warunków;
ażeby to zaufanie
stracić, starczy jeden krok, jedno słowo jego. Pan zagroziłeś
mi, że nic
dopuszczysz do układów o służebności. Ja tedy dłużej
wspólnikiem jego nic będę, bo
miły rai sen spokojny. Ponieważ sam dać chciałem
dwadzieścia-tysięcy odstepnego,
więc zupełnie słusznie tyleż żądać mogę. Zostaniesz więc
nieograniczonym panem
położenia, a tę sumę zabezpieczysz mi na twoim majątku, na
Teżynie, w formie,
jaką ja wskażę. — Tu mecenas znów oczy rozstrzelił.
Uradował się teraz Wagner i skwapliwie podał prawnikowi
rękę, zapominając w
gorączce

chciwości, że przed takim układem o zamki na lodzie,
powinienby poradzić się
biegłego, a przede wszystkim uczciwego prawnika.
Tegoż dnia jeszcze, późnym wieczorem, Dymowicz i Wagner
podpisali umowy i akta,
które pierwszego czyniły realnie bogatszym, drugiego
szczęśliwszym.

II.

Dawno stary Michaś nie był w tak dobrym humorze. Oto
krząta się rażno po
przedpokoju, ażeby nóg nie zasiedzieć i przytomnie a zręcznie
posłużyć za chwilę
do kawy. Ale bo też po czterech latach, pierwszy raz do
Topolan przyjechał pan
Gucio z Nadbuża. Korci tedy starego, że może gość zauważy
w nim o wiele bielszą
siwiznę, pochylone plecy i niezbyt pewne nogi w kolanach.
Więc się poprawia,
prostuje i węża, jak zawsze pokręca. Raz drugi cichutko
pode drzwi się skrada,
słuchając, czy żywo, wesoło w pokojach prowadzą rozmowę.
A nie mało staremu na
tem zależy. Toć że on nie służalec, nie pierwszy lepszy fagas
w herbowych
guzikach, to wierny przyjaciel, rodzinny stróż. Zna nie od dziś
swoje

stanowisko, na ktorem w wielu razach nie pozwalał sobie głośno mówić, ale nie mniej wszystko widział i dobrze pojmował. Czyż to było przed nim tajemnicą,

że chciano kiedyś Gucia z Aniołkiem ożenić? Czyż on sam mało się tą myślą cieszył, a potem martwił, gdy pan Bóg zamiary ludzkie zniweczył? A później, gdy słyszał, że w Nadbużu walą dom stary, bo pan Turski znalazł gdzieś po świecie bogatą żonę, z którą w pałacu zamieszka, jego Aniołkiem zaś jak gdyby pogardził i nawet już w Topolanach nie bywa, któż więcej od niego nad tem bolał, kto baczniej z drugiego pokoju śledził panienkę, co teraz często w kąciku płakała, lub długie chwile wpatrywała się w portret niepocziwego Gucia? Wreszcie lata minęły, a z niemi, zdawałoby się, przyszła obojętność w Topolanach na zmianę stosunków z Nadbużem. Wszakże czas wszystko leczy. Ale Michaś w to uleczenie nie wierzył. Prosty człowiek przez półwiekową służbę w rodzinie swego państwa, tak wykształcił chłopskie czucie, tak uszlachetnił chłopskie serce, że bodaj nikt nie zgadywał lepiej od niego, jaką pustkę i smutek ten zawód wyrodził w usposobieniu jego ukochanej panienki, jak bardzo i nieuleczalnie złamał jej

życie. To też gdy Michaś wczoraj dowiedział się od Anieli, że
pan Guccio
przyjedzie, gdy dostrzegł w jej smętnym zawsze wzroku
promień dawno niebywalej
uciechy, uradował się stary, o mało nie rozplakał.
— A niechże mu Bóg da zdrowie! — za-

wołał, przytulając, kalekę twardą ręką do chłopskiego serca.
— Poczciwy Michaś — ze łzą w oku szepnęła Aniela. I
zrozumieli się.
Cóż mogło im na Turskim zależeć? Wszak jest żonaty, a więc
dla Anieli stracony.
Ale Lubiczówna nie rządziła się ni cieniem samolubstwa. Jej
niedojrzałe kiedyś
uczucie miłości, z czasem przeobraziło się w przywiązanie, w
przyjaźń
siostrzaną, tem cieplejszą, że Turski, mimo dobrze
zachowanych pozorów, wedle
niej szczęśliwym być nie mógł, a tembardziej dziś, po stracie
dziecięcia, że
więc należała mu się pociecha, jeżeli nie podpora dłonią, tak
właśnie, jak jej
dłoń, niekłamanie dla niego życzliwą.
A stary Michaś nie potrzebował zgłębiać tajników serca
Anieli. On ją kochał, jak
własne dziecko, gdy więc na wiadomość o przyjeździe pana
Grucia spostrzegł
rozpromienioną jej bladą twarzyczkę, to wystarczyło, aby sam
się ucieszył i
paniczowi z Nadbuża urazy za te grzechy darował.

— Odżyje moje biedactwo — mrucał w tej chwili, stojąc pod drzwiami i czekając na rozkazy.

A tani w bawialni rodzeństwo przyjmuje Gucia serdecznie, pocziwie — jak brata.

Ale nie wydobyć im z gościa swobody i śmiechu, jak to dawniej bywało. Nie dziwna. Przecież

nie ma miesiąca, jak biedny ojciec trumienkę dzieciny zamknął i własnym ramieniem wyniósł z pokoju, w którym tak często, częściej, aniżeli matka, rozkoszne, chwile przepędzał. To też Lu-biczowie, spoglądając na te, gdyby przedwcześnie zaostrzone rysy, napiętnowany wyraz twarzy boleścią, podziwiali ogrom miłości ojcowskiej, ofiarując zań tem większe współczucie, i uznanie dla niego. A nie wiedzieli, że zaraz po śmierci Irenki w tego człowieka uderzył drugi cios, być może boleśniejszy o wiele. Po ciężkiej walce, jaką Turski stoczył sam z sobą w Warszawie, walce, z której odniósł przekonanie, że do samobójstwa nie ma dosyć odwagi, a żyć bez Kamilli nie może, postanowił zmazać w pamięci zaszłe wypadki, a nie oglądając się na jutro, ufny zresztą w skuteczność materialnej pomocy Zygmunta, wywiózł żonę do

Nadbuża i zamknął jako skarb, droższy mu nad wszystko, nad skrupuły, przesady,
nad własny honor.

Ale któryż człowiek, stawiając podobnie fałszywy krok, nie odczuwa tej fałszywości, co potem bezustannie prześladowuje jak widmo, szumi w mózgu, w sercu pali, dręczy, niby rój dokuczliwych owadów ? Chociaż więc kochał August Kamille, gorzał niegasnącą namiętnością ku żonie, to jednak, gdy zbliżał się do niej, gdy uprzytomniał tę chwilę, w której ją znalazł sam

na sam z Podborskim w na pół niedopiętym staniku, wnet z tego człowieka jak gdyby drugi wyrastał, i we dwóch zaciekłą walkę ze sobą staczali. Jeden pokonywał sercem, drugi raził rozumem. Ale ten ostatni, słabszy widocznie, zawsze ustępować musiał, zostawiając pierwszego w gorącym uścisku zimnych objęć — niewiernej żony. Sam natomiast, pocieszenia po przegranej szukając, znajdował je — w strzykawce morfiny. Wprawny w tak krótkim już czasie, obnażał ramię, pokryte arabeską dziwaczną i zręcznie igłę w skórę zapuszczał. A morfina już stała się tu gościem codziennym, na powitanie którego nie potrzebuje gospodarz przed dom z wyciągniętą dłonią wychodzić, albowiem on

wejdzie sam i trafi do każdego zakątka, ufny w siebie, że go potrzebują, że jako poufały i zżyty, musi być o każdej porze dobrze widzianym. Po powrocie do Nadbuża, August czuł potrzebę zwierzenia się Zygmunтови z katastrofy, jaka" go w Warszawie spotkała, pragnął ulżyć sobie nadmiernego ciężaru, ale nie miał do tyła odwagi. Lubicz, przeciwny kiedyś temu małżeństwu, dla Kamilli zawsze najgorzej usposobiony, w ostatnich czasach wprost podejrzewający ją o stosunki z Wagnerem, na taką wiadomość poruszyłyby niebo i piekło, użyłby wszelkich wpływów, aby... A nie! Już samą myślą przerażał

się Turski, bo przecież, cokolwiek zaszło, ona wszystkim była dla niego. A więc więził w sobie tajemnicę i gryzł się nią tem bardziej, że niepodzielnie. Zbliżenie się Augusta do Lubicza, nie pociągnęło za sobą znajomości Kamilli z topolańskim dworem. Na to było zapóźno. Wreszcie ludzie, chociażby z sobą nieznanymi, czują brak sympatji, jaki się w danych okolicznościach wzajemnie między nimi wyradza. A tu właśnie ten wypadek miał miejsce. Kamilla jeszcze w Paryżu, wraz z matką, instynktownie uprzedziła się do zupełnie obcego jej

Lubicza, który miał mieć wpływ i przewagę nad tym, co jej samej tylko powinien być powolnym, od niej samej zależnym. Później Wagner, w widokach własnych, starannie podtrzymywał to uprzedzenie. A więc i Anieli imię, jak zwykle w takich razach, nie mogło brzmieć mile w ustach pięknej kobiety. Z drugiej strony zrozumieć łatwo, że każde z rodzeństwa w Topolanach nie patrzyłoby na sąsiadkę przyjaźnie. To też tu i tam wiedziano, że nawiązanie stosunków — dziś — raczej przykrem byłoby dla wszystkich. Ale Turski musiał teraz liczyć się z Topolanami. Wprawdzie Wagner, który dzięki Podborskiemu, uwolniony od wszelkich podejrzeń, do Nadbuża jak dawniej dojeżdżał, nie szczędził ironicznych półsłówek, twierdził nawet, że

August nie szanuje własnej godności, ze swej strony Kamilla także złośliwie patrzyła na ten stosunek, dziś jednak były to już tylko połowiczne wpływy. Żonie flagrans delictus, a przyjacielowi wystąpienie Dymowicza, nie mogły nie odebrać powagi. A przecież Zygmunt tak jasno rzeczy postawił, zaręczył, że Augustowi włos z głowy nie spadnie. Możnaż mu nie wierzyć?

Oto, dla czego Turski, mimo szemrania, jakie w domu ściągał na siebie do Topolan zawitał.

— Czy nie zdradziłeś się przed kim z moim zamiarem podstawienia kogoś do kupna

Nadbuża na licytacji? — pytał Zygmunt Turskiego.

— Nie mówiłem o tem nikomu — odparł tenże.

— Nawet żonie?

— Nikomu.

— Bardzo słusznie. Należy uśpić Dymowicza, który nie spodziewając się konkurenta, najspokojniej, bez żadnych prawnych manewrów, sam dla siebie doprowadzi do sprzedaży, a w ostatniej dopiero chwili, kiedy już na odwołanie terminu będzie zapóźno, usłyszy od Kalińskiego, że usiłowania jego daremne.

August zdawał się słów Lubicza nie słyszeć, natomiast Aniela, obznajomiona z zamierzoną

manipulacją, o jakiej w ostatnich czasach tak często mówiła z bratem, wtrąciła swoje zdanie. A jeżeli mimo tego Dymowicz licytować będzie ?

— Nie miałby celu iść wyżej, niż do swojej sumy — tłumaczył brat — zwłaszcza, skoro mu się wytłumaczy, że w każdym razie byłby przelicytowanym. Gdyby chciał bróździć przez złość, o czem wątpię, Kaliński zaproponuje mu małe odczepne,

którem na pewno nie pogardzi.

— Czy pan te kombinacje rozumie? — pytała teraz Aniela Turskiego?

Ale on mało wiedział, co się z nim dzieje. Przyjechał tu, bo to wcześniej lub

później koniecznie należało uczynić, w tej chwili jednak, wolałby już wracać do

Nadbuża. Przykrym był mu widok Topolan drażniła go dobroć i serdeczność

Lubiczów, drażniło wszystko.

— Nie mówmy o tem — rzekł wreszcie z obojętnością i przygnębieniem — ja jestem

zero, wiecie, ile złożyłem tego dowodów — tu zakrył twarz dłonią — dziś, nie

powinienem mieszać się nawet do spraw własnych, tem bardziej, skoro ty panie

Zygmuncie zajmujesz się niemi.

— Przesadzasz Guciu — wtrącił Zygmunt.

— O nie, przybyłem do was, aby podziękować za dobro chęci, za poczciwe serca

wasze i zarazem zdać się na łaskę i niełaskę. Cokol-

wiek się stanie, stanie się lepiej, aniżeli, gdybym ja się dotykał tych rzeczy.

— Panie Auguście — serdecznym tonem mówiła Aniela, kładąc drobniutką rączkę na

jegu rękę — niepowodzenie i nieszczęście, jakie Bóg zesłał na ciebie, odbierają

ci otuchę i wiarę w przyszłość. Ale mężczyzną być trzeba.

Zygmunt twierdzi, że

sprawy Nadbuża za parę lat uregulują się bardzo korzystnie.
Wszak całe życie
przed tobą. Ileż jeszcze naprawić i zbudować możesz. Masz
żonę, którą kochasz i
która ciebie kocha, dla niej na siłę i energję zdobyć się musisz.
Była szara godzina. August żywym ruchem uchwycił rękę
Anieli, ścisnął ją tak
mocno, że prawie na głos z bólu syknęła, a sam zerwał się z
siedzenia i
gorączkowo chodził po pokoju.
Zauważył to Zygmunt, zatrwożyła się Aniela. Miałażby dla
niego być przykrą
wzmianka o żonie, którą przecież uwielbiał?
Za chwilę panowie sami zostali.
— Guciu, ty ze mną nie byłeś szczerym — rzekł teraz Lubicz,
ujmując ramię
Turskiego — ale ja widzę, że prócz majątkowych spraw, prócz
smutku po stracie
dziecka, jest jeszcze coś więcej, co cię męczy i gnębi.
Turski milczał, Zygmunt nacierał.
— No mów, spowiadaj się przedemną, jak przed bratem. Być
może, krępuje cię moja
sio-

stra, ale wiesz przecie, że umiałbym być dyskretnym. A znam
cię zbyt dobrze, aby
nie widzieć, że nie powiedziałaś mi jeszcze wszystkiego
mimo, że bodaj sam
czujesz tego potrzebę. No ? Każdemu wpływowi łatwo
ulegający August, o

chwiejnym, miękkim niby wosk charakterze, gotów był już
głośno jęknąć z bólu, co
szarpał mu duszę, ale Zygmunt, w zmroku nie dostrzegając
tego wahania, sam
przerwał:

Czy mówiłeś z Wagnerem po przybyciu do Warszawy ?
Słyszę, że on znów bywa u was
jak dawniej.

— Bywa panie Zygmuncie — odparł śmiało Turski — i
bywać zawsze może, bo
przekonałem się aż nazbyt wyraźnie, że plotki rozsiewali źli
ludzie niesłusznie,
że podejrzenia, jakimi go obciążano, są bez najmniejszej
podstawy.

— Czy mogę wiedzieć jaką drogą nabrałeś tego przekonania?
Pytałeś go wprost?

— Nie, żadnej nawet nie uczyniłem mu wzmianki.

— Więc badałeś żonę?

— Bynajmniej.

— A więc zajść musiały szczęśliwe okoliczności, które same
przez się uspokoiły
cię w tym względzie? No, mów szczerze Guciu, czyż nie
wiesz, jak bardzo byłbym
rad szanować twoją żonę, chociaż mi nieznaną, a wierzyć

w twój spokój i szczęście, dziś zwłaszcza, kiedy cię inno ciosy
dotknęły?

Gdyby nie brak światła w pokoju Zygmunt znalazłby
odповідź w boleścią tchnącym
wzroku, w strasznie wykrzywionej twarzy Augusta.

Mógłże inkwizytor przewidzieć, że w tych bez intencji
wyrzeczonych słowach:
"szczęśliwe okoliczności", mieściła się okropna ironja, równa
rozszarpaniu krwią
sączącej rany, która nie miała się nigdy zbliżnić?
To też cierpienie było nad siły człowieka bez woli, bez hartu,
co nie umiał
hamować się w szalonej miłości dla niegodnej kobiety, jak
również stłumić żalu
po straconym dla niej szacunku. Tego cierpienia przebrała się
miara, i Turski
już, już miał z całą prawdą wybuchnąć.
Roztwarto drzwi. Światło jarzącej lampy oblało wnętrze
komnaty, a pierzchający
zmrok uniósł z sobą postanowienie Augusta. Teraz, gdy
spojrzał w oczy
Zygmuntowi, przeraził się swej myśli zuchwałej. On że miał
ją oskarżać? on
ściągnąć na nią wyrok potępienia, a może pogardy ?
Błogosławiony Michaś, który
wejściem w porę przyniósł mu opamiętanie.
Za lokajem szła Aniela, zapraszając panów do kawy.
Rozpoczęto teraz obojętną
rozmowę, a niezadługo potem August, który już nie pozwolił
Lubiczowi wrócić do
materji drażliwej, pożegnał się, lecz za ledwie za pałacową
bramę

wyjechał, zaraz przystanąć kazał, po ciemku z flaszeczki
płynu w rurkę zgrabnie

nalął, i rękę za gors koszuli wsunawszy, iniekcji w bok dokonał. Wnet też, mimo ciemnej nocy, w oczach stało mu się jasno, prysnęło wrażenie rozmowy z Lubiczem, serce zabiło mocno na myśl o tej, którą już pragnąłby mieć w swoim uścisku.

Morfina, jednego usypiając jak zawsze, drugiego budziła do życia, do rozkoszy...

— Widzi mi się panienko — mówił teraz Michaś do Anieli, sprząając nakrycie — że pan Guccio ze wszystkim zmarniał przez te lata, co do nas nie przyjeżdżał.

— Michasiowi się zdaje — zaprzeczała pani.

— Ta co poradzę? Niech ja słońce jasne w samo południe palcem pokażę na niebie, to każdy zaraz mówi: stary Michaś ślepy, od rzeczy baję. A taki i jest, połowy z niego nie zostało. Ponoś ona tam męża nie bardzo pielęgnuje, chociaż i ta ładna pani w Nadbużu.

— Nie trzeba tego mówić Michasiu.

— Pożal się Boże, a czy ja to gadam do kogoniebądź? Ot, panienska, to panienska, a w przedpokoju gęba na kłódkę. Z Łyskiem bym się nie dogadał, boć to zwyczajnie zwierz nie do rozmowy. Ale co prawda, to prawda.

Chłopczysko ci pamiętam jak malowane, a rażne, a wesołe, a skoczne, dziś, ślepią wytrzeszczam, on czy nie on? Blade to, zmizerowane, a już oczami

patrzy, jakżeby szklannemi. Bywało, z konia albo z bryczki
jeno skoczy, zaraz
mnie starego rozpytuje, a co u was, a jak, gdzie pan, gdzie
panna Aniołek ?
Teraz ci przyjechał; z karety jak na nie swoich nogach
wysiadł, człowiekowi
ledwie że głową kiwnął, aż serce zabolalo. Ale myślałem, ot,
ze starym się dziś
poufalić nie chce... dopiero niosę kawę, okiem zerknę, a pan
Gucio i w pokoju
tak wygląda, jak gdyby sześć wsi spalił, a o siódmej myślał.
— Michasiu, Michasiu — reflektowała Aniela.
— Wiem ci ja — ciągnął stary, mając się z tacą do wyjścia —
że on temu nie
winien, ale ona; niedarmo wróble śpiewają, że sekutnica, a co
gorzej... et, nie
moja rzecz.
Wszedł Zygmunt, Michaś machnął serwetą, i już tylko
mrużąc sam do siebie,
cichutko wysunął się z naczyniem.
Rodzeństwo przez długą chwilę nie zaczynało rozmowy.
Gość, przygnębiające na
nich zostawił po sobie wrażenie.

III.

Wagner, zniecierpliwiony tego wieczora, kiedy na
Mazowieckiej, daremnie
wyglądając Kamilli, doczekał się męża, przywożącego
żałobną wiadomość, wkrótce

potem, bez pożegnania, wyjechał z Warszawy do domu —
przez Lublin. Czy wiedział
lub domyślał się, co zaszło z Podborskim, nad tem łamała
sobie głowę Kamilla.

Ale obawy z czasem upadły. Od dawna sąsiad jest znowu
częstym gościem w Nadbużu,
nie brak mu sposobności do poufnych gawęd, a przecież
nigdy, ani jednym słowem
katastrofy nie dotknął. Byłżeby tak subtelnie delikatnym?
Mógłżeby być tyle
obojętnym? Ten ostatni wzgląd właśnie uspokajał pewną
siebie kobietę.

W tej chwili, kiedy Lubiczowie goszczą Augusta w
Topolanach, Wagner, obecny w
Nadbużu, postanawia z nieobecności męża skorzystać i
zjednać w żonie sojusza dla
swych planów szerokich.

— Czas wielki zastanowić się nad waszem ma jątkowem
położeniem — mówi — które z
dnia na dzień staje się groźniejszym.

— Groźniejszym? — zdziwiona rzekła Kamilla. —

Wprawdzie August oddawna zatruwa
mi życie swoim narzekaniem na złe lata i brak gotówki,
nawet niedelikatnie
mojej matce przypisuje kłopoty, wynikające podobno z jego
nieoślęstwa, ale z tem
wszystkiem nie przypuszczam, aby położenie istotnie groźnem
być miało.

— August postępuje mojem zdaniem bardzo nierozważnie,
tając prawdę przed żoną.

Dziś już nie łudzić się, ale działać i chociaż cokolwiek ratować należy.

— Jako cokolwiek ? miałaby on być zrujnowanym ? Nie wierzę w to — i

postąpiwszy żywo krok naprzód, bystro, niespokojnie a groźnie patrzyła w oczy

Wagnera.

Ten mówił zimno, słowo po słowie.

— To gorzej niż ruina. Nadbuże wkrótce będzie sprzedanem przez subhastację, a na

pamiętkę po niem, zostanie jeszcze mnóstwo długów które Augustowi już nigdy

spokoju nie dadzą.

— Co ty mówisz?!

— Potem wierzyciele rzucą się na sumę jodłowską i z kolei matkę szarpać będą.

— Niepodobna! więc tak podszedł mnie ten niedołęga ? Więc na tem ma się skończyć

owo

szczęście, które mi obiecywał? Ireneuszu, ty chyba mnie straszysz.

— Kocham cię Kamillo, a jakkolwiek moje uczucie przyjmiesz, pragnę cię widzieć

szczęśliwą. Więc nie straszyc, raczej radzić pragnę, dopóki pora.

— Radzić? Jeżeli tak jest, cóż twoja rada pomoże?

— Mam trochę środków, a wiele, wiele dobrych chęci dla ciebie.

— Nie rozumiem.

— Czy wiesz, jaki jest cel Augusta w zbliżeniu się do Lubiczów.

— Ah, nie łamię sobie nad tem głowy.

— To takie proste. Widzi, że za kilka miesięcy zostanie nędzarzem więc dziś już zebrze o pomoc dawnego przyjaciela i przyjaciółki.

— Więc niech pomagają, jeżeli są tak wspaniałomyślni. Ja nie mam nic przeciwko

temu. Ze on się płaszczy, to jemu tylko szkodzić może.

Owszem, teraz nie biorę

mu za złe, że się do Topolan łasi, ja nie chcę zostać żebraczką.

— A czy pani wiesz, na czym ta pomoc polegać będzie?

— Zkądże mam wiedzieć?

— Przecież Lubiczowie nie darują Augustowi swojej fortuny.

— Niechaj pożyczą pieniądze.

— Tu idzie o krocie, a nie pożyczają się krociami temu, kto nawet nie ma już setek.

— To przesada.

— Niestety nie. Lubiczowie staną do licytacji, kupią Nadbuże, a przyjacielowi i

jego żonie, w drodze łaski, pozwolą do czasu mieszkać w pałacu, trzymać parę

koni do wyjazdu, korzystać z ogrodu itp. Chciałabyś Kamillo zostać komornicą

panny Teresy?

Skąd to wiesz wszystko? Kto ci o tem powiedział? — W głosie kobiety brzmiał

wielki gniew.

— Nie potrzeba pytać się nikogo o to, co się samo przez się rozumie, chociaż,

niema dziś sąsiada w okolicy, niema żyda, któryby tego nie mówił.

— A!! — zawołała Kamilla, grożąc obydwoma rękami — więc on jest nie tylko niedołągą, nie tylko idjotą, ale nikczemnym, podłym człowiekiem! Mnie, mnie śmieć taką przyszłość gotować!

— Jeżeli nie ma innych środków przed sobą...

— Powinien mieć, skoro za moje i mojej matki szczęście, wziął odpowiedzialność na siebie jeszcze w Paryżu. Czyż nie zapewniał, że żadna z nas nie znajdzie się nigdy w kłopotach, że posiada na wszystko wystarczający majątek? Dla czego wyszłam za tę lalkę bez cha-

rakteru, bez woli. co jak mazgaj łyzy tylko ma na zawołanie?

Przecież on płakał

już wtedy, gdy prosił o moją rękę. Od takiego mężczyzny nie żąda się niczego,

prócz pieniędzy, a jeśli mu ich zabrakło, niechże ich szuka, lub... na żadne

względy nie liczy. A — podły!

— Zupełnie podzielani to oburzenie — mówił Wagner, patrząc z pod oka i głaszcząc piękną brodę.

— Mnie chcieć zostawić na łaskawym chlebie jakiejś garbatej pokraki, uczynić prostą szafarką i praczką męzowskiej bielizny ! Ale ja jego nauczę. — I Kamilla

pięścią uderzyła w fortepian tak silnie, że strony w nim zabrzęczały.

— Nie pora unosić się — perswadował Wagner — raczej trzeba złemu zapobiedz.

— Proszę, zapobiegnij, jeżeli możesz, daję panu zupełną carte blanche — dodała tonem złośliwym.

— Posłuchaj Kamillo.

— Słucham, słucham — i tam i na powrót po salonie biegała.

— Czy wierzysz w miłość moją dla ciebie?

— Dajżeż mi teraz pokój z miłością. Winszuję sobie romansu w cerowanych pończochach.

Przy tych słowach, piękna kobieta nie była piękną, ale Wagner, nie szukając ideału w niej, ani poezji w sytuacji, ciągnął dalej:

— Ja kupię Nadbuże, jeżeli mi każesz, Kamillo!

— Ty? — zapytała zdziwiona.

— Tak jest. Gotów jestem uczynić to dla...

— Moich pięknych oczu, czy... spekulacji?

— Dla twego dobra, dla twojej przyszłości.

— Jakto, dla mnie chciałbyś się sam rujnować?

— Bynajmniej. Ani się zrujnuję, ani nawet nic na tem nie stracę.

— Więc cudu chcesz dokazać?

— Chcę środkami, jakie posiadam, bezinteteresownie ratować majątek dla tej którą kocham, którą uwielbiam. Kupię Nadbuże na moje imię, zasłonię was tem samem

przed resztą wierzycieli, zostawię zupełną swobodę działania,
niech August
sprzeda lasy, umniejszy przestrzeni, dam mu na to rok czasu,
dwa, trzy wreszcie;
choć trochę zaradności, a łatwo zdoła mnie spłacić, ocalając
wprawdzie
uszczerploną, ale czystą i bardzo jeszcze przyzwoitą fortunę.
Z uwagą słuchała Kamilla, po pauzie rzekła:
— A więc zapewne i Lubiczowie mają taką kombinację na
myśli, bo trudno przecież
przypuścić, aby na nas zarabiać chcieli.
— Nie przeczę — odparł Wagner, jak gdyby przygotowany na
to pytanie — lekarstwo
z mojej ręki jest to samo, tylko zupełnie odmienna

forma jego przyrządzenia, mniej przykra, jeśli nie nieznośna.
— ?.
— Lubicz jest twoim antagonistą, Kamillo, o tem wiemy od
dawna, jego siostra
,cię nienawidzi, czyż więc nie byłby upokarzającym twój,
choć pośredni
stosunek z ludźmi, którzy, poczytując Augusta za idjotę, bądź
co bądź w jego
sprawy majątkowe, a bodaj że i codzienne, z natury rzeczy
mieszać się będą
musieli ? Zdaje mi się, że ja pod tym względem przedstawiam
dla was wygodniejsze
warunki. Zapewne, gdybym cię nie kochał Kamillo, gdyby mi
nie zależało tak
bardzo na możliwości patrzenia w te oczy, słuchania tego głosu..

Przerwał Wagner, a ująwszy jej rękę w swe dłonie, całował gorąco. Nie broniła mu.

— Bo ja drzę na myśl samą, że cię stracić mogę. Lata czekałem na sposobność złożenia ci dowodów nie tylko miłości, nie tylko przywiązania, ale zaparcia się samego siebie dla twego dobra. Dziś ta chwila nadchodzi, dziś przekonam cię, że kobieta, która nie znalazła szczęścia w małżeństwie, niech o niem jeszcze nie wątpi. Ja ci to szczęście odrodzić przyrzekam! Mimo wcale udatnego zapału, z jakim kochanek banalne słowa wyrzucał, nie brała się na nie wyrafinowana kobieta. Ona raczej interes miała w tej chwili na myśli.

— Chce mnie posiadać — mówiła jednocześnie do siebie — tem bardziej, że na to czeka tak dawno. Manipulacja z Nadbużem, jaka się nastrecza, ułatwia mu drogę ku temu. W istocie, to będzie wygodna deska ratunku, tem wygodniejsza, że na skinienie tonącego powolna. I już zdecydowała się Kamilla przyjąć usługi Wagnera. O sprzeciwianiu się Augusta nie mogło być mowy. Dla czegożby miała się liczyć z wolą męża, nad którą jej wdzięki, w trudniejszych o wiele położeniach, odnosiły zwycięstwo?

Że Wagnerowi, dobroczyńcy, trzeba będzie w końcu zrealizować nagrodę, to rzecz nie wielkiej wagi. Wszakże dawno mu ją przyrzekła. Wreszcie, pierwszy krok tylko kosztuje, a bywają aktorki, zdolne nawet podczas debiutu nad tremą panować.

* * *

Późnym wieczorem, żywo i namiętnie rozmawiają Turscy w sypialni. On blady, drżący, słucha potoku słów; krople potu wystąpiły mu na czoło. Ona, na pół w negliżu, gorączkowo kroczy po pokoju, a zapala się tem bardziej, im większy, a niespodziewany opór ze strony męża spotyka.

— Taki człowiek, jak ty — mówi Kamilla ze złością — nie ma prawa głosu. Czem mi zaręczysz, że w końcu nie zostanę bez dachu, bez trzewików? — Czyż Lubicz nie przedstawia dla ciebie dostatecznej rękojmi? — tłumaczył się August — a on zapewnia, że za parę lat, uporządkuje zupełnie nasze interesy.
— Gdyby nawet tak było, ja nie chcę słyszeć o żadnym Lubiczu, rozumiesz.
Potrzeba być pozbawionym ambicji i poczucia własnej godności, ażeby przyjmować dobrodziejstwa i łaski od ludzi, którzy twojej żonie radziłyby oczy wydrapać.

— Tu nie ma mowy o żadnych łaskach, Zygmunt przez życzliwość dla mnie, gotów jest udzielić swego doświadczenia i pożyczyć kapitału, nie czyniąc darowizny.

— Takie doświadczenie każdy inny mieć może, a o kapitał niech cię głowa nie boli, już ja go przygotowałam.

— Ty? przygotowałaś kapitał? — i mąż ze zdziwieniem krok naprzód postąpił — Ha,

może twoja matka poczuła się nareszcie do obowiązku...

— Nie matka. Wiesz dobrze, że to niemożliwe.

— Wiem, że uczynić-by to powinna. Jeżeli więc nie ona?...

— Nie ona. tylko Wagner. Wszystko zrobi to samo, co Lubicz.

— Co, Wagner? Nigdy nie pozwoliłbym na to.

— Ciekawam dla czego?

— Dla tego, że taki stosunek, z konieczności lata trwający, dałby nowe powody do plotek i szemrania całej okolicy, a ty podobno wiesz najlepiej, Kamillo, że ja mam dosyć już tego.

— Co mnie tam cała twoja okolica obchodzi. Niech mówią, co im się podoba.

— Hola, moja pani!—zawołał August z energią — zarzucasz mi brak poczucia własnej godności, a żądasz, abym zbywał w milczeniu tych, co honor mój szarpać gotowi?

Ha, ha, ha! — ironicznie zaśmiała się Kamilla — tobież być tak drażliwym na

honor?

Teraz wybuchnąć miał August na te słowa, tak bardzo
złośliwe Przecież adresowała
je widocznie do Podborskiego, który dziś nie dałby wiele za
honor jej męża. Ale
uczuwając wstręt do niej, nie miał odwagi bronienia złej
sprawy. Przygryzł wargi
i zamilkł. Nie mniej, burzyła się w nim krew, tracił
równowagę, chciał wyjść z
pokoju. Ona zastąpiła mu drogę.
— Wagner tu jutro przyjedzie. Powiedział, że chcąc działać,
potrzebuje być
bezzwłocznie zawiadomionym o naszej decyzji, ażeby się
mógł

odpowiednio urządzić z interesami, a więc uprzedzam cię o
tem.

— Oświadczam stanowczo — mówił teraz mąż dobitnie — że
nigdy się na to nie
zgodzę.

— Nie zgodzisz ? Zobaczymy. Chcesz wojny, będziesz ją
miał.

— Dobranoc — rzekł August zimno i ujął za kłamkę.

Ale ona przystąpiła do niego i chwyciła za ramię.

— Wiedz, że żartów ze mną niema. Jeżeli upierasz się przy
twoich Lubiczach.

jutro wyjeżdżam do matki i przysięgam, nie wrócę nigdy,
choćbyś klęczał
przedemną.

Na tę groźbę, z przejęciem rzuconą, zastanowił się Turski; ale,
jak gdyby się

wnet opamiętał — a więc jedź ! — zawołał, gorzej mi bez ciebie nie będzie, niż z tobą.

Inne spodziewała się wywołać wrażenie Kamilla, ale snać przeceniła swe siły.

Porażka jednak, zamiast ją zbić z toru, raczej wywołała w niej wściekłość.

— Więc to tak? oszukałeś mnie haniebnie, łudzając, obiecując, że będę bogatą i szczęśliwą, a teraz, kiedyś zrujnował twój lichej majątek, doprowadził żonę i siebie do nędzy, teraz pozbyć się mnie pragniesz?

— Ty, ty, zrujnowałaś mnie na wspólnkę z zaciętą matką twoją — wołał August,

niepohamowany już w gniewie — ty i ona razem podeszłyście mnie jeszcze w

Paryżu, zmuszając do ratowania jodłowskich lasów i piasków, a ja głupi,

łatwowierny, pozwoliłem wodzić się wam, jak dziecko.

— Nie obrażaj mojej matki, sam raczej jesteś mazgaj, mamin synek, niedołęga!

— Przestań kobieto, nie doprowadzaj mnie do ostateczności.

— Dość tego, ja się twych ostateczności nie lękam. Chcesz się mnie pozbyć, a

więc nie, właśnie zostanę i przekonam cię, że na swoim postawię.

— Zobaczymy, w tej chwili napiszę do Wagnera, aby sobie wybił z głowy wszelkie interwencje.

— A ja pojedę do Topolan i zapowiem twoim Lubiczom, że jeśli nie przestaną mieszać się w nieswoje rzeczy, to jej publiczny skandal wyprawię.

— Ty, ty miałabyś czoło stanąć przed tą świętą kobietą? E, chyba nie masz tyle czelności.

Kamilla z błyszczącym okiem, ruchem psa zajadłego, przyskoczyła do Augusta.

— Ja ci dam czelność i świętą kobietę! — i podniosła rękę, którą jednak mąż w porę u-

chwycił, a nie panując wobec tej brutalnej śmiałości nad sobą, tak zdławił ramię

Kamilli, że wnet przyklękła na jedno kolano.

— A, boli! — krzyknęła, wyrывая się z zaciśniętych pięści. Ale on zdawał się jej głosu nie słyszeć, a nie kwapiąc się nawet podnieść żony, rzucił na nią pogardliwym wzrokiem i na pozór spokojny, wyszedł z sypialni.

IV.

Trucizna, jest to substancja, która w danej ilości, jeżeli nie zabija, to w każdym razie nie może wejść w normalny skład krwi i w ogóle znaleźć się w

organizmie, bez pozostawienia w nim chwilowej lub trwałej szkody po sobie.

To jednak określenie nie dowodzi, ażeby ona miała być bezwzględnie zabójczą, lub nawet szkodliwą, przeciwnie, w odpowiedniej dozie użyta, stanowić może, przez właściwą sobie działalność, skuteczne lekarstwo; ztąd też zasada: trucizna w wielu razach leczy, a źle użyte lekarstwo, (w przesadzonej dozie) raczej szkodzi, a nawet zabija.

Choroby moralne człowieka, cierpienia duszy, nie ciała, częściej aniżeli fizyczne szukają ulgi w truciznach. Potwierdza to gminne przysłowie: „Na frasunek dobry trunek”. Któż, nawet i nie zaliczający się do gminu, w chwilach nadmiaru zmartwień, trosk i kłopotów, nie do-

świadczą doraźnego skutku kieliszka mocnej wódki?

Działanie spirytusu dosadnie malują utarte wyrażenia: "rozjaśniło mi się w oczach", albo "zapiłem sprawę".

Po za alkoholem, spotykamy cały szereg innych środków, działających na władze mózgowe, które też Richet w swem dziele "L'homme et l'intelligence", trafnie truciznami inteligencji nazywa. Pierwsze i wybitne miejsce zajmują tu: opium, chloroform, haszysz.

Każdy z nich, w mniej lub bardziej podobny sposób, w wyższym lub niższym stopniu, zdolny jest usunąć samowiedzę i czucie człowieka, a tem samem złagodzić, jeśli nie ukoić chwilowo ból bądź fizycznej, bądź psychicznej natury.

To też jak chirurg skwapliwie posługuje się chloroformem przy operacjach, tak medyk, w przeróżnych chorobach, zastosowuje opium, ten dzielny, zbawienny

środek, o którym stary Sydenham powiedział: "Si l'on ne possédait l'opium, il faudrait rénoncer à la médecine".

W Europie, z pośród trucizn inteligencji, alkohol rozpowszechnił się najszerzej, a wobec tak silnego działania na władze umysłowe, słusznie budzi poważny interes już nie tylko wyłącznie ze względu na filozofję i psychologję, ale nawet na stan ogólnospołeczny.

Po trosze jednak z Indyj, Egiptu, Syryi i t. d.. wkradły się do Europy alkaloidy, z opium

otrzymywane, jak tebaina. papawerina, kodeina, morfina i inne, które nauka pod ogólną nazwą laudanum przygarnęła chętnie, obliczając ich znaczenie dodatnie, zbawcze, nie mogąc jednak zapobiedz szkodliwości, z użycia tychże po za wiedzą lekarską wynikającej.

Tę bowiem smutną i groźną właściwość mają toxika do siebie,
że raz, drugi, a
trzeci użyte dla swych tak bardzo dobroczynnych skutków,
stają się nieodzownymi,
z czasem owładają nami, w końcu w istnych zamieniają
niewolników.

Na najpoważniejszą w tym względzie uwagę zasługuje
morfina, tak przez swą
szkodliwość, jak i popularność, którą w Europie coraz więcej
sobie zdobywa.

Bywają wypadki, nie rzadkie, w których cierpienia fizyczne
przechodzą siły
chorego. Lekarz opuszcza ręce, bo w nauce środka już na nie
znaleźć nie może,

ale stać go na odebranie samowiedzy, czucia pacjentowi.

Sztucznie wywołany sen

przez opium, nie tylko pozwala o bólu zapomnieć, ale
sprowadza nowy zasób sił.

przez cierpienie wyczerpanych, a dla chorego niezbędnych.

Równie ważne, a pożądane zastosowanie, posiadają narkotyki
w cierpieniach

psychicznych, moralnych. Podniecając chwilowo władze
intelektualne, wprowadzając
je w stan pewnej nadczu-

łości, w następstwie przynoszą reakcję — zubożenie
wrażliwości.

Pierwsze kroki wywłaszczenia z majątku, jakie rozpoczął w
Nadbużu Dymowicz,

podejrzanie uwielbianej żony o niewierność, a na domiar
niespodziewana choroba i

śmierć ukochanego dziecka, takie trzy ciosy, uderzając w
równie jak August
Turski słabego człowieka, nie mogły nie sprowadzić groźnego
kataklizmu w jego
duszy i umyśle.
Lekarz, widząc i oceniając w tej chwili niebezpieczeństwo,
posłużył się dawką
morfiny, bo — jak to wówczas Lubicz powiedział — *similia
similibus gaudent*.
Skutek został osiągnięty. Heroiczny środek swem heroicznem
działaniem sprowadził
pożądaną reakcję.
Że zachodziła usprawiedliwiona obawa ponowienia się
niebezpiecznego stanu
pacjenta, przeto lekarz zalecił powtórzenie raz zastosowa nego
środka, o ile
tego zajdzie konieczność.
Oto, jak rozpoczął Turski smutną morfiniczną karierę. W
podobny sposób
rozpoczyna ją morfinista każdy.
Większą czy mniejszą okaże się potrzeba, on już, z samej
obawy cierpienia,
spieszy

do strzykawki, te skwapliwiej że w niej nie tylko ból koi, ale
nadto, niby w
czystym zysku, błogie rozkosze znajduje.
I teraz więc po gwałtownem przejściu z Kamillą przejściu,
jakie jeszcze nie
miało miejsca między niemi w ciągu czteroletniego pożycia,
August, zaledwie

zdażył do siebie, wzburzony, rozżalony, wnet jak pijak wódkę,
porwał kryształ z
solucją i drżącymi rękami nadmierną dozę zastrzyknął.
Potem szybko po pokoju chodził, zdając się niecierpliwie
oczekiwać
błogosławionych skutków narkotyku.
A nie długo czekać na nie potrzeba.
Oto po kilkunastu minutach przychodzi nieokreślone
zadowolenie. Niby jasny
promień słońca, mgły poranne przebija, przynosząc z sobą
światło i ciepło
ożywcze tam, gdzie ciemno, zimno i smutno. W miarę jak
trucizna subtelnie w
organizm się wkrada, stan normalny zanika, a w ślad za tem
następuje szereg
nieokreślonych wrażeń, które właściwiej do półsennych
złudzeń, aniżeli marzenia,
porównywaćby należało. Jak w kalejdoskopie, przesuwiają się
w myśli małe z
rzeczywistością związek mające obrazy i mieniają się szybko,
coraz to nowe
Powoli po długiej chwili, nogi cięższą, zwieszają się ramiona,
opadają powieki.
Morfinista kładzie się na otomanie na wznak. Jego duch

tylko miło a błogo drzemać zaczyna, sam człowiek — zdaje
się — już odszedł od
siebie, a z nim rzeczy świadomość. Nie ustały wprawdzie
wrażenia zewnętrznego
świata, ale je odbiera inna, jakby nie swoja istota. Więc ona
słyszy tykotanie

zegara, szczekanie psa w oddali, szum drzew i plusk deszczu.
Ale ta inna istota
nie wie, że jest w tym samym pokoju, nie wie, że leży na
otomane tej samej, ona
nie wie gdzie jest, ani kim jest, ani dla czego jest. Otoczenie
jej to
przestwory nieznane, tajemnicze.
Wreszcie i ten stan się zmienia. Zginęły wiedza i wola,
skończyło się zmysłów
działanie, zniknął już świat zewnętrzny, ale to jeszcze nie sen,
bo została
myśl. I morfinista w tej fazie sam staje się myślą, nie tą
zdrową, trzeźwą,
rozumowi podległą; to jest raczej tylko myśli pierwiastek,
świadczący, że
człowiek nie umarł, nie zasnął — on się tylko narkotykiem,
morfiną upoił.
Drogą do reakcji po takim wstrząśnięciu nerwów, władz
intelektualnych, słowem
całego organizmu człowieka, będzie zaledwie prawdziwy sen,
który zależnie od
dawki lub odporności osobnika, wcześniej lub później
przychodzi.
A jakże rozkoszny, boski sen zmorfinowanego ! W nim
dopiero zdaje się on być
świadomym stanem, jaki usiłował w sobie wywołać. Bo on wie,
że śpi, on to czuje.
Takie godziny upły-

wają mu z cudowną szybkością, dla tego właśnie, że z tego
snu nigdyby się nie

chciał rozbudzić. Nad ranem zwłaszcza, kiedy możnaby
sądzić, że opium już
słabnie w skutkach, a kiedy ono właśnie największą siłę
wywiera, sen ma swój
urok czarowny. Wiedza, oswobodzona od wszelakich
wpływów .ziemskich, króluje i
bują swobodnie w krainie myśli słodkich, spokojnych,
błogosławionych...
I w tem leży owo upojenie psychiczne, tem tryumfuje nad
alkoholem morfina, że
kiedy tamten przynosi zaledwie kilka chwil szału na jawie, to
ono — opium —
sprowadza sen tak błogi, cudowny, że z niem żadne inne
dobrodziejstwo, żadna
inna ulga w cierpieniach porównać się nie da.

* * *

Zbudził się August i przetarł oczy. Miał na sobie wczorajsze
ubranie. Nie umiał
obliczyć upłynionego czasu. Lampa zgasła, tylko brzask
światła nieśmiało wkradał
się do gabinetu przez zasunięte, ciężkie firanki.
Kolejno przypominał sobie dnia poprzedniego wypadki. Był w
Topolanach, prawie że
uciekł ztamtąd. Przybywszy do domu, stęskniony, do Kamilli
pospieszył. Ale w
złym humorze ją zastał. Zaiast przywitania, obcesowo
wystąpiła z zarzutami, że
ją i siebie zrujnował, a kiedy

on broniąc się i tłumacząc, wreszcie dla uspokojenia jej samej,
odkrył pocziwe
plany Lubiczów, wówczas, od słowa do słowa, przyszło
między niemi do gorącej
sprzeczki, potem do obelg, w końcu..

— Jezus Marja! czy pamięć mnie nie zwodzi? — I chwycił się
biedny za głowę. —

Ale nie, pamiętam wyraźnie, ona rękę na mnie podniosła, a ja,
rzuciłem się na

nią, na żonę, słabą kobietę... padła u nóg moich... zostawiłem
ją jakgdyby

politowania, żadnych względów niegodną istotę.

I chwilę znów wątpił, czy to nie sen jeszcze, nie dalszy ciąg
fantazyjnych

obrazów, rozprężających jego skołatane myśli. Tarł czoło,
jaskgdyby w mózgu

odpowiedzi szukał.

Wśród doskonałej ciszy, rozległ się głos sygnaturki na
nadbuzzańskim kościele.

August oprzytomniał. Szybko podszedł do okna, rozsunał
zasłonę. Dniało na dobre.

Oblany światłem dziennem, zawstydził się sam siebie,
brzydził się czynem, który
w uniesieniu popełnił.

— Wolnoż mi stanąć przed nią? — myślał — wolnoż błagać
przebaczenia?

I ten człowiek, miłością okaleczały, fanatyzmem dla niegodnej
siebie kobiety

oślepiły, już nie żywił żalu za wszystkie jej grzechy, byłby
gotów stokroć więcej

darować, z serca przeba-

czyć, gdyby tylko miał pewność, że tem swą wczorajszą winę okupi.

Zastanowił się i gorączkowo do sypialni Kamilli pospieszył.

Pod drzwiami

zatrzymał się. Był bardzo blady, drżało mu serce, słuchał.

Cisza zupełna.

Zapewne śpi. Jakkolwiek usprawiedliwionem było to

przypuszczenie, przejął go

dziwny lęk. A może chora? Cichutko drzwi uchylił i wszedł.

Nocna, blado-różowa lampa, tak słabo oświetlała sypialnię że

August nie

rozdzielił dokładnie przedmiotów. Nie śmiał zbliżyć się do

kotary, jak

zbrodniarz, którego sumienie nie czyste. Stał więc i ciągle

słuchał. Ale cicho

tu było jak w grobie. Wreszcie ostrożnie parę kroków postąpił,

a gdy okiem

rzucił przed siebie, oddech zamarł mu w piersi, zachwiały się

kolana. Chciał

krzyknąć, i brakło mu głosu.

W tem samym miejscu, gdzie wczoraj, pod siłą jego ramienia,

Kamilla na dywanie

ukłękła, gdzie ją, wychodząc, pogardliwym spojrzeniem

obrzucił, teraz leży

rozciągnięte, martwe jej ciało.

I mimo, że okna sypialni okryte szczelnie, że lampa różowa

bardzo słabo pokój

oświeca, Augustowi w oczach stało się tak jasno, że w tem

świecie widział

wyraźnie trupa o bladej twarzy, jego zwisłe ramiona,

wyciągnięte nogi.

Pod strachem i przerażeniem wprzód skamieniał, zanim
zdażył zdać sobie sprawę ze
straszego widoku, ale w tem usłyszał słowa:
— Czy to ty Auguście ?
— Kamillo!! — nieludzkim, jakby dzikim głosem zaryczał i
padł na posadzkę
bezwładnie, obejmując rękami trupa swej żony, właściwie jej
peniuar, na dywanie
leżący.
— Co to jest?! — zawołała kobieta, na łoskot zrywając się z
łóżka i rozsunięwszy
kotarę, w białźnie stanęła przerażona na środku pokoju.
Sądziła, że mąż
oszalał.
Teraz dopiero głos i zjawienie się jej, wyprowadziło Augusta
z błędu będącego
ciągle jeszcze następstwem silnej dozy morfiny.
Porzucony niedbała szlafrok na dywanie, tuż obok pantofle,
starczyły mu za obraz
trupa, jego bladej twarzy, nóg wyciągniętych.*)
Gdy powstał i ujrzał żonę, gdy nareszcie położenie zrozumiał,
w szale radości
porwał ją w ramiona i chwilę trzymał, jak gdyby chciał

*) Złudzenie, zwane iluzją. Lasegue upatruje stosunek iluzji
do halucynacji, jak
obmowy do oszczerstwa. Podlegać halucynacji, jest to
wyobrażać sobie jakieś
widziadło bez żadnego zewnętrznego powodu. W pustym
naprzykład pokoju, w nocy,

daje się widzieć potwór o dziwacznych, przerażających kształtach, mimo, że tam nie znajduje się nic, co by mogło złudzenie wywołać. Iluzja, (stan chorobliwy od halucynacji niższy) polega na przybieraniu fantazyjnych kształtów tego przedmiotu, który obok siebie widzimy, np. krzaka drzewa, ubrania i tp.

sprawdzić, że to ta sama, żyjąca, zdrowa Kamilla, jak gdyby jeszcze wiarę w siebie wlewał, że z dwóch świeżych wrażeń, to ostatnie opiera się na rzeczywistości i prawdzie, a tamto było tylko złudzeniem. Ona, w pierwszej chwili, nie pojmując, co zaszło, prosto ze snu, gdy przypomniała sobie wczorajsze z mężem rozstanie, pojęła wnet, że jest to tylko nowe zwycięstwo nad człowiekiem, który wobec niej, nie miał swej woli, nie umiał panować nad sobą, który, gdyby go nawet dziś odtrąciła z pogardą, jutro powróci i jak żebrak jałmużny, o jedno jej spojrzenie błagać będzie w pokorze. To też teraz nietylko nie broniła mu pieszczot, pocałunków gorących, ale przeciwnie, ona pragnęła, aby się niemi nasycił, aby się w ich uroku lubował, jak pijak, który im dłużej mocnego trunku używa, tem bardziej staje się od niego zależnym, nałogowym.

— No, dosyć już, dosyć, Auguście — mówiła wreszcie Kamilla, gdy on do jej kolan się schylił i nogi jak pies wierny całował, — uspokój się, jesteś bardzo wzruszony — i ująwszy ramię męża, prowadziła go za kotarę. On ją znowu wpół objął namiętnie.
— Więc wybaczyłaś mi? — zawołał. Gniewać się w dalszym ciągu, nie leżało w jej roli.

— Unieśliśmy się wzajemnie — mówiła w objęciach — i wzajemnie sobie wybaczymy.
Teraz odpocznij, nie rozbierałeś się wcale, nie spałeś. August nie chciał żonie tłumaczyć, w jakich snach przepędził noc. Jak przed wszystkimi, tak i przed nią, krył się z morfiną. Zwierzać się wreszcie nie było potrzeby. Cokolwiek się stało z wieczora, on był teraz szczęśliwy, bo znów troskliwą, kochającą żonę odzyskał, to też gdy za chwilę złożył na jej łonie swą głowę, płakał, jak dziecko — łzami upojenia, miłości ..
Tegoż dnia, po południu, gdy Turski przez pałacową bramę do Tężyna, do pana Wagnera wyjeżdżał, jednocześnie na folwarku dosiadał konia posłaniec, z listem do Topolan tej treści:
„Ani się na mnie nie gniewaj, ani nie oburzaj, kochany panie Zygmuncie, raczej wniknąć chciej w drażliwość mego położenia, a łatwo pojdziesz, dla jakich powodów

zrzec się muszę zacnych, bezinteresownych usług, z którymi
ofiarowałeś się nie
tylko Ty, przyjacielu nieoceniony, ale i poczciwa siostra
Twoja.

W miarę zbliżania się licytacji Nadbuża, nie mogłem, chociaż
pobieżnie, nie

wtajemniczyć Kamilli w obecny stan naszych interesów.

Wszakże to żona moja,

życia towarzyska, którą odsądzić od świadomości i
współdziałania w spra-

wach, nawet tak bardzo smutnych, jak moje, znaczyłoby tyle,
co ją uczynić

zaufania niegodną, czyli jedno złe, drugim. gorszem jeszcze
powiększyć.

Rozum i serca Wasze, dają mi zupełną rękojmię, że nie tylko
będziecie mnie mieli

za wytlómaczonego, ale pochwalicie nawet krok, jaki
uczyniłem wczoraj,

wtajemniczając moją żonę w projekty, przez Was stworzone,
co do Nadbuża i mojej
przyszłości.

Że ona w nich dopatruje upokorzenia dla siebie, tego jej ze
względu na dawne, a

znane ci, panie Zygmuncie, okoliczności, niepodobna brać za
złe. A ja, czyż mogę

od niej żądać, ażeby się zaparła ambicji i osobistej godności?

Ale, wiedząc jak bardzo jesteś panie Zygmuncie zawsze o
mnie troskliwy ile Cię

los mój obchodzi, uspokoić pospieszam, że opór, z jakim się
ze strony Kamilli

spotkałem, nie pociągnie złych następstw dla mnie, albowiem
Wagner, którego
życzliwość i dobre dla nas chęci miałem już czas
wypróbować, posiada odpowiedni
kapitał, i oświadczył się z gotowością przyjscia nam z pomocą
sąsiedzka, w
sposób ten sam, w jaki i Wy, kochani państwo, w
niewyczerpanej dobroci a
niezasłużonej gorliwości o mnie, byliście to gotowi uczynić.
W tem położeniu mam
nadzieję itd. itd."

V.

Termin sprzedaży przez publiczną licytację znaczniejszych
dóbr, stanowi zawsze
nie małe zainteresowanie w prowincjonalnem mieście, i
wywołuje ruch w wydziale
hipotecznym, pomiędzy adwokatami, wśród żydków
miejscowych, a nawet po hotelach,
do których na ten dzień przybywają pożądani goście.
Dziś, w Lublinie, w Sądzie Okręgowym, sprzedane zostaną
dobra Nadbuże.
Pisarz hipoteczny nie może sobie dać rady z wielką, w żółtą
skórę oprawną
księgą, po którą co chwila zgłasza się dependent od tego lub
owego rejenta.
Prawnicy konferują z wierzycielami, którzy mimo, że nie mają
widoków uratowania
swych sum, jednak ryzykują jeszcze pięć lub dziesięć rubli za
naradę — par

acquis de conscience.

A już żydkowie całymi bandami szwargoczą na trotoarach, lub gromadzą się w sieniach ka-

mienie, solidaryzując jak zawsze ochronę strat, a częściej możliwość zarobku.

W tej chwili, z pośród nich, po wielce burzliwej rozmowie przed hotelem

Wiktorja, trzej jako delegowani, udają się do Dymowicza i żądają bezzwłocznej

audjencji. Jedenmacher lubelski, drugi z Hrubieszowa, trzeci z Zamościa.

— Pan mecenas bardzo zajęty — odpowiada pisarz przybyłym.

— Nu, niech pan jemu tylko powie, co to jest bardzo pilne, to nie weksel ani

żadne egzekucje, to jest gruby interes; panie dobrodzieju, niech pan idzie, on

panu podziękuje, na moje sumienie.

— Pan mecenas nie lubi, żeby mu przeszkadzać.

— Gib ihm a Rybel - żyd żydowi podszeptał, a gdy ten giestem pokazał, że nie ma

— haste a Hybtl? — drugi trzeciego zapytał, i za chwilę pan dependent wsuwał

papierek do wytartej kamizelki.

— Zaraz, zaraz, nie pali się — mówił tonem łaskawszym.

— To bardzo pilne — popierał żyd

— Schweig, schweig, er geht schon — reflektował inny.

— Co mi panowie powiecie? — po paru minutach pytał Dymowicz interesantów.

— To jest, panie mecenasie, tak — mówił pierwszy żyd, głaszcząc długą brodę —

trzy kupcy będą dziś stanąć do licytacji Nadbuża.

— Któż taki?

— Pan mecenas, to największy kupiec. Sprytny Dymowicz nie przeczył.

— Wczoraj przyjechał pan Lubicz z Topolan, wielki pan, a feiner Puret, nie

potrzeba panu mecenasowi powiedzieć. — Któż trzeci?

— Ny, co pan Lubicz przyjechał, to nie-szkodzi, my żydki znamy takie geszefty.

On powiedział panu Turskiemu, obiecował, co przyjedzie, to i przyjechał, ale on

pana mecenasa nie przelicytuje, na co jemu takiego kłopotu, to tylko polityka,

po sąsiedzku.

— Ale o cóż idzie?

— A pan mecenas wie, kto przyjechał jeszcze?

— Nic nie wiem.

— Bogacz, rozbójnik, co mu nie trzeba pałacu w Nadbużu, tylko belków, Rundholz i szwelów.

— Więc któż taki?

— Co to długo gadać, przyjechał stary Wajsgold z Zamościa.

— Ha, niech licytuje; czy ja mu bronię?

— Nu, my nie chcemy, coby on licytował, na co jemu licytować, niech on sobie wraca do Zamościa zdrów.

- Ale cóż ja wam na to poradzę?
- Panie mecenasie, to jest krótki interes. Wajsgold, bogacz, my jego znamy, jemu tak kupić Nadbużański klucz na licytację, jak mnie dziesięć korcy pszenicy, jemu nie boli głowa o sto tysięcy i jeszcze pięćdziesiąt, ale my już byli u rabina i zrobili rękę.
- A róbcie sobie.
- Jak pan mecenas jemu da pięć tysięcy rubli, to on wcale nie stanie, on zaraz pojedzie i będzie git.
- Ja, jemu, pięć tysięcy?
- To nie drogo, na sumienie, nie drogo.
- Dajcie wy mnie czysty pokój i idźcie do djabła.
- Jedno słowo, panie mecenasie.
- Nie mam czasu.
- Czy ja potrzebuję pana mecenasowi powiedzieć, co taki Wajsgold będzie pędził trzydzieści i czterdzieści tysięcy? Czy to on nie wie jakie tam pieniądze w lesie.
- Niech robi, co mu się podoba, ja ani rubla nie dam.
- Nu, to ja się podejmuję zrobić, coby on nie wziął, tylko cztery tysiące, już?
- Ani rubla, powiadam, nie zabierajcie mi czasu.
- Ostatnie słowo, niech będzie trzy.

Żyd żyda szarpnął za rękaw, jakgdyby go reflektował.
— Schweig — ten zawołał, odpychając go.

— Nic nie dam — stanowczo oświadczył Dymowicz.
— Aj waj mir, co to jest? — biadał macher lubelski.
Teraz drugi wysunął się na pierwszy plan.
— To niech wielmożny pan odstąpi od licytacji, Wajsgold
zapłaci, za co nie
zarobić?
W lot myśl prawnik uchwycił, ale tego nie pokazał po sobie.
Oczy tylko jak
zawsze rozstrzelił.
— Ile? — krótko zapytał.
Nu, niech wielmożny pan powie, ein Wort.
— Niech zapłaci dziesięć tysięcy. Naturalnie musi pokryć
moją sumę.
— Za drogo, panie mecenasie on tyle nie da.
— A więc nie ma interesu.
Targowano się jeszcze chwilę, po czerń żydkowie w imieniu
Wajsgolda, gorączkowo
złożyli pięć tysięcy rubli, w zamian za co Dymowicz dał rękę,
że do licytacji
nie stanie, o ile jego prawa zostaną pokryte.
I obydwie strony były bardzo zadowolone; Dymowicz, bo w
obec układu z Wagnerem

znalazł pieniądze na drodze, żydzi, bo zyskali pewność, że
Lubicz nie spotka
przy licytacji konkurenta. A oni działali w imieniu wszystkich
drobnych
lichwiarzy, których niższe sumy spaść miały. Wiedzieli zaś
dobrze, że o ile
Dymowicz po nabyciu Nadbuża nawet mówićby z żadnym nie
chciał, o tyle Lubicz

pójdzie w układy i każdego uczciwie obliczy, nie
dopuszczając straty, Wajsgold
był fikcją, użytą do żydowskiego manewru. Wobec słabej
nadziei, czy Dymowicz
odstąpi od licytacji, próbowano wyłudzić od te goż pewną
sumę, która pokryłaby w
czyści straty, poniesione na Turskim. Ale stało się inaczej.
Rezultat wycieczki
do mecenasa przeszedł oczekiwania żydków, którzy też teraz
roznosili po mieście
radosną wieść, że Dymowicz odstąpił, zostawiając swobodę
działania pożądanemu
przez nich Lubiczowi.
W samo południe ludno było w kancelarii rejenta,
wyznaczonego do uskutecznienia
sprzedaży Nadbuża. Publiczność przeważnie składała się z
żydów.
Ciekawi daremnie upatrywali Turskiego, ten jednak wcale do
Lublina nie przybył.
Przed stołem rejenta stali: Dymowicz, Wagner i Kaliński.
Pierwszy pilnował
swojej sumy, drugi miał prawdopodobnie za zadanie zdać
sprawę sąsiadowi z wyniku
rzeczy, ostatni działał w za-

stępstwie Lubicza. Na niego też spoglądali żyd-kowie, widząc
w nim jedyne
licytanta.
Po odczytaniu odpowiedniego aktu, wymienieniu nomenklatur,
rejent wywołał sumę,
praetium liciti, zapytując obecnych : "Kto daje więcej?"

Dymowicz milczał, Kaliński milczał, Wagner postąpił rubla.
W tej chwili wszystkie oczy zwróciły się na Kalińskiego. Z
Wagnerem nie liczone
się wcale.

Ale gdy rejent powtórnie zapytał, czy nikt nie daje więcej, na
co Kaliński nie
odpowiedział, wówczas szmer powstał pomiędzy żydkami. Za
chwilę targ był
skończony.

Wagner utrzymał się przy Nadbużu, postąpiwszy rubla nad
szacunek oznaczony.

Teraz trącano się, pytano wzajemnie, co to się stało. Ale
znaleźli się tacy,
którzy uspokoili zawiedzionych. Widocznie Lubicz kupił
majątek dla Turskiego,
podstawiając Wagnera. Nie mogło być inaczej. Powszechnie
w to uwierzono. Jedyne
adwokat Kaliński nie rozumiał położenia. On wprawdzie
wiedział, że zamiast
Lubicza, stawać będzie Wagner, ale nie mógł sobie
wytłómaczyć, dla czego
Dymowicz odstąpił od zamiaru kupna, przypisywanego mu
przez cztery lata z rzędu.

Wagnera, wychodzącego od rejenta, tłumnie zaczepiali
żydkowie, on jednak nie
odpowiadał nikomu, a chcąc się od natrętnych uwolnić, wsiadł
do dorożki i do
hotelu zawieźć się kazał.

W mieście nie było końca niepokojom i komentarzom.

* * *

Tegoż dnia, przed wieczorem, Lubicz siedział sam jeden w restauracji hotelowej, rozmyślając nad przyszłością swego sąsiada. Ale cokolwiek się stanie, on nie może mieć sobie nic do wyrzucenia; jak zawsze, tak i teraz, spełnił wszystko, był gotowy do czynu, a gdyby go matka Gucia zapytała z grobu: „Jak opiekowałeś się moim synem?” odpowiedziałby jej z czystym sumieniem: Uczyniłem wszystko, co było w mej mocy. Sprzeciwiałem się małżeństwu, które wydało mi się nieodpowiedniem, potem wdarłem się niemal przemocą do Nadbuża, chcąc skutecznie ratować zagrożone interesy; teraz wreszcie, gotów byłem ofiarować swój trud i kapitał, aby tylko dążącego do zguby człowieka wydrzeć chimerom losu, jeżeli nie złym ludziom. Ale nie zawsze dobre chęci starczą. Przed siłą wyższą, nawet najtwardszy kark ugiąć się musi.

Czyż wreszcie stało się istotnie źle ? Wszakże Wagner działa równie w dobre] myśli, a widocznie wziął się zręcznie do dzieła, skoro potrafił zaraz na początku uporać się z Dymowiczem, skłaniając tegoż do ustąpienia. Zapewne ułożył

się z nim. On, Lubicz, nie zdobyłby się na taki przyznać
trzeba, bardzo
korzystny krok. Był raczej zdecydowany licytować się z
mecenaszem do upadłego, co
wypadłoby na niekorzyść Augusta. A więc może i lepiej się
stało, Tak też to
wytlómaczyć potrzeba poczciwej Anieli.
Od czasu do czasu, garsoni przesuwali się z półmiskami i
butelkami do
sąsiedniego pokoju, z którego dolatywał gwar coraz to
bardziej ożywionej, coraz
głośniejszej rozmowy biesiadujących. W zamyśleniu, nie
zwracał Zygmunt na to
uwagi, dopóki raz i drugi nie wpadły mu w ucho wyrazy:
Turski, Augustowa,
Nadbuże. Nierad słuchać gawęd, prawdopodobnie złośliwych,
miał zamiar wyjść, gdy
wtem, głos Wagnera odróżnił. Na złe czy na dobre, garson
wychodząc, nie domknął
drzwi gabinetu.
— Zastrzegam się, panowie — mówił głośno Wagner — że
kupując Nadbuże, uczyniłem
to na wyraźne żądanie Turskiego.
Zygmunt słuchał teraz uważnie.
— Ale cóż się stało z Lubiczem? — ktoś pytał — przecież to
było dawno
postanowione,

że on, a podobno i siostra jego, będą ratowali sąsiada.

— Było postanowiono o tyle — mówił znów Wagner — o ile
Lubiczowie narzucali się

zawsze i nieproszeni, mieszałi we wszystkie sprawy
Turskiego.

Zygmunt uniósł się na krzesło, ale opanował się w porę.
— Nikomu nie tajne źródło tej gorliwości — ciągnął tamten
— ale czyż mogłaby
pozwolić Augustowa na zawiązanie takiego stosunku,
zwłaszcza w blizkiem
sąsiedztwie, wobec tego, że nadobna panna Lubiczówna z
nieubłaganą stałością,
kocha się w jej mężu.

Lubicz zerwał się z siedzenia i szybkim krokiem wszedł do
gabinetu. Na razie
nikt jego wejścia nie zauważył, Wagner kończył:
— Podejrzewam że może kazałaby sobie płacić za
dobrodziejstwa.

— Milcz podły, nikczemny oszczerco! — huknął Lubicz w
straszne uniesieniu.

Ośłupieli obecni. Po pauzie Wagner, który bezwiednie
podniósł się z siedzenia,
wybąknął zmieszany: — Pa... panie!
— Milcz, albo nie wyjdiesz ztąd żywy. Tak teraz cicho stało
się w pokoju, że
tem wyraźniej słychać było ciężki oddech rozgniewanego.

Wagner, nieodważny z natury, tem bardziej zaskoczony
niespodziewaną, a groźną
sytuacją, nie zdobył się na słowo usprawiedliwienia. Ktoś
starszy z obecnych,
znajomy Zygmunta, chcąc zapobiedz dalszym zajścia
następstwom, zbliżył się do

niego, a ująwszy łagodnie za ramię, wyprowadzał do sąsiedniego pokoju.

— Wyjdź pan do siebie, do numeru — mówił we drzwiach — sam pójde z panem.

— O, bardzo chętnie — drżącym jeszcze głosem odparł Lubicz Nie mam temu panu nic więcej do powiedzenia.

Gdy Wagner spojrział po obecnych, na ich twarzach nie wyczytał uznania, ani współczucia dla siebie. I być inaczej nie mogło. Wszyscy współbiesiadnicy, zaproszeni przez niego, znali Lubi-cza i siostrę, zarówno jak opinię ich obojga, to też nie trudno przyszło im ocenić, jak wielką krzywdę słowa amfitryona wyrządzić musiały temu na wskroś prawemu i zacnemu człowiekowi. A więc pomimo dobrej kolacji i szampańskiego, nikt po wyjściu Zygmunta nie wystąpił przeciwko niemu, nikt nie stanął po stronie Wagnera . O dalszem ucztowaniu nie było mowy. Ten i ów wstał, a myśląc o odwrocie, oglądał się za kapeluszem.

— A cóż teraz będzie? — rzekł wreszcie któryś, zbliżając się do Wagnera.

— Co ma być? — mruknął tenże przez zęby.

— Kiedyż go wyzwiesz ? — zapytał drugi

— Ja? wyzwać? ani myślę.

— Jakto?

— Mówiłem o jego siostrze to co wiedzą wszyscy, on
odpowiedział mi jakieś
głupstwo, więc kwita.

— Hola. panie Wagner ! Obraziłeś ich oboje i co prawda,
zupełnie niesłusznie;
Lubicz z twojego zarzutu nawet nie potrzebuje się
usprawiedliwiać przed nikim,
bo nikt nie dałby wiary podobnej wersji, ale on tobie wobec
nas wszystkich
rzucił ciężką obelgę, czy nie słyszałeś ?

— Głupstwo, ot lepiej napijmy się. Hej tam, wina!

— Więc ty istotnie nie wyzwiesz go?

— Ani mi się śni.

— Pozwól więc, panie Wagner, że nie chcąc się
solidaryzować w podobnym wypadku,
ja pierwszy wychodzę. Panowie, kto ze mną?
Po chwili Wagner został sam w gabinecie.

— Głupcy — mówił do siebie — nie miałbym też nic
lepszego do czynienia,
zwłaszcza dziś, kiedy zrobiłem, przyznać sobie musze,
cudowny interes. — I
wyszedł na górę do mieszkania!
Lubicz u siebie, skarżył się przed towarzyszem, który go
odprowadził.

— Że też sami nigdy nie możemy obliczyć — mówił
rozżalony — jak i dla czego
spotyka nas klęska, jeżeli nie nieszczęście.

— Ale bo nie należy brać tego tak dalece do serca —
perswadował tamten. — Któż

mógłby przywiązywać wagę do słów takiego pana Wagnera?
Że w kilku przyjęliśmy
jego zaproszenie na kolację, nie widząc do odmowy powodu,
to jeszcze za mało,
ażebyśmy nie mieli umieć ocenić go, jak na to zasługuje. Ty,
panie Lubicz i
szanowna siostra twoja, stoicie tak bardzo wysoko w oczach
okolicy naszej,
jeżeli nie kraju, że gadanie tego pana, sięgnąć was przecie nie
może.

Zygmunt szczerze uścisnął rękę mówiącego.

— A jednak — rzekł po chwili — stało się źle i złe będą tego
następstwa. On

wyzwać mnie musi; a to właśnie wywoła skandal
nieunikniony, a przyznać trzeba,
bardzo przykry dla mnie i mojej siostry.

— Istotnie, to tylko jest niedobre w całej tej sprawie.

Zapukano. Numerowy podał dwie karty.

— Otóż i świadkowie — szepnął gospodarz. Proś tych panów.
Za chwilę weszli dwaj współbiesiadnicy Wagnera, równie jak
trzeci, już obecny,
znajomi Lubicza

— Służę panom — przywitawszy ich, mówił tenże, wskazując
uprzejmie krzesła.

— Przybywamy do pana — rzekł pierwszy — ażeby cię
zapewnić, że w niemiłym
zajściu, jakie miało miejsce przed chwilą, nietylko nie
solidaryzujemy się z
panem Wagnerem, ale stając po twojej stronie, zarzekamy się
raz na zawsze

wszelkiej z nim znajomości.

— Czemże zasłużyłem sobie na takie względy ? — z prostotą i skromnością zapytał

Lubica zdziwiony.

— Oświadczenie nasze — ciągnął pierwszy — składamy panu w imieniu wszystkich,

nawet nieznanym ci osobiście, którzy byli zajścia świadkami.

— To mnie, panowie, pociesza nie mało, a ciężką przykrość, jakiej doznałem,

zmniejsza do połowy. Sądzę też, że byłem w oczach waszych usprawiedliwiony z

obraźliwych słów, jakich w żalu i uniesieniu nie mogłem oszczędzić temu panu,

ale, ani chwilę nie zawaham się z odpowiedzialnością względem niego za mój

postępek.

— Twoja szlachetność w tym razie — zabrał głos drugi z przybyłych — jest

zbyteczną.

— Jakto?

— Ten pan oświadczył, iż nie czuje się być obrażonym, i to było jednym więcej

powodem, że opuściliśmy go bez pożegnania.

— Nie do wiary! — zawołał Lubicz zdumiony.

Niemniej fakt jest faktem.

— A więc ja go wyzwę, skoro on nie widzi tego potrzeby!

I w istocie tegoż dnia jeszcze dwaj uproszeni znajomi Lubicza zgłosili się w

charakterze sekundantów do Wagnera.

— Wobec czego, zmuszeni jesteśmy w imieniu naszego mandanta, prosić pana o honorową satysfakcję, — kończyli stereotypową w takich razach przemowę. Zaskoczony i na podobny krok nie przygotowany Wagner, w pierwszej chwili, zawahał się z odpowiedzią. Przyjąć — znaczyło narazić się na niebezpieczeństwo, z takim przeciwnikiem, może bardzo poważne. Zygmunt przecież nie wyglądał na tego, któryby wyzywał na żarty, lub w ostatniej chwili stchórzył i sam przeprosił. Odmówić? Wszakże wiadome następstwa. Wcale wygodnie urządził się wówczas Wagner, przenosząc się cichaczem z Galicji w Hrubieszowskie ale trudno zawsze prowadzić koczownicze życie, zwłaszcza będąc już w okolicy osiadłym, a z tak pięknymi widokami zbudowania fortuny. Należało więc chwycić się wykrętu. — To ja właściwie — mówił po pauzie — pierwszy miałbym prawo żądać satysfakcji od

pana Lubicza, bywają jednak okoliczności, w których nie wolno nam rozporządzać nawet swoją osobą.

— ?

— Wiecie, panowie, że nabyłem Nadbuże, nie w widokach spekulacji i własnych

zysków, a raczej dla uratowania chociażby części majątku dla mego sąsiada

Turskiego. Niepodobna przewidzieć następstw pojedynku.

Gdybym ja uległ

wypadkowi, lub w przeciwnym razie, sam był zmuszonym, jako nietutejszy poddany,

wyjechać z kraju, wówczas państwo Turscy znaleźby się mogli w nader smutnem

położeniu, a to z mojej winy. Pojmujecie więc, panowie, że w takich warunkach

nie wolno mi przyjąć wyzwania, zarówno jak i sam wyzwąć nie mogłem.

— Nie naszą rzeczą jest roztrząsanie słuszności pańskich na tę sprawę poglądów —

rzekł, wstając jeden ze świadków — jakkolwiek, pozwolę sobie zwrócić uwagę, że

niema położenia; w któremby człowiek dobrej woli nie znalazł drogi wyjścia,

gdzie idzie o zadośćuczynienie dotknięte sławie i honorowi.

A jednak, wyjątkowo ja się w takim znajduję.

— Więc nie możemy spodziewać się, że dla porozumienia, przyślesz nam pan swych

świadków ?

— W tym razie to zupełnie zbyteczne.

— I taka jest ostateczna pańska decyzja?

Na potwierdzenie, Wagner pochylił głowę. Skłonili się zimno świadkowie i wyszli.

— Na moje, zmusiłbym go — mówił teraz jeden z nich.

— A jabym tego bynajmniej nie zalecał Lubiczowi odparł drugi — ten pan

przedstawia mi się jakoś niewyraźnie, jego tłumaczenie
wygląda raczej na
pretekst, słowem, szansę przeciwników byłyby podobno
nierówne.

— Jakże więc postąpimy w dalszym ciągu?

— Zaprosimy go na sąd honorowy.

— Istotnie, to podobno droga najlepsza. Gdy między
sekundantami na tem stanęło.

Wagner jednocześnie był bardzo rad z siebie, że tak zręcznie
burzę zażegnał,
wychodząc z trudności z honorem.

VI.

Łudzić się, jest rzeczą ludzką, a jeżeli całe życie nasze bywa
częstokroć
szeregiem złudzeń, zazwyczaj nieziszczonych, to
niekoniecznie dla tego, aby one
wynikać miały z naszej słabości lub krótkowidzenia, a raczej z
zachowawczego
instynktu, którego dobroczynna przyroda nie odmawia
żadnemu stworzeniu. W
przedśmiertnej czkawce, jeszcze konający broni życia
ostatków; i do ostatniej
też chwili łudzi się, że obronić je zdoła.
O ileż byłoby cięższe, smutniejsze życie człowieka, gdyby mu
nie zostawały —
złudzenia!
Tego dnia, kiedy w Lublinie odbywała się licytacja Nadbuża, i
August łudził się

także. A nuż zajdzie coś najmniej prawdopodobnego, może termin spadnie, może przecież nie straci jeszcze prawnego posiadania Nadbuża, a potem? Potem przyjdą nowe złudzenia.

Człowiek przywiązuje się nawet do drobnych, przez dłuższy czas używanych przedmiotów, przyzwyczajają się do pokoju, w którym mieszka, bodaj w kawiarni, lub restauracji zrasta się ze stolikiem, do którego przywykł. Cóż mówić o domu rodzinnym o wiosce ojczystej? To już nie przyzwyczajenie — to miłość. Ale ten dopiero pojmie podobne uczucie, kto to wszystko utracił, jak mówi Mickiewicz.

August całym sercem kochał Nadbuże. Wszak tam rodzili się i żyli jego dziadowie, jego rodzice, on sam wreszcie. Nie było kącika, budynku, drzewa, z którymby nie łączył miłych, a drogich mu wspomnień, z którymby nie zezespolił się duszą i sercem, od pierwszych chwil swego dzieciństwa. A czyż kiedykolwiek przypuszczał, że może Nadbuże utracić.

W tej chwili fakt ten potwierdził Wagner nadesłanym telegramem z Lublina.

Rodzinny majątek Turskich, przestał być Turskich własnością. Tabularna księga Nadbuża, co przez wieki broniła się od obcego w II. dziale nazwiska, dziś

nareszcie uledez musiała.

Czyż kiedy Turscy do niej powrócą? Zapewne, ludzić się można, zwłaszcza w obec tak pięknych, intencji Wagnera, ale są to niestety prawie niebywale wypadki.

Wystarczyłoby na potwierdzenie, zajrzeć do hipotecznych archiwów.

Prawie nikt nie odzyskuje raz utraconego rodzinnego majątku. Przeczuwał to August, mimo swej wyjątkowej do złudzeń skłonności, to też

ścisnęło mu się serce, gdy przeczytał depeszę : „Nabyłem Nadbuże na moje imię”.

A jednak ta wiadomość nie dotknęłaby go tak boleśnie, gdyby był znalazł na niej

podpis Lubicza, a nie Wagnera. Mimowoli odczuł teraz różnicę stosunku do tych

dwóch ludzi, porównywał ich z sobą. Zygmunt i Aniela wydawali mu się jego

rodzeństwem, Wagner zaś, mimo gotowości do usług — obcym, nie swoim. Tam ufał

nieograniczenie, tu bać się zaczynał. Cały majątek, przyszłość, los jego,

wszystko w ręku i na łasce tego człowieka.

I wielki żal uczuł do Kamilli, że wpłynęła na niego wówczas, kiedy z tak

niezwykłą stanowczością upierał się przy Lubiczu.

Przez lokaja telegram żonie odesłał, a sam wyszedł z pałacu i bezwiednie znalazł

się przed domkiem Kaczyńskiego. Zapewne chciał się przed nim uzalić, smutkiem

podzielić. Ale rządcy nie zastał. Minął więc folwark i bez celu
szedł prosto
przed siebie, prowadzącą ku wzgórzu topolową drogą. Ztąd,
gdy spojrzął po tych
pięknych drzewach, ręką podobno dziada sadzonych, gdy
rzucił okiem na bogate,
czarnoziemne łąny, tam het dalej, zielone łąk smugi na spła-

wach, wśród tego pięknie zabudowane folwarki, a wszystko,
niby murem fortecznym.
okolone szerokim pasem starodrzewnych nadbużańskich
lasów, gdy teraz obrócił się
poza siebie i popatrzył na prastarą ojców siedzibę, ocienioną
grupami lip i
szpalerów, a wspomniał na matkę, co tylekroć oprowadzając
go po tym ukochanym
ogrodzie, z ciepłą, serdeczną dłonią na jego dziecinnem
ramieniu, mówiła mu
takie piękne rzeczy, obiecywała tyle szacunku i miłości od
świata, aby tylko
dobrze się uczył, a potem skoro dorośnie we wszystkim
naśladował starszego
Zygmunta z Topolan — łzy zasłoniły wzrok biednemu
Augustowi, dziwny,
nieokreślony żal go ogarnął do ludzi. Wszak uczył się dobrze i
pilnie, a cóż mu
z tej nauki przyszło ? Potem znów kochał i uwielbiał żonę,
zdawało mu się, że
był dla niej najlepszym, a przecież go ona zdradziła. Nikomu
nigdy wyrządzić

krzywdy nie pragnął, a jednak wydarto mu majątek. Ale nie pod każdym względem był radom matki posłusznym. Zastanowił się. Pani Turska, chociaż poczciwie, ale po kobiecemu wychowując jedynaka, przeczuwała potrzebę męskiej, wytrawniejszej nad nim opieki, odgadywała, że brak w jego dzieciństwie ojcowskiej ręki, wcześniej czy później odezwać się musi i dla tego w macierzyńskiej troskliwości, jeszcze na łożu śmierci błagała Zygmunta, aby

nigdy Gucia nie wypuszczał z pod swej opieki. I wszystko było dobrze. Aż stanęła po środku zła, lecz demonicznej potęgi kobieta, i swą pięknnością ciała, a brzydotą serca, zniszczyła dobrą, dobrych ludzi robotę. Zygmunt radził daremnie. Konno, powoli nadjeżdżał z góry Kaczyński. Nie spieszył się, jak zazwyczaj, bo nie pilno mu było do gospodarskich porządków, do młodego pana rozkazów. Wszak wiedział, że z dniem dzisiejszym skończy się władza jego urzędu, że jutro już kto inny w Nadbużu rozkazywać będzie. Spostrzegł przy drodze stojącego Augusta i z konia zeskoczył. — Cóż tam się stało, proszę pana w Lublinie? - smutno zapytał — widziałem posłańca z telegrafu.

A stało się, mój Kaczyński, bo stać się musiało — odparł
dziedzic i głowę
zwiesił — Już to wszystko nie nasze — i ręką wskazał dokoła.
W ostatnich czasach, przywykły skarżyć się i żalić, stary
oficjalista, na widok
swego młodego pana z głową smutnie zwieszoną, a z
załzawionem okiem, nie miał
serca przysparzać mu zgryzoty. Sam nie mniej strapiony,
wbrew przekonaniu
własnemu, jął miną nadrabiać.

— Niechno się jeno mój pan nie martwi — mówił, ujmując z
uszanowaniem ramię
Augusta — pan Bóg ma więcej, niż rozdał. Wiem ci ja, że ten
pan Wagner musiał
kupić nasze folwarki, aleć jaki on tam jest, to przecie nie żyd,
ani wróg nasz.

Ze kupił, to jeszcze nie koniec świata; przecież Boga ma w
sercu i niechaj tylko
swoje pieniądze odbierze, to nam resztę odda.

Tak obiecuje - nieśmiało rzekł Turski.

— Niechby nam odpadło lasu z połowę i Majdan i Kruszyna,
toć jeszcze nie mało
zostanie.

— Wolałbym własne ręce obcinać, aniżeli krajać Nadbuże.

— Et, proszę pana, czy to my mamy być lepsi od drugich?

Abo to dziś panowie nie

krają, nie odprzedają? U nas, to tam jeszcze jak u nas, ale po
innych słyszę

powiatach, mało to chłopci, a co gorzej Niemcy ziemi
wykupują, mało żydzi łajdaki

lasów wyrąbią ? A przecież panowie byli i będą panami.
Chłop zawsze skrobać musi
kartofle, Niemiec płócienną budę psami poganiać, żyd
opędzać się robactwu, a
panu taki na butelkę wina, cztery konie i powóz starczy.
Wszędzie być musi
porządek, jak Bóg przykazał.
Jak łatwo Turski upadał na duchu, tak jeszcze łatwiej
pocieszać się był zdolnym.
Kilka

tych ultra - konserwatywnych poglądów starego rządcy,
starczyło mu na razie,
ażeby otuchę i wiarę w przyszłość odzyskał, smutek rozpędził.
Może masz słuszność, — kochany Kaczyński, — pan Wagner
nie wyrządzi nam krzywdy.
Jakoś to będzie
I wywłaszczony dziedzic z rządcą w przededniu dymisji, a za
nimi chuda szkapa ze
łbem zwieszonym, podążali ku folwarkowi. Rozmowę w
dalszym ciągu wypełniały
plany na przyszłość, z której mianowicie strony las rąbać,
jakie grunta
parcelować itp. Teraz udobruchanemu już Augustowi nawet
na myśl nie przyszło, że
takie projekty i rozporządzanie się cudzą własnością, to nowe
mrzonki, nowe
złudzenia...

* * *

Jakkolwiek zostawiasz mi trzy lata czasu na uregulowanie interesów — mówił August do Wagnera, gdy tenże w kilka dni po licytacji do Nadbuża zjechał — to jednak, pojmujesz jak bardzo pragnąłbym pospieszyć z całą tą operacją ażeby i ciebie wyswobodzić i nam zdobyć spokój i wyraźny grunt pod nogami.

— Najzupełniej zgadzam się z tobą — odparł Wagner — a mam nadzieję, że wszystko zdążymy przeprowadzić z łatwością.

— Przedewszystkiem należy odnowić zaniechane układy z chłopami, aby do sprzedaży lasu, przystąpić.

— W tem Auguście nie podzielam twego zdania.

— Jako, czyż to nie najważniejsze?

— Gorączkowe działanie mogłoby im tylko oczy otworzyć i upoważnić do wygórowanych żądań. Ja muszę ich przetrzymać.

— A więc weźmy się do parcelacji. Kaczyński podejmuje się zaraz kilkunastu kupców zwerbować.

— Zapominasz, że służebności obciążają zarówno lasy jak pola. Przed zupełnym usunięciem serwitutów, nie możemy przystąpić do żadnej sprzedaży.

— Więc od czegoż zaczniemy?

— Na razie musimy wyczekiwać.

— Rozumiesz moją gorączkę. Właśnie wczoraj mówiłem z chłopami.

— I popełniłeś wielki błąd. Nie zapominaj, że układ nasz dla twego dobra zawarty, nam samym tylko powinien być wiadomym, inaczej, możemy się spotkać z zarzutem symulacji ze strony tych wierzycieli, którzy spadli z hipoteki, a wówczas wytoczonoby nam proces, którego następstwa dotknęłyby ciebie przede wszystkim. Dla tego uprzedzam, wypadnie ci usunąć się Augustcie od wszelkiego osobistego działania,

tak, jak gdybyś istotnie nie był interesowanym.

Nieprzyjemnie te słowa dotknęły Turskiego.

— Dla lepszego pozoru — ciągnął Wagner muszę bezzwłocznie objąć zarząd majątkiem, a nawet zmienić oficjalistów. Pierwszy Kaczyński zostać nie może na miejscu.

— Co ty mówisz, Ireneuszu! — zawołał August oburzony — taki stary człowiek, tyle lat wiernie służy.

— Ha, to trudno, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Co najwyżej, wyznaczymy mu jakąś gratyfikację.

Od słowa do słowa, Wagner odkrył cały plan działania, a w miarę, jak go rozwijał, spostrzegął się August, że rola, jemu pozostawiona, ograniczała się jedynie do niemej bierności, z prawem mieszkania z żoną w Nadbużu.

Ale nie tu leżała granica jego zawodów. Nabywca wyraźnie oświadczył, z niemniejszą niż poprzednio stanowczością, że z jednej strony chcąc ściśle pilnować gospodarstwa i spraw nad-bużańskich, a z drugiej, usunąć wszelkie pozory symulacji musi w Nadbużu zamieszkać. Samo z siebie wynikało, że mieszkać może tylko w pałacu, a dla tego, zawczasu prosi o wybranie, i przygotowanie mu pokoi.

Jakgdyby odgadując, że ta ostatnia alternatywa niemiłe w Turskim wywoła refleksje, Wagner, nie czekając odpowiedzi, odszedł do apartamentów pani, gdzie z innej znów beczki, należało swój terażniejszy charakter określić.

Znając bystrość umysłu Kamilli przywołał teraz do pomocy cały zasób sprytu, ażeby jej zaufanie pozyskać, Na Auguście nic mu zależeć nie mogło, prócz przyjaznego jedynie stosunku — dla formy. Od pani zaś oczekiwał względów, które mogły być tylko następstwem jego rzekomej gotowości do poświęceń.

— Z mężem porozumieliśmy się w kilku słowach — mówił Ireneusz, siedząc w niezbyt etykietalnej pozycji w buduarze Kamilli — ale o ma dla mnie najmniejszą wagę.

— A teraz? — zapytała pani.

— Teraz chcę się porozumieć z tobą.
— Słucham.
— Przedewszystkiem wiedz i wierz mi, Kamillo, że twoje dobro i twoja przyszłość, ciężą mi na sercu bardziej, aniżeli to możesz przypuszczać.
— Nie chcę wątpić o tem.
— Przed chwilą twój mąż zdradził się z szerokimi planami działania w interesach, na swoją rękę..
— To zabawne — zaśmiała się kobieta.
— Musiałem też dać mu do zrozumienia,

że takiego współpracownictwa dopuścić nie mogę.
— Bardzo słusznie.
— Cieszy mnie, że zaraz na początku zgadzamy się z sobą. Nie zaprzeczam bynajmniej mojej życzliwości dla twego męża, Kamillo, wyznać jednak muszę otwarcie, że nie jego sprawy miałem na myśli wówczas, kiedy oświadczyłem się z chęcią nabycia Nadbuża. August, ani dziś, ani jutro nie podoła prowadzeniu swych majątkowych interesów. Mieliśmy już czas przekonać się, że tak jest, a nie inaczej. Nadto, długi, jakie zostały po licytacji, nie pozwolą mu już nigdy swobodnie i jawnie posiadać majątku. Sam wprawdzie powinienby to zrozumieć, nie mniej byłoby mi bardzo przykro, otwierać mu oczy w tym względzie. W tak więc

trudnem położeniu, Kamillo, cel zabiegów i starań o tyle w
mojem przekonaniu
osięgnę, o ile majątek, jaki się po operacji z Nadbuża okroi,
oddam w twoje
prawne posiadanie, a nie Augusta. Jak sobie potem żona z
mężem postąpi, to już
nie do mnie należy.
Snać w sedno trafił Wagner swoim djabelskim manewrem, bo
się nań z miejsca
wzięła samolubna kobieta, niby na wędkę płóc.
— Dziękuję ci, Ireneuszu — rzekła Kamilla, siadając tuż przy
nim i kładąc piękną
rękę na jego ramieniu. Był to z góry obmyślany objaw

uznania i wdzięczności, jeżeli nie zachęty, na którym też
poznał się Wagnera, i
nieomieszkał odwzajemnić się skwapliwą pieśczętą.
— Teraz widzę że nie omyliłam się na tobie — mówiła. —
Cokolwiek uczynionoby dla
dobra interesów majątkowych mojego miłego małżonka, ja,
wcześniej lub później,
zawsze znalazłabym się bez środków do życia. Człowiek, jak
on niedołączny i
ślamazarny, pozwoliłby się każdemu z ostatniego grosza
obedrzeć. Co gorzej, w
ostatnich czasach zauważyłam, że jest jakiś chory, dziwnie
rozstrojony. Powiem
ci prawdę, że bywają chwile, w których boję się go, a sądzę,
że to są skutki
morfiny. Podobno używa jej dużo od czasu...

— Czyżby od czasu pobytu w Warszawie ? — wtrącił Wagner.

— Dla czego to przypuszczasz ? — zapytała Kamilla, patrząc nań badawczo.

— No... tak — mówił, wahając się — przyjechał bardzo rozstrojony po śmierci dziecka, wreszcie po nieprzyjemnościach, na jakie naraził go Dymowicz. Morfina uspokaja podrażnione nerwy.

Nieogłędne zapytanie Wagnera o morfinę, jakoby Augustowi potrzebną w Warszawie,

naprowadziło Kamillę na drogę podejrzeń. Rozumowała.

Jeżeli wiedział o

Podhorskim, możnaż wierzyć w szczerść jego intencji dla niej, z ja-

ką wystąpił przed chwilą? Tylko prawdziwa miłość

usprawiedliwiłaby podobną

szlachetność i tolerancję, i to miłość wyjątkowa, połączona z niebywałą

delikatnością, skoro jej nigdy żadnej nie uczynił wymówki. A ona nie wierzyła w

jego uczucie, była nazbyt pewną, że się nie myli. Więc może to tylko z jego

strony podejście, piękne obietnice, na które jeśli ona; się weźmie kiedyś,

zamiast majątku dozna raczej zawodu.

Ale. i Wagner w porę się spostrzegł, że niezręcznie rozbudził jej czujność.

Znając w swoim czasie wszelkie szczegóły katastrofy, których nie bez pewnych

korzyści dostarczyła mu Laura, nie chciał zdradzać się ze
świadomością tej
tajemnicy. Kamilli nie kochał, a więc i zazdrosnym o nią być
nie mógł. Raczej
wtedy dopiero, gdyby się bardzo drożyła, w razie takiej
potrzeby, przypomniałby
jej o Podborskim.

W tej chwili, zrozumiałszy błąd, chciał ją upewnić o swem
uznaniu dla jej
dotychczasowej wierności małżeńskiej, tak więc naprowadził,
przedmiot rozmowy,
tak wysoko podniósł zalety Kamilli, będącej jakoby ofiarą
losu i niefortunnego
związku, że wnet się jej podejrzenia rozwiały. Bo też kłamał
w słodkich,
dobranych po mistrzowsku słowach.

— Kochać nie zdolny myślała teraz zbyt jednak zwłoką
roznamiętniony, abym nie
mogła tego wyzyskać.

I tak w tej partji, do której dwóch graczy pierwszej wody
zasiadło, szansę
zaczęły się wyraźnie na stronę Wagnera przechylać. Kamilla,
uwiedziona
korzystnymi widokami przyszłości, była gotowa na wszystko,
aby tem trwałej
zjednać, zobowiązać sobie Wagnera, który nie tylko miał
naprawić zło, popełnione
przez męża, ale nadto, obdarzyć ją wcale pokaźną fortuną.
Z Augustem nie liczone się wcale. Ani on do tych kombinacji
nie był obojgu

potrzebnym, ani też im nie mógł zawadzać. Z chwilą, kiedy wydział hipoteczny jego nazwisko z księgi Nadbuża wykreślił, on stawał się sprzętem, mającym być w domu nie dla użytku, a raczej dla przyzwoitości tolerowanym. Biedak, przeczuwał to zapewne, bo pod pierwszym wrażeniem rozmowy z Wagnerem, nie zwierzając się nawet przed Kaczyńskim, cichaczem, konno, do Topolan pojechał. Potrzebował rady przyjaciela. Ale w miarę, jak zbliżał się do celu, konia zwolni! bezwiednie, Miałże on jeszcze czoło stanąć przed Zygmuntem ? Tyle razy odepchnął jego serce pocziwe, a dziś śmie znowu żądać opieki tego człowieka?

Nie dojeżdżając pałacowej bramy, August spotkał Lubicza. przy gospodarskich zajęciach. Przywitali się. Zygmunt zawołał na kogoś ze służby, aby konia odebrał.

Panowie szli obok siebie, uderzyło jednak Turskiego, że gospodarz nie prowadzi go ku pałacowi. Wszakże tak kazałaby grzeczność, jeżeli nie gościnność. Gdy w milczeniu uszli kawałek drogi, August nieśmiało głos zabrał, opowiadając o swoich wrażeniach, odniesionych z rozmowy z Wagnerem.

— Pomimo zaufania, jakie do niego mieć powinienem —
kończył — widzę, że grunt
usuwa mi się pod nogami. Sądziłem, że pozbywając się tylko
pozornie tytułu
własności, zostanę jednak przy moich prawach, i z całą
swobodą będę rozporządzał
się w gospodarstwie i interesach. Dziś dano mi do
zrozumienia, że w nic mieszać
się nie mogę, że mam być niemym świadkiem wszelkich
czynności, które przecież
zadecydują o moim i mojej żony bycie, o przyszłym naszym
majątku.

Zygmunt słuchał uważnie lecz milczał ciągle.

— Co mam uczynić? - nalegał August — w jaki sposób
zabezpieczyć się? Wszakże nic
posiadam ani śladu dowodu na to, co jest moją własnością.

— Przedewszystkiem muszę się wytłómaczyć przed tobą —
zaczął wreszcie Lubicz— dla
czego nie proszę cię do siebie.

August zdumiał.

Sądziłem, że mówiono ci o zajściu w Lublinie pomiędzy mną,
a panem Wagnerem.

— O zajściu, między wami? Nic nie słyszałem.

Tu Zygmunt opowiedział szczegóły.

— To haniebne, to podłe! — rzucał się teraz August.

— Zbytecznym byłoby zwracać twoją uwagę, mój Guciu, że
wobec takiego, oniemal
publicznego oskarżenia mojej siostry, stosunek nasz z tobą nie
tylko że się
utrudnił, ale nawet wprost uniemożliwił.

Nad wyraz boleśnie te słowa dotknęły Augusta. Tak łatwo, jak on, ulegający
wrażeniom i wpływom, już nienawidził Wagnera, brzydził się nim.

— I pan to jemu tak płazem puściłeś ? — w oburzeniu
zawołał.

Z kolei mówił Lubicz o następstwach zajścia, a w końcu
objaśnił, że wkrótce

Wagner na sąd honorowy zostanie wezwanym.

— Więc w takie dostałem się ręce! — zawołał teraz August —
z takim człowiekiem
mam mieszkać pod jednym dachem! Ale nie, to być nie może!
Teraz ja się z nim
rozprawię.

— Powoli, powoli, Guciu — reflektował Zygmunt —
zapominasz, że ty
przedewszystkiem jesteś najbardziej wobec Wagnera
bezbronnym, bo w zupełności od
niego zależnym.

— Jakto, pan każesz mi żyć w przyjaźni z człowiekiem, który
podobnych słów, jak
sam

mówiłeś, zdolny jest z zimną krwią wysłuchać i do kieszeni je
schować ?

— Wiele ten czyni, kto musi, a ty musisz pozory zachować.
August chwycił się za głowę.

— Posłuchaj Guciu. My z sobą na teraz przynajmniej,
komunikować się nie możemy.

Tego wymaga dobro Anieli, i twój własny inte res.
Szkodziłoby to mojej siostrze,

a drażniło twój stosunek z tym panem, który cię ma w ręku.

— Więc nawet nie zobaczę siostry, panie Zygmuncie ?

— Nie, tem bardziej, że słaba od pewnego czasu. Lekarz uspokaja mnie, obawiam

się jednak że to cierpienie poważne.

— Cóż takiego, przez Boga?

— Osoby ułomne bywają skłonne do chorób piersiowych, ona taka delikatna.

— Zatrważasz mnie, panie Zygmuncie.

— Bodajbym się mylił. Byłby to ciężki, straszny cios dla mnie. Wracając do spraw

twoich, przyznaję, że położenie, w jakim znajdujesz się obecnie, jest nader

ciężkie i przykre. Za późno czynić ci wyrzuty. Był czas, kiedy nieugiętą wolą i

żelazną ręką, mogłeś złamać okoliczności i wpływy, na twojej drodze spotkane,

Ale zawsze słaby i chwiejny, niewytrwały w postanowieniach, pozwalałeś się

nakłaniać z jednej

strony kobiecie... zbyt wymagającej, z drugiej człowiekowi, ile moje obserwacje

nie myślą, o przyjaźni dwuznacznej, o życzliwości niepewnej.

Od pierwszej chwili

twojego samodzielnego działania, już od wyjazdu zagranicę, czuwałem nad tobą.

Wiesz, co i jak się stało. Teraz jeszcze, kiedy ratunek był już prawie

spóźniony, nie cofnąłem się przed trudnościami, nie uląknęłem kolizji, na którą w,

stosunku do twojej żony, musiałyby mnie nabycie Nadbuża narazić. Nie dopuściłeś i tego. Kiedy oboje z Anielą byliśmy już pewni, że po takim doświadczeniu, przywróciłeś nam, zaufanie, ty przysłałeś list, zabraniający wprost mieszać się nam w twoje sprawy.

— Dosyć, panie Zygmuncie — zawołał August i oczy zakrył — dobijasz mnie.

— Pojmuję ten żal i dla tego, powtarzam, nie czynię ci wymówek. Twoje wychowanie, delikatność, wreszcie nawet usposobienie wrodzone., wszystko to nie łatwo mogło obstać, wśród takich ludzi, jacy cię otoczyli, wśród warunków, jakie z tego otoczenia wynikły. Matka, w swej poczciwości, ale — nie ujmując jej pamięci — w dobrodusznem, kobiecem krótkowidzeniu, sama serdeczna i zacna, na własny wzór i twoje urobiła serce. A mężczyzna niestety, sercem życia nie przejdzie. Zabrakło ci ojca, któryby syna nauczył biegle władać tą bronią bez jakiej nie świat już, nie źli ludzie, ale nawet kobieta opa-

nować zdoła mężczyznę. A jej panowanie nie zawsze bezpieczne. Jakiejże prawdziwie moralnej. istotnej przewagi potrzebuje słabszy, aby mógł dobrze i zbawiennie kierować tym, którego z natury rzeczy za silniejszego uznawać

powinien? Usprawiedliwiam cię, Guciu, bo ci tej broni nie włożono w rękę, ale jednocześnie i sam wolnym się czuję od wszelkiej winy, bom nigdy nie zaniedbał niczego, co twoje dobro miało na celu.

— Któż lepiej wie o tem odemnie, panie Zygmuncie! — mówił August wzruszony — ja też, spiesząc tu do was, z pół drogi jeszcze wrócić się chciałem, bo mi czoła, odwagi, brakło stanąć przed tobą. A teraz dowiaduję się, że nawet w waszym domu bywać mi nie wolno!

— Czasu i cierpliwości, mój drogi — i teraz Lubicz serdecznie głowę Augusta do piersi przycisnął. — Da Bóg, wszystko to się jeszcze naprawi.

— Ale jak na razie postąpić z Wagnerem? Czyż nie ma sposobu wydobyć od niego zobowiązania, któreby na przyszłość broniło praw moich?

— Jeżeli to człowiek w gruncie uczciwy, to i bez zobowiązania wyjdzie z tobą uczciwie. W przeciwnym razie, daremnie żądałbyś od niego dowodu na piśmie.

Wykręci się, pod tym lub innym pozorem.

— A więc zażądam go zaraz, Jeżeli tak jest. niechaj wiem za-wczasu, czego się trzymać.

— Zapewne, to sytuację wyjaśni, a życzę ci z serca, aby ją naprawiło. Wyznaję, w ostatnich czasach, zacząłem bardzo powątpiewać o tym człowieku.

Po chwili, Turski, zaniepokojony bardziej niż przedtem,
wracał do Nadbuża. gdzie
go czekało dwoje złych ludzi i, świeżo nadesłana z Warszawy
— paczka morfiny.

VII.

Od ostatnich wypadków, w miarę, jak czas upływał, coraz
smutniej a wstrętniej
działo się w Nadbużu.

August, który ze wszelkimi postanowieniami zawsze w pół
drogi ustawał, w swoim
czasie, zamiast wprost do Wagnera, uderzył do żony. I źle się
wybrał, bo Kamilla
teraz, bynajmniej nie w dwuznacznych słowach, ostatecznie
odsądziła męża od
prawa mieszania się w majątkowi interesy.

— Miałeś zupełną swobodę działania — mól wiła opryskliwie
— przez cztery lata
robiłeś, co chciałeś, i wiesz, do czego doszedłeś. Dziś, kiedy ja
skłoniłam

Wagnera do przyścia nam z pomocą, pozwól, że ja dzieła
dokonam, a ty bądź
kontent, że masz gdzie mieszkać i że masz co jeść.

A kiedy on przytoczył fakt, jaki miał miejsce z Lubiczem w
Lublinie, i wystąpił
z zarzu-

tami przecinko Wagnerowi, odmawiając mu poczucia honoru,
tem samem zaś, nie
widząc z jego strony rękojmi uczciwego wyjścia ze stosunku,
ona wówczas prawie w
furję wpadła.

— Proszę cię raz na zawsze nie mówić mi o twoich zacnych i
świętych Lubiczach, a
jeżeli ci źle tutaj, to przenieś się do nich. Panna Teresa
gniewać się o to
zapewne nie będzie Widocznie zawodzi cię pamięć, jeżeli
pozwalasz sobie Wagnera
moralizować, że nie wyzwał Lubicza, lub nie przyjął
wyzwania.

Nic nie dotykało równie boleśnie Augusta, jak zjadliwe,
wyrafinowane aluzje
Kamilli do Podborskiego. Pojmował, jak bardzo musiała mieć
ta kobieta niskie
instynkta, skoro nie pierwszy raz uderzała weń bronią,
wyostrzoną na jej własnej
hańbie, na własnym upadku.

Przybity, zgnębiony, stulił uszy po sobie i uciekł na drugi
koniec domu.

Zwyczajny skarżyć się, tem bardziej teraz czuł swoje
osamotnienie, straszną
pustkę do koła. Ale postanowił nie odzywać się więcej.

Wreszcie, był bezsilny i
nie miał pola do działania w jakimkolwiek kierunku.

Nowonabywca zmienił zupełnie
służbę i administrację w Nadbużu. Kiedy August, jeszcze w
początkach zajrzał
raz, i drugi do gospodarstwa, wszędzie spotkał obce twarze,
dopatrzył w nich

lekceważenia dla siebie. Zdarzyło się, że to lub owo rozkazał,
wówczas odwrócono

się od niego, lub zażądano potwierdzenia rozkazu przez
nowego rządcę.

W takich teraz warunkach, tem skwapliwiej uciekał do
narkotyku, który mu
zastępował wszystkich i wszystko, tak skutecznie skołatane
myśli odwracał,

pożądaną ich martwość z sobą przynosił.

To też dziś nałóg morfinowania, rozwijał się u niego z
niesłychaną szybkością.

I nie mogło być inaczej, bo nikt nie powstrzymywał go na tej
zgubnej drodze.

Żonie i Wagnerowi nie zależało przecież na jego towarzystwie
Przeciwnie, oni

radzi byli oboje, że mają swobodę konferowania — jak sądził
August — o

interesach, a on znów wygodnie leczył się z trosk i zgryzot
swoich, co więcej,

zagłuszał iście chorobliwe dla swej żony uczucie.

W tym ostatnim względzie, coraz zbawień -niej działała
morfina. Jak dawniej,

panującym nad Augustem pragnieniem, modłą jedyną było
patrzeć w piękne oczy

Kamilli, głosu jej słuchać, nie rozstawać się nigdy, tak dziś,
prawie że lękać

się jej zaczynał, a unikając ile mógł Wagnera, tem samem
przywykał unikać

obojga; natomiast ze strzykawki oka nie spuszczał. Z czasem,
w równym stopniu

obojętniał na przyszłość, bo na nią obojętnieje każdy, kto z
oczu i pamięci
traci tych, których los stanowi główną jego troskę.

I tak August powoli zanikał, a z nim zanikały i myśli jego,
dotychczas zawsze w
jedną skierowane stronę.
Ale myśl ludzka, to bieżąca woda. Ona nigdy nie staje. Gdy
spotka zaporę, ominie
ją, i w innym popłynie kierunku. Więzień przez dziesiątki lat
w ciemnej celi
zamknięty, wszelkich pozbawiony wrażeń, oderwany od
świata i całej przyrody,
powinienby myśleć zaprzestać. A przecież na myśli tak długo,
jak jego żołądek
trawi, obiega krew, funkcjonują nerwy, a z nimi pracuje i
działa mózg.
August, odrywając z dnia na dzień coraz więcej uwagi od
żony, Wagnera, Lubiczów,
Nadbuża, słowem od przeszłości, bezwiednie szukał nowego
dla swych myśli
przedmiotu, i znalazł go W latach młodości, pośród
nauk, jakie mu
wykładano, najchętniej przykładał się do fizyki i chemii. Dziś,
w braku zajęcia,
samo z siebie odezwało się w nim to dawne upodobanie. Więc
odszukał książki,
wypisał nowe, sprowadził chemikalia, retorty, kociołki, fiolki i
akcesorja
przeróżne.

I od tej pory, jakby na urągowisko samemu sobie, zabrał się z zapalem do chemicznego badania ziemi — tej samej, ojczystej, którą bodaj że bezpowrotnie utracił.

Ulubiony jego pokój, w którym najczęściej przebywał, w ciągu paru tygodni przybrał wy-

gląd laboratorium. Tu siedział teraz cały dzień, sypiał, tu jeść kazał sobie przynosić, a wychodził rzadko, jakby ukradkiem, wieczorami, ze szpadelkiem pod pachą, którym kopał na polach i łąkach ziemię, potrzebną mu do doświadczeń.

Od ludzi stronił, a spostrzegłszy kogoś podczas wycieczek, schodził im z drogi.

Kiedy Kamilla lub Wagner odwiedzali go w jego pokoju, rozmawiał niechętnie, tłumacząc się brakiem czasu, pilnem zajęciem. Oni też nie narzucali się zbytecznie.

We wsi i na folwarku, wśród prostych ludzi szeptano, że dawny dziedzic "dostał źle w głowie".

Wyjątkowe łaski i zaufanie Augusta, posiadał tylko Kaczyński. Ten, uwolniony od służby, nie znalazłszy, jako zbyt stary, nowego miejsca, u chłopca w Nadbużu na komornem siedział, a do swego byłego pana przystęp miał o każdej porze. Przed

nim August chętnie rozwodził się o swych doświadczeniach chemicznych, a chociaż rządca nie rozumiejąc, zazwyczaj ramionami ruszał, tamten jednak zapamiętałe objaśniał i tłumaczył. Ile razy Kaczyński zeszedł na temat Nadbuża, Wagnera i nowych — jak nazywał — rządów, August mu przerywał. — Nie chcę o tem wiedzieć Niech oni robią swoje, a ja tu mam inne rzeczy na głowie. O, pa-

trzaj-no, Kaczyński, pamiętasz jak nam w szóstym polu zaraziło pszenicę? A dla czego? To jasne. Tam krzemionki za mało. Stary rządca, który w owem laboratorium całe godziny przesiadywać musiał, który jednocześnie nie mógł sobie wytłómaczyć, w jakim celu August tak często jakąś pompką płyn ze spodeczka nabiera, a potem nią tu lub ówdzie skórę sobie przebija, również podejrzewać zaczął, że to wszystko jest następstwem nieporządku w głowie. — Dla czego to pan kłuje się i tę wodę w siebie wciska? — zapytał raz — Przecież to boli, bo aż krew idzie. — Ty tam tego, mój Kaczyński, nie zrozuzumiesz. To właśnie lekarstwo na to aby nic nie bolało. — I zaraz zawrócił do jakiegoś pola na Majdanie, do fosforanów i

azotanów.

Ale nie mogło prostemu człowiekowi pomieścić się w głowie
takie lekarstwo, w
miarę używania którego, pacjent z każdym dniem gorzej
wyglądał, bardziej
dziwaczał, a przedewszystkiem, coraz drażliwszym,
niecierpliwym się stawał.
Rozum mówił mu, że z jego panem dzieje się źle, żona to
radzić potrzeba Ale co
począć, do kogo się udać? Do pani? Przecież ona chyba
mądrzejsza być musi,
samaby się na niebezpieczeństwie poznać powinna. Do
Wagnera? Tego Kaczyński, jak
złogoducha unikał. A więc tylko Lubicz zostaje. On

niezawodnie stanu rzeczy wysłucha, i jeśli można poradzi.
Furkę najął u chłopca i do Topolan pojechał. Tu, wysiadłszy za
bramą, rozglądał
się. chcąc kogo spotkać i o pana zapytać. Przed pałacem, na
bruku, stary Michaś
przycupnął i trawki zarosłe wyrywał. Uprzywilejowane jego
zajęcie, do którego
nie dopuszczał nikogo.
— Dzień dobry, stary, szczęście Boże na robotę — mówił,
podchodząc Kaczyński.
— Panie Boże, zapłać — podług zwyczaju, podnosząc się z
trudnością, odparł
Michaś. — Jak się pan Kaczyński ma ? Dawnośmy się nie
widzieli.
— Oj, co dawno to dawno, ale po co się i widzieć, kiedy nic
sobie dobrego

powiedzieć nie można.

— Święta prawda, panie Kaczyński.

— E, co tam u was, ale my z naszym młodym panem, tośmy już na psy zeszli poprostu.

— Bójcie się ludzie Boga! — mówił Michaś i czapki uchylił

— co to za czasy

nastały! Słysząc, het ludzie obnoszą, że w Nadbużu wszystko na opak. Gdzie sprawiedliwość na świecie?

— Ot, zwyczajnie dopust Boży. No, a u was co? Właśnie z panem chciałem się widzieć.

— Nie dobrze pono i tutaj. Nasza panienka jakoś zaniemogła, doktor jeździ a jeździ, ale nic

nie pomaga. Pan miną nadrabia ale widać, że tam nie przelewki, bo aż do Warszawy po drugiego doktora posłali.

— I cóżby to było?

— Panie zachowaj, ale podobno suchoty. Kiedym podawał płaszcz doktorowi, kiedy odjeżdżał, a pan już odszedł, pocałowałem go w rękę i pytam: czy to naprawdę tak źle z naszą panienką?

— Dobrze nie jest, mój stary — powiada — nie trzeba pana martwić, boć to ona wszystkim dla niego, ale nie ma się czem łudzić. Nie na każdą chorobę doktor znajdzie lekarstwo.

— Oho, to i u was, jak widzę, nieszczęście — kiwał głową Kaczyński.

— I za co pan Bóg karę na nich zsyła? — z żalem mówił Michaś, łzę obcierając kułakiem. — Czy to oni komu krzywdę zrobili? Nasz pan Zygmunt, czy nie najlepszy pan? A ona, nie matka dla biednych ludzi?

— Tego nam, panie Michale, nie zrozumieć i głowy nad tem nie łamać, tłómaczył rządca — Znam-ci ja wasze państwo od takich dzieciaków, a i rodziców znałem, najlepiej wiem, jakie to gniazdo, ale przecie i nasz pan Guccio nie był ostatni, sam dobry chłopiec, i wywodzi się z dobrych, a panów z panów, a co się z nim zrobiło? Zmarniał majątek, teraz on sam marnieje, a źli ludzie brzęczą dokoła niego, jak szerszenie, jak trutnie.

U was-bo przynajmniej bogactwo było i jest, żyda lichwiarza nic znacie, ale my,

Boże zmiłuj się. — I z kolei Kaczyński czerwoną chustkę podniósł do oczu.

Za chwilę wprowadził go Michaś do pokoju Lubicza, a sam do rwania trawy wrócił.

Zygmunt rozpytywał przybyłego o wszystkie szczegóły. Nie zadziwiło go

postępowanie Wagnera, bo on już dziś nie podejrzewał, ale był pewnym jego

nikczemnych planów co do Nad-buża i Augustowy. Miał zupełne prawo najgorzej

sądzić o tym przybyszu, który, wezwany na sąd honorowy, ani się stawił, ani wskazał takich, coby jego sprawy bronili. Rzec osądzono zaocznie i doręczono mu wyrok, podpisany przez poważnych i prawych ludzi. W nim Wagner został uznany za człowieka, niegodnego podania ręki. A przecież przyjął go obojętnie do wiadomości, i od tej chwili sporo już upłynęło czasu bezżadnych następstw. Czegóż więc po nim i jego dalszych postępach, można się było na przyszłość spodziewać? Zarówno i stosunek pani Turskiej do obecnego położenia w Nadbużu, określony przez starego rządcę, wydał mu się naturalnym. Wszakże jej robota była namacalną, w tej sprawie. Ze oni, o sobie myśląc oboje, zgubić, mieli niedołącznego człowieka, to stawało się dla Lubicza zupełnie jasnym. Ale on na to nie miał żadnej

radę. Natomiast więcej zaniepokoiła go wiadomość o tak nagłym u Augusta spotęgowaniu się nałogu do morfiny, który, o ile Kaczyński opowiedzieć umiał, już teraz groźnym się stawał. Niemniej i w tym względzie rada była trudną. Postanowił obmyśleć pretekst, pod jakim lekarz pojechałby do Nadbuża i Augustowi

niebezpieczeństwo przedstawił. Na teraz zamierzył do niego napisać, wpływając ze swojej strony. Kiedy miał zasiąść do biurka, Aniela przysłała służącą, prosząc Kaczyńskiego do siebie.

— Idź pan do niej — rzekł Zygmunt — sprawisz jej przyjemność, ale bądź oględny w słowach., bo ona chora biedaczka, zmartwi się tem wszystkim.

Kaczyński ze służącą wyszedł. Lubicz zabrał się do pisania listu.

Smutno było w pokoju Anieli, spoczywającej w miękkim fotelu. Przez ostrożność, wobec chłodnej już pory, szczelnie zamknięto i opatrzone okna, gęste firanki nie wiele wpuszczały światła. To też na pierwszy rzut oka, trudno było ocenić, ile w tak krótkim czasie straszna choroba sprawiła zniszczenia na swojej ofierze.

Szczupłe z natury kształty, wyschły do reszty, zapadły policzki, pożółkła cera, a mimo niezwykłego, chorobliwego w oczach blasku, Aniela wydawała się starą kobietą. Nie dostrzegł tego Kaczyński w zmroku pokoju.

— Siądź tu przy mnie kochany panie — mówiła chora słabiutkim głosem — i opowiadaj, co się u was dzieje, jak się ma pan August? Ale wobec przestrogi Zygmunta, nie łatwym to było dla starego zadaniem. Prawdy

powiedzieć nie chciał, kłamać nie umiał. Krztusił się też i bąkał niewyraźnie, aż domyślając się sytuacji, Aniela sama wyprowadziła go z kłopotu.

— Wiem, że mi nic dobrego nie powiesz, panie Kaczyński, a jednak cieszę się, że cię widzę, bo to już podobno ostatni raz.

— O, co też to pani takie rzeczy przychodzą do głowy — przerwał stary.

— Doktorzy każą mi wyjechać do ciepłych krajów, na słońce, a ztamtąd, tacy jak ja, zwykle już nie wracają, chyba w trumnie. Popatrz na mnie panie Kaczyński — i Aniela wyciągnęła po łokcie, suche, bielutkie, prawie przezroczyste ręce.

— Młoda pani jeszcze — pocieszał Kaczyński — nie trzeba się trapić, wszystko będzie dobrze.

Zbyteczne było to pocieszenie. Biedna dziewczyna, kaleka, oprócz miłości dla brata, nie zaznała nigdy żadnych rozkoszy. Kiedyś, przed łąty, i ona miała swoje złudzenia, ale to już tak dawno! Później, i złudzenia ustały. Cóżby ją z życiem wiązało? Zygmunt? Gdy sam zostanie, łatwiej mu przyjdzie o innej, może ślubnej to-

warzyście pomyśleć. To mu się przecie należy, a siostra bodaj-że bratu zawadza.

Wszak i z za grobu opiekować się, czuwać nad nim będzie.
August? Ten już
stracony, jemu dziś nie życzliwości, nie przywiązania, jemu
tylko pieniędzy
potrzeba.

Ja się moją chorobą nie trapię — mówiła Aniela — pan Bóg
lepiej od nas samych
rozporządza nami. Powiedz proszę panu Guciovi, że chociaż
wyjeżdżam i nie wrócę
zapewne, to jednak o nim pamiętam; niech nie upada na
duchu, niech śmiało
przeciwnościom czoło postawi. Przyjdzie czas, przyjdzie
niedługo, a znowu
skończą się jego kłopoty.

Nie rozumiał Kaczyński znaczenia tych słów, wiedział jednak,
że płyną z
pocziwego serca. Ujął drżącą rękę Anieli, ucałował ją ze
czcią i po list do
Zygmunta wrócił.

Siadając na furkę za bramą, cieszył się stary, że drogi nie
stracił. Miał list w
kieszeni, a przecież taki dobry, a rozumny człowiek jak pan
Lubicz, niezawodnie
umiał na wszystko jego panu poradzić. Przytem Aniela
mówiła wyraźnie, że nie
długo czekać potrzeba, a znów dobre czasy powrócą.

Kiedy nazajutrz zobaczył Augusta w jego pokoju i przyznał
się do swej bytności w
Nadbużu, kiedy list pokazał i zlecenie Anieli powtórzył, jakże
przykrego doznał
wrażenia.

— Dajcie mi spokój — z niecierpliwością zawołał August,
odrzucając list — niech
nikt nie miesza się do mnie, chcę być sam, sam jeden;
rozumiesz, Kaczyński.
Zostaw mnie.
Od tej pory, stary rządca coraz rzadziej miał przystęp do
laboratorium
Augusta.

VIII.

Największej doniosłości wypadki, które na razie uwagę całego
świata zwracają, z
czasem, powoli, tracą na wywołanem w pierwszej chwili
znaczeniu, schodzą z ust
ludzkich, aż wreszcie obojętnieją, lub w zupełną niepamięć
idą. Potrzeba dziś
kartki historii przerzucać, ażeby sobie o Napoleonie I. i
wyspie St. Heleny
przypomnieć. Tem prędzej przestają nas zajmować losy
prywatnych jednostek,
choćby najdziwniejsze.
Zmiany, jakie zaszły w Nadbużu, w początkach stanowiły
bogaty przedmiot rozmów,
oburzeń i sądów w okolicy, ba — nawet w przyległych
powiatach. Jak zwykle,
rózniono się w zdaniach, a to, zależnie od osobistych
przekonań, lub informacji,
z istotnym stanem rzeczy mniej albo więcej zgodnych.

— Ja się jej nie dziwię — mówili jedni o Kamilli — on,
skończony idjota,
zmarnował

piękny majątek i zamknął się z morfiną, zostawiając młodą i
piękną żonę własnemu
przemysłowi. Wagner, człowiek energiczny, przytem chłop
przystojny. Czyż można
potępiać ją bezwzględnie, że nie mając żadnego punktu
oparcia, oddała mu się
ślepo? Kobieta jest słabą. Nie wątłej rośliny wina, jeśli ją
pochyli, lub złamie
pęd wiatru. Gdzie był wówczas ogrodnik, czemu jej w porę
nie podparł?

— Biedny, prawdziwie nieszczęśliwy człowiek — o Augustcie
wyrażali się inni. —

Młody, niedoświadczony, zacny i delikatny, dostał się między
złych ludzi, to też
go zgubili. Żona i matka, dwie wyrafinowane bankrutki,
bardzo wątpliwej
moralności, złączyły się z trzecim łajdakiem, i w kilku latach,
jak cytrynę
wyskali. Mało im świetnej spekulacji, trzebaż jeszcze jawnie,
bez wstydu i
bojaźni bożej, pod jednym dachem żyć skandalicznie o ścianę
od niego, co hańbą
okryty, nie mając dość odwagi, ażeby sobie lufę do ust
przyłożyć, zabija się
powolnie — ze zgryzoty. Że też to grom nie uderzy w tych
ludzi!

— Czyż można tak dalece brać za złe Wagnerowi, — znów inni dowodzili — że korzysta z wygodnej sposobności? Uderzmy się w piersi i przyznajmy, że wszyscy nie wiele skrupulizujemy, gdzie idzie o piękną zdobycz. Niewierność żony zawsze w mężu poczyna swe

źródło. Jak Wagner wyjdzie z Turskimi z majątkowego stosunku, to przyszłość dopiero pokaże. Przecież ich nie wyrzuca z Nadbuża.

— I nie wyrzuci tak długo, dopóki mu się piękna pani nie sprzykrzy — dodawali pesymiści.

Pod tym tylko względem, jednogłośnie potępiono Wagnera, że nie rozwiązał sprawy z Lubiczem, że na hańbiący go wyrok sądu honorowego, został głuchy i obojętny.

Z biegiem jednak czasu, ucichły wszelkie gawędy i sarkania, a to tom łatwiej, że niezależnie od różnicy przekonań i opinii, nie było sąsiedztwa w

Hrubieszowskiem, któreby miało odwagę komunikować się z nadbużańskim pałacem.

Przeciwnie, izolowano go zupełnie, a po upływie prawie dwóch lat, mało kto wiedział, co się tam dzieje.

Jeden tylko Lubicz niezobojętniałby na losy Turskiego, ale on ciągle bawił w San

Remo, gdzie pielęgnował dogorywającą siostrę. O ile raz i drugi, na chwilę

zajrzał do kraju, do Topolan, wówczas rozpytywał się o Nadbuże, Kaczyńskiego sprowadzał i badał, ale nie mając środka zaradzenia złemu, ze smutkiem do biednej Anieli wracał. Nowonabywca zrzucił już dawno swój dwuznaczny charakter. Był teraz jawnym, niczem niekrepowanym właścicielem, bo też nikt nie

mógł ani chciał go krepować. August nie wchodził w rachunek. Nie widywano go wcale. Pani, w zupełnym zaufaniu do Wagnera, zdawała się być zupełnie zadowoloną ze stanu rzeczy i o przyszłość spokojną. Dziwiło ją wprawdzie z początku, że sprawa służebności włościańskich, a tem samem sprzedaży lasu, lub parcelacji folwarków, nie postępuje ani kroku naprzód. Więc kiedyś, oględnie, zwróciła na to uwagę Wagnera, który jednak wytłómaczył się jasno, że działa wyłącznie na jej korzyść. Przecież według umowy z Augustem, po trzech latach od chwili licytacji, byłby obowiązany, cofając tylko swój kapitał z procentami, zwrócić mu resztę. Jeżeliby więc w tyra okresie czasu, chłopie nie dali się do układów namówić, tamując wszelką inną działalność, (z czem też on nie spieszył się rozmyślnie), to umowa z Augustem upadałaby sama z siebie, wobec czego dałoby się tem łatwiej

stworzyć fortunę dla żony, że mąż bezpowrotnie stracił swoje prawa.

— Jakkolwiek moje zobowiązanie, które dałem Augustowi — mówił do Kamilli Wagner

— jest tylko moralne, nie poparte żadnym piśmiennym dowodem, to niemniej chcę się z niego jak należy wywiązać, nie zostawiając żadnego do pretensji prawa

Takie tłumaczenie, przemawiało na korzyść Wagnera. A jednak radaby była Kamilla stanąć

już na trwalszym gruncie, położyć kres zależności od niego, tem samem zerwać

drażliwe obowiązki, których spełnianie, z każdym dniem bardziej na uroku w jej

oczach traciło. Ale rozum, a z nim prosty rachunek, kazał jej wytrwać cierpliwie

do końca i niczem sobie Wagnera nie zrażać bo rozumiała zbyt dobrze, że przewaga

i wpływ najpiękniejszej nawet kobiety na mężczyznę, zamiast potęgować się,

słabnie, w miarę jak się ona — starzeje.

Gra Wagnera była również nie łatwą, bo skomplikowaną.

Pomimo całej bezczelności,

nie miał on dość odwagi, ażeby zagrabieć majątek, przed upływem określonych

trzech lat. Potępionoby go w tym razie, kiedy w innym, zdoła się usprawiedliwić

z łatwością, że co mógł, wszystko dla przyjaciela uczynił. Jak się wywiąże z

obietnic, dawanych Kamilli, nad tem dziś Wagner nie myślał,
przyznając, że jeśli
nie żonie Turskiego, to coś nie wiele, dać wypadnie —
kochance.

Jednocześnie wobec takich planów, nie należało lekceważyć
Dymowicza, którego
sumy na Nadbużu i Teżynie zahipotekowane, winny być
spłacone w ciągu czterech
lat od daty licytacji. Na cierpliwość i względy mecenasa, jeżeli
nikt, to tem
mniej nie mógł liczyć Wagner. A nuż w tym czwartym roku
nie zdąży przeprowadzić
separacji z chłopami, których sam obalamucił?

Smutnem byłoby zaiste, gdyby na nim miało się sprawdzić
przysłowie o kopaniu
dołków.

I to tylko cokolwiek niepokoiło szczęśliwego spekulanta, tem
bardziej, że
zapytywany w swoim czasie Dymowicz, jak wówczas
Turskiemu, tak teraz Wagnerowi
ewentualnej prolongaty sum stanowczo odmówił.

* * *

Morfinizm Augusta dosięgał już stadium nieuleczalności.
Jakże gwałtowny a
niszczący wpływ na organizm ludzki wywierać musi ten
narkotyk, jeżeli w tak
krótkim czasie zdołał dokazać zmian, na które raczej
dziesiątki lat i długie,

ciężkie choroby, składaćby się powinny. Jeszcze przed trzema
laty młody i piękny
mężczyzna, dzisiaj był starcem, fizyczną i intelektualną ruiną.
Niemniej przykry, dziwaczny widok przedstawia owo
laboratorium, w którym panuje
nieporządek, zaduch i niechlujstwo. Posadzka pokryta
zastarzałą warstwą kurzu i
brudu. Stoły zastawione bez ładu najrozmaitszemi
naczyniami, flaszkami i szkłem
o przeróżnych kształtach. Wszystko to pseudo-chemikowi
potrzebne do bezustannych
doświadczeń, w których nie ma jednak systemu ni celu,
albowiem jest to już tylko
działanie bezmyślne. Ślady tego widoczne. Tam

leży przewrócona flaszka po kwasie siarczanym, który rozlał
się i spalił
wszystko dokoła; tu znów zostawiony na miseczce amoniak,
woń duszącą ze siebie
wydaje; stłuczone retorty, słoje i słoiki minerały, proszki,
wszystko
pomieszane, zawadza jedno drugiemu. Wśród tego, co krok
widzisz zepsuta
strzykawkę, połamane igły i malutkie, porcelanowe naczynia,
z resztką
rozpuszczonej morliny. Po kątach i pod stołem, ubranie i
bielizna; przy
truciznach i chemikaliach, talerze z jedzeniem, resztki
owoców, tam cukier i
chlerek, tu ciastka i saletra.

On sam wygląda najsmutniej. — Kiedyś piękne, bujne blond włosy, dziś zastępuje łysina, a reszta zbielała Cera twarzy blado-żółtawa, pergaminowa. Niebieskie oczy spłowiały, jak gdyby się w głębokie doły zapadły. Dziwny też wzrok ich, specjalnie morfinistoin właściwy. Zwężone źrenice, zwracając się w górę, zdają się opierać ciężkim, opadającym powiekom, zupełnie jak u ludzi, których sen morzy, kiedy czuwać muszą. W tej chwili August stoi z książką w ręku, i wzory chemiczne wertuje. Mimo, że już blisko południa, na stole świeci lampa, niegaszona od wczoraj. Bosa, ma na sobie jedynie, tylko bieliliznę o krwawych plamach, raz koło razu. Niezapięta koszula, odkrywa ciało, na którym blizna, przy bliźnie, strup koło strupa, tu, ówdzie krew

sący. To świeże lub stare ślady po igle strzykawki, z którą mało już zachowuje ostrożności, a więc kaleczy miejsca jeszcze nie zagojone. Wpatrując się uważnie, niepodobna zdać sobie sprawy, czy on czuwa lub śpi w stojącej pozycji, albowiem przez długie chwilo oczy ma zupełnie zamknięte, potem je otwiera, patrzy błędnie dokoła i znów zamyka. Nareszcie chce ująć ołówek, leżący na stole, lecz zamiast

niego, nóż bierze do ręki i patrzy nań jakgdyby nie rozpoznawał przedmiotu.
Spostrzegłszy pomyłkę, poprawia się i pisze jakieś notatki na książce. Ale wnet znów oczy zamyka, potem zwiesza głowę, książka wypada mu z ręki. Teraz oprzytomniał na łoskot, i szuka strzykawki, która go znów do życia pobudzi ; ospałość usunie. Długo więc przewraca wszystko na stole, a chodząc, co krok o coś zawadza, wreszcie spostrzega, że strzykawkę ma w ręku. Nowy kłopot z igiełką której również nigdzie znaleźć nie może, aż ręką za koszulę sięga i ztamtąd ją ze skóry wyjmuje. Została w ciele po ostatniej iniekcji. Parę minut zaledwie upływa, a już działa nowa doza morfiny. Teraz August przytomny, rześki, zabiera się z zapalem do roboty, której równie jak poprzedniej nie skończy. Ale słysząc, że ktoś nadchodzi, więc lampę gasi pośpiesznie, ażeby swego niedołęztwa nie zdradzić. Bo morfnista nie tai się z morfiną, nawet zawzięcie

broni potrzeby jej używania, chętnie rozwodzi się nad dobroczynnym jej wpływem, niemniej jednak przed ludźmi skutków się wstydzi. A przecież lampa w południe świecąca, nie dowodzi zbytku przytomności umysłu.

August nigdy nie sypiał, a raczej do łóżka się nie kładł. Być może, że to jedna więcej morfinistów właściwość. Łóżko wprawdzie stało w pokoju, ale założone rupieciami jak wszystko, pościel zaś rozrzucona po kątach, stosownie do tego, gdzie i kiedy była potrzebną. Przez dwie czasem trzy doby z rzędu czuwał, niby pilnie robotą zajęty, poprzestając jedynie na krótkich drzemkach — stojąco. W końcu natura przemagała a wtedy zestawiał bodaj dwa krzesła, rzucał na jedno z nich brudną, poplamioną i po paloną kwasami poduszkę, i na tak urządzonem, posłaniu, spał dwie albo trzy doby z rzędu, rozbudzając się tylko na krótko, aby wstrzyknąć morfinę. W takim śnie, mało lub wcale nie jadał. — Podobnośmy znowu nie spali w nocy — mówił, wchodząc Kaczyński do swego pana, i rzucając okiem po pokoju. — Ale spałem, wybornie spałem — kłamał August — jestem dziś zdrów, jak koń i zabieram się do marglu. Dobrze, że przyszedłeś Kaczyński, to mi pomożesz. Bo trzeba wiedzieć, czem właściwie jest margiel. — I teraz rozpo-

czął się wywód naukowy z zupełną ścisłością, dowodzący wielkiej pamięci i pełnych władz umysłowych. Trwało to dobrą godzinę, przyczem August mówił szybko

bez zająknięcia, i nigdy nie podnosił oczu, albowiem
jednocześnie, spierając
nogę o krzesło, szukał czegoś bezustannie w fałdach dolnego
ubrania. Kiedyś,
takim cierpli wem szukaniem zaciekawiony Kaczyński, pytał
o przyczynę Augusta,
a ten go objaśnił, że nie może znaleźć igielki od strzykawki,
jakoby gdzieś
utkwionej w bieliźnie. Ale to było kłamstwem. Jemu się zdaje,
że zawsze chodzą
po nim jakieś robaczki, niepewny jednak, czy to nie złudzenie,
boi się przyznać
do niego, a tem samem swój stan umysłowy podać w
wątpliwość. Podczas takich
wykładów, Kaczyński, siedząc w kąciku, zwykle zasypiał,
August zaś prawił
niezmordowany, przechodząc kolejno do drugiego i trzeciego
przedmiotu, aż
wreszcie, w miarę jak słabło wrażenie ostatniej iniekcji,
ustawał, mówił coraz
wolniej, coraz ciszej, znowu ciężyły mu powieki, w końcu
zaledwie wargami
poruszał, cichutko mruczał, aż najczęściej rozbudzał go stuk
strzykawki, którą
drżąca ręka wypuszczała na posadzkę. Wtedy głośno raz i
drugi chrząkał i
wzrokiem nieśmiało zataczał dokoła. W tej samej chwili,
budził się Kaczyński i
obydwaj wstydzili się siebie wzajemnie.

Tak właśnie i teraz się stało. Stary rządca przywiązany do Augusta, pomimo przykrego, oniemal wstrętnego wrażenia, jakie go w tem laboratorium doznawał, nie miał serca odmawiać jedyne go towarzystwa nieszczęśliwemu. Przychodził też zwykle raz na dzień, słuchał chemicznych wykładów, pomagał w robocie, a przede wszystkim pilnował, ażeby jego biedny pan nie zapomniał o jedzeniu, które na tacy przynoszono trzy razy dziennie, ażeby choć czasem zmienił bieliznę, ażeby się wreszcie do snu położył, kiedy już ze znużenia, po parudniowym czuwaniu, na siłach upadał. Wreszcie, na każdym kroku zachodziła potrzeba opieki nad tym niby małoletnim człowiekiem. Raz na przykład August, który z powodu owych fikcyjnych robaczków, chodził zwykle, nieubrany i bosy, nadeptał kawałek szkła ze sztucznej retorty i przeciął sobie żyłę. Sam, mimo bólu, nie zwróciłby na to uwagi, i uszłaby go krew niezawodnie, gdyby nie Kaczyński, który to spostrzegł i nogę opatrzył. O smutnym stanie męża, wiedziała Kamilla, wiedział zarówno i Wagner. Dawniej chociaż dla przyzwoitości i formy, odwiedzało go każde z osobna od czasu do czasu, lecz potem, o ile stawał się dla nich coraz bardziej niechętnym, wreszcie opryskliwym, radzi byli oboje jego widoku unikać, aż w końcu, w miarę coraz

gwał-

towniejszego potęgowania się choroby, postanowili, pod pozorem aberacji umysłu, wywieźć go do zakładu w Warszawie. Było to jednak nie łatwe. August, w gruncie rzeczy zdrów na u-myśle, na wszelkie namowy Kaczyńskiego, który podjął się pośredniczyć w tej sprawie, odpowiadał stanowczo, że się z Nadbuża nie ruszy.

Wezwano więc pomocy lekarza, ale ten odmówił środków brutalnych nie przypisując prawa ich użycia. O ile miał możliwość zbadania chorego, skonstatował tylko wyraźne symptomy morfinizmu, w krańcowym prawie stopniu. A więc: zwężenie źrenicy, podrażnienie centrów mózgowych, zaburzenia przy użyciu mowy, złe przyswajanie pokarmów, a tem samem podkopane odżywianie, trudność czynności odruchowych, wreszcie halucynacje*).

Wszystko to dowodziło groźnego i prawie beznadziejnego już stanu, niemniej jednak chory był panem swej woli, i on też tylko mógł decydować o umieszczeniu go w jakimkolwiek zakładzie. Musiano więc zgodzić się na zło, które postępowało z każdym dniem szybciej.

*) Fiodler, Lewin, Levinstein, Gscheidlen, Dujardin, Besumetz.

IX.

"Pamiętaj o biednym Guciu", to ostatnie słowa, jakie w San Remo umierająca Anieli powiedziała do brata; poczem czysta i piękna dusza odeszła prosto do nieba. Niepocieszony Zygmunt zabrał drogie mu szczątki i wrócił z niemi do kraju, ażeby je złożyć w grobach rodzinnych, obok ojca i matki. Wzruszający był widok, kiedy po jego przybyciu, w progach topolańskiego dworu, stary, prawie już zgrzybiały Michaś, drżącemi ramionami przytulał do siebie pana, okrytego żałobą, a zamiast pocieszać go, sam się od płaczu zanosił. I nie dopatrzyłbyś w tym uścisku różnicy stanów Szlachcic i chłop pan i sługa, płakali jednemi łzami, równem sobie sercem, jeden brata, drugi przyjaciela. I to spotkanie pierwszą dopiero ulgę Zygmunтови przyniosło. Opowiadał Michasiowi o chorobie, cierpieniach, wreszcie ostatnich chwilach Anieli.
— Kazała cię pożegnać — mówił — ży-

czyła sobie wyraźnie, aby Michaś już służby zaniechał, odpoczął na stare lata.
Mam ci od niej pewną sumkę wypłacić.

— Niech-że jej Pan Bóg da jasności niebieskie — rzekł
Michaś, wznosząc ręce —
ale na co mi pieniądze? Pójdę i ja za nią nie długo, a póki sił,
to panicza nie
opuszczę. Taki mój psi obowiązek.
Po paru dniach odbył się pogrzeb, z udziałem licznie
zgrupowanych, blizkich i
dalszych sąsiadów, a kiedy już rozjeżdżano się, Zygmunt
obecny Kaczyński do
siebie przywołał i zabrał go z sobą do pałacu. Tu dopytywał
się szczegółowo o
stan zdrowia Augusta i wszystko, co go dotyczyć mogło. Stary
zdawał sprawę, nie
tając niczego.

— Mniejsza tam o nich — mówił, Kaimillę i Wagnera mając
na myśli — ot, po
prostu, powinnyby się święta ziemia pod nimi zawalić;
mniejsza o Nadbuże, boć
je to Niemcy już jak swoje zagarnął, ale z panem Guciem
najgorzej. Strach
patrzeć, co się z tego człowieka zrobiło, a jeśli się nim kto nie
zaopiekuje, to
i zamrze niedługo. Patrzą ci się na niego co dnia i
przemyślam. ale cóż ja głupi
człowiek mogę poradzić ?

— Nie bardzom i ja dziś do rady — ze smutkiem rzekł Lubicz
— a przecież sumienie
i litość każe coś z nim przedsięwziąć. Głównie

zależy na tem, aby się ocknął, rozbudził do życia i czynu,
nabrał wiary którą,

iaak widzę, stracił we wszystko i w siebie samego.

— Będzie to podobno trudno — odparł Kaczyński — trzeba go widzieć, kochany panie. To już nie człowiek.

— Jednak spróbujemy, a jeśli wiadomość, którą mu odemnie udzielisz, wywoła na nim takie, jakbym pragnął wrażenie, to nie wątpię, zechce się jeszcze leczyć i z czasem, powoli, przyjdzie do siebie.

— A cóżby to było ? — stary zdziwiony zapytał.

— Pojedziesz zaraz i powiesz panu Augu stowi że teraz może od Wagnera odkupić

Nadbuże, bo moja siostra zapisała mu testamentem połowę swego majątku.

— Świętości, świętości kobieta ! — zawołał Kaczyński, — i łzy stanęły mu w oczach. — Pamiętała o moim biedaku.

— Spiesz-że więc, a może Bóg da, że to go uleczy.

* * *

W parę godzin potem, późnym już wieczorem, rządca wszedł do pokoju Turskiego.

Chciał z miejsca do rozmowy przystąpić, ale zastał pana w dziwnej,

niezrozumiałej dla niego pozycji. Stał

przy kominku, a trzymając oburącz dubeltówkę, od czasu do czasu nachylał się i w otwór kominka zaglądał.

— Co pan tam robi? — zawołał przybyły.

— Cicho! — i August palec na ustach położył. Po długiej chwili uważnego wsłuchiwania, kazał się Kaczyńskiemu przybliżyć i szeptał mu prawie do ucha.

— Widziałem przez okno, jak się skradali.

— Kto? gdzie? pytał rządca Oni, moja żona i Wagner.

— Ale co się panu zdaje? Ktoby się skradał?

— No, powiadam ci, że widziałem. Namawiali się i próbowali wejść przez okno, a potem poszli naokoło, do ogrodu i słyszałem, jak chodzili po dachu. Chcą się dostać przez komin. Stój tylko cicho i czekajmy. — Teraz znów nachylił się do komina.

Zatrwożył się tą mową Kaczyński. — Panie, panie — tłumaczył — coś się panu przywidziało, któżby włąził przez komin, czy to niema drzwi otwartych?

— Cóż to, po toś tu przyszedł, żeby się ze mną kłócić? — Czy ja nie mam oczów? — rzucał się morfinista.

— Ale bo to nie może być — obstawał Kaczyński.

— Musi być, kiedy tak mówię — zawołał August, potrząsając dubeltówką.

Strach przejął Kaczyńskiego. Broń, jeżeli nabita, w rękę człowieka w podobnym stanie, niebezpieczną być mogła. Zmilczał więc, nie chcąc go drażnić. On teraz w okno wpatrywał się bystro. — Patrzaj, patrzaj — mówił cichutko, znów stoją tam

pod kasztanem i radzą.

Oślupiał Kaczyński i podszedł do okna, nic jednak nie widział w ciemnościach.

— Czekał, żeby mnie nie widzieli schowam się pod stół — i skrył się istotnie, osłaniając zwieszającym się sukniem.

— Oszalał — pomyślał Kaczyński.

— Cóż, stoją jeszcze? — cicho pytał po chwili. Spozrzegł się stary, że rozsądną mową nie przekona warjata. — Poszli już, proszę pana, poszli z pewnością — mówił.

— Zasłoń firankę — rzekł August, a kiedy Kaczyński rozkaz wypełnił, on wychylił się z pod stołu. — A teraz weź ze mną szafę i zastawimy kominek.

— I na co to proszę pana? Tu nikt nie wejdzie.

— Powiadam, bierz szafę. Tak zrobili.

Kiedy już zatarasowano komin, uspokoił się nieco August i przytomniej mówić zaczął. Skorzystał z chwili Kaczyński.

— Byłem w Topolanach — rzekł — pochowaliśmy pannę Aniełę.

— Szkoda jej, wielka szkoda. — Zamyślił się, po chwili mówił: — dla czego wszystkie kobiety nie takie jak Aniołek?

— Oj, dobra była, dobra, nie tylko za życia — ciągnął rządca — jeszcze przy śmierci o nas myślała.

— A zkadże to wiesz?

— Mówił mi pan Zygmunt.
— Cóż takiego?
— Właśnie kazał powiedzieć, żeby się pan już nie martwił, bo teraz spłacimy Wagnera i odkupimy Nadbuże.
— On ci to mówił?
— Tak jest. Panna Aniela zapisała panu połowę majątku.
— Jakto, zapisała dla mnie? Istotnie?
— Niezawodnie, proszę- pana, pan Lubicz nigdy nie kłamie. August słuchał z wielkiem zajęciem, co Kaczyńskiego cieszyło, bo obawiał się, że chory przyjmie wiadomość równie obojętnie, jak wszystkie w ostatnich czasach przyjmował. Nabierał więc nadziei, że rzeczy wezmą pomyślny obrót.
— Jeżeli tak jest, mój stary - rzekł teraz August zupełnie spokojnie — to zaraz się załatwimy z Wagnerem. Pójdę do niego, ale poszu-

kaj-no strzykawki. Tak, dziś się z nim jeszcze rozmówię. Pocziwa Aniela. Dawaj że tę strzykawkę. — I August pośpiewywał.
— Niechże Bogu będą dzięki — mówił półgłosem Kaczyński — skończy się nasza bieda. — I biegał ze świecą.
— Mam już, mam — tamten zawołał, i całe szkiełko morfiną wypełnił. Była to doza potrójna.
— Ale jakże pan tak pójdzie, w koszuli, boso?
— Masz rację, trzeba coś włożyć na siebie.

— Szukajno więc ubrania. — Znalazł się zaledwie stary, podarty szlafrok.

— Idźże teraz spać, Kaczyński, bo ja tam będę miał dużo gadania. Raniutko

przychodź, poradzimy się. a potem do gospodarstwa.

Zobaczysz, jaka to będzie

pszenica na moich fosforanach.

Uszczęśliwiony rządcą, nie chcąc się sprzeciwiać, tylnymi drzwiami odszedł do

siebie.

August, bosy przechodził ciemne pokoje, szukając Wagnera.

Późno już było, służba

spała, w pałacu cisza. Nie wiedząc, w którą udać się stronę,

obcy w swoim

własnym domu, przystanął u wejścia również ciemnego

salonu i słuchał. Z buduaru

Kamilli dolatywały ciche głosy. Przez niedosuniętą kotarę,

przedzierało się

świa-

tło. Podeszedł bliżej i teraz dokładnie słyszał rozmawiających, Kamillę z

Wagnerem Obojętny na treść ich szeptów, nie wsłuchiwał się w nie, a raczej dążąc

do celu, głowę za kotarę wsunął. Ale snąć nie pożądanym

uderzył go widok, bo

cofnął się szybko i oczy ręką zasłonił. Stało się się to

wszystko tak cicho, że

w buduarze nic nie słyszano, ani nie spostrzeżono odsuniętej

portjery.

August stał chwilę, jak gdyby się namyślał, potem tą samą drogą poszedł do swego pokoju. Tu rzucił się na sofkę i leżał spokojnie na wznak, patrząc w sufit, lecz zaraz zerwał się, a chodząc gorączkowo, targał włosy, szarpał szlafrok na sobie; wreszcie, spostrzegłszy stojącą dubeltówkę, porwał ją dzikim ruchem, odwiódł kurki i znów wyszedł z pokoju. Szedł szybko o meble potracał, zwolnił dopiero w salonie. Teraz stał i zdawał się lubować widokiem, który go tak przeraził przed chwilą. Ale to trwało niedługo. Drżały mu ręce, trzęsły się wargi, świeciły oczy. Ostrożnie, jak skradający się kot, podszedł na palcach do kotary, wymierzył i dał ognia. Rozległ się huk wystrzału, a biały dym gęstymi kłębamii wypełnił buduar Kamilli. Pomimo wszelkich wysiłków, nie zdołano wyleczyć Augusta. W kilka miesięcy po opisanych wypadkach, umarł w zakładzie, jako mor-

finista-obłąkany. Skonał na rękach wiernego przyjaciela, Zygmunta. Strasznie zeszpeconą Kamillę, bez nosa i części wargi, zabrała do siebie pani Zahorska. Nie długo pozwolono im mieszkać w Jodłowie, który teraz, już ostatecznie,

rozsarpali nieubłagani wierzyciele. Z konieczności matka, z córką osiadły w dwóch pokoikach w Warszawie.

Wagner, któremu po kilkakrotnych operacjach z powodu przestrzelenia płóca, nie obiecywano długiego życia, wyjechał na południe, zostawiając zadłużony Teżyn w dzierżawie. Nie uwzględnił Dymowicz jego choroby, i po uchybionym terminie, przeprowadził energiczną subhastację Nadbuża. Nabył je, i w pałacu Turskich, żonę z dziećmi osadził.

Tylko w Topolanach żadne zmiany nie zaszły. Zygmunt Lubicz, po stracie siostry i sąsiada, jał się znowu cichej i pożytecznej pracy, na ojcowskim zagonie. Stary Michaś, z każdym dniem starszy i niedołęźniejszy, siadywał jak zawsze w przedpokoju, pod zegarem, z nieodstępny Łyskiem przy nogach. Najczęściej, drzemał.

KONIEC.